Sierpień — 1856.

O SEMINARYACH

W STOSUNKU DO SZKÓŁ PUBLICZNYCH I DO UNIWERSYTETÓW.

I.

Nie potrzebujemy dowodzić, iż szkoły ku wykształceniu duchownych, czyli Seminarya, są rzeczą nieodzowną. Nikt rozsądny przeczyćby tego nie mógł, a nierozsądnych i trudno i śmiesznie by było chcieć rozprawami przekonywać. Potrzeba Seminarów wypływa z saméj natury rzeczy. Ażeby ludzie chcący się poświęcić nauczaniu religijnemu, kierowaniu społeczeństwa ku osiągnieniu celów najwyższych i ogółowi i indywiduom wytkniętych, ażeby mogli podnosić, uszlachetniać, uświęcać umysły i serca, wprowadzać chrystyanizm w życie, dopełniać względem każdego z wiernych dzieła odkupienia, dokonanego raz na zawsze dla wszystkich, na to

koniecznie potrzeba, aby ci ludzie sami się wprzód do pewnéj wysokości wznieśli przez wykształcenie religijne i teologiczne umysłu, i przez wykształcenie ascetyczne serca. To pewna, że wykształcenia tego sama szkoła nie da, że ono nie nabywa się przez samo uczenie się i ujmowanie w pewne przepisy i formy, że głównie polega na powołaniu i z niego rozwijać się może — ale się zawsze rozwinąć powinno, a rozwinąć się nie może tylko przez nauczycielstwo w duchu Ewangelii urządzone, w duchu Kościoła pokierowane, do religijnych i moralnych potrzeb wiernych zastósowane. Samo zresztą istnienie Seminaryów w najdawniejszych czasach, w najpierwszych wiekach Kościoła — istnienie trwałe, nieprzerwane, zawarte w istnieniu Kościoła, jest najoczywistszym dowodem nieodzownéj ich potrzeby. Kościół nigdy nie istniał bez szkół duchownych, nawet wówczas, kiedy się jeszcze zwał Synagogą. Obok arki przymierza a potem w świątyni istniały pewne kollegia, w których zajmowano młodzież nauką prawa boskiego i innych umiejętności mających związek z religią, a przytém ćwiczono ją duchownie. Samuel wychowuje się w kościele, jak potém Eliasz i Elizeusz. Św. Jan Chrzciciel i sam Jezus Chrystus mieli pewne grono uczniów stanowiące szkołę. Apostołowie w wychowywaniu głosicieli Słowa i rozdawców łask chrystyanizmu poszli tylko za istniejącą tradycyą. Oto gdzieby potrzeba szukać początku szkół duchownych. Św. Ireneusz mówi o uczniach, którymi się otaczał św. Jan Ewangelista w chwilach wolnych od nauczania wiernych w kościele. Seminarya, to najstarożytniejsza instytucya kościelna. Zawsze przygotowywano młodzież do służby Bożéj i zawsze to przygotowanie stanowiła *nauka* i *uduchownienie*. Zawsze aspirujących do stanu kapłańskiego odosobniano, ćwiczono w obyczajach doskonalszych, w życiu wewnętrznem, su-

rowszém, wyższém, i to ostatnie nad samą nawet naukę przekładano.

Aby się o tém przekonać, dość spojrzeć w akta kościelne z najpierwszych wieków. Tam, ktoby chciał, dowié się łatwo, że w Rzymie pod okiem Papieży, *sub episcopali praesentia* sposobiła się młodzież do stanu duchownego. Za papieztwa świętego Euzebiusza, pewna szlachetna niewiasta z Sardynii imieniem Restituta, powierza mu syna, który wychowany w szkole duchownych wychodzi potém na znakomitego biskupa. Patryarchat Lateraneński był taką pierwszą szkołą w świecie chrześcijańskim. Tu przyjmowano ludzi młodych okazujących powołanie i ćwiczono ich w umiejętnościach i cnotach; przyjmowano nawet dzieci, które stanowiły osobny oddział, niby małe Seminaryum, a przez chrześcijańskie ich wychowanie przysposabiano pewniejsze, stalsze i żarliwsze powołania. Do święceń przypuszczano ledwie po długich latach nauki, ćwiczeń duchownych i doświadczenia.

Trzeba było bardzo wczas wejść do téj szkoły, ażeby po dwudziestym roku można było postąpić wyżéj nad święcenie lektoriatu. Za czasów ś. Grzegorza Wielkiego, papiezki pałac Lateranu posiadał szkołę otwartą nietylko dla Rzymu ale też i dla innych chrześcijańskich prowincyj. Papież Grzegórz II wychowywał się na duchownego pod oczyma świętego Sergiusza, a jak czytamy, wykształcił się na męża *jak najbieglejszego w znajomości Pisma świętego i na jak najpotężniejszego obrońcę spraw dotyczących religii* [1]). Dwie te rzeczy miano zawsze na celu w wychowywaniu duchownych. Największa biegłość w umiejętności nic nie znaczyła bez żarliwości o sprawę królestwa Bożego, bez miłości kościoła. Ś. Zacharyasz Papież założył dla szkoły duchownéj bibliotekę przy kościele

---

[1]) **Breviar. Rom. Propr. 13 Febr.**

świętego Piotra, ale nie przestając na tém, miłością swoją dla kleru i wiernych, a razem dziwną słodyczą i gorliwością był dla wychowańców duchownych żywą biblioteką cnót i świętości [2]). Dwaj bracia zasiadający jeden po drugim tron papiezki, Stefan III i Paweł I, zalecali się w kościele i świętością życia i głęboką nauką, a jednę i drugą zaczerpnęli w szkole Laterańskiéj pod kierunkiem Grzegorza II. Najwięksi Papieże z 8go i 9go wieku z tejże saméj wyszli szkoły. O świętym Leonie czytamy, że od dzieciństwa w przedsionku Lateranu kształcił się we wszelkiéj umiejętności religijnéj i w duchownéj karności [3]). Toż samo znajdujemy o Paschale I i Mikołaju I. Żadna szkoła tak długo nie trwała. W trzynastym wieku jeszcze o niéj czytamy jako o istniejącéj i to na wysokim stopniu, bo professorami teologii byli tam, Albert Wielki i święty Tomasz z Akwinu. Sposób nauczania coraz stawał się systematyczniejszy, ale duch urządzenia zawsze był ten sam. Leon X przeniósł szkołę duchownych do miasta, ale ją przeniósł jak była, z wszystkiemi tradycyami z czasów swoich poprzedników.

II.

W ósmym wieku Papieże niezmiernie wiele uczynili dla szkół duchownych w wielkiéj monarchii karlowingów zaopatrując je w potrzebne księgi, professorów i metodę tak nauczania jak i ćwiczenia duchownego. Wtenczas to obok szkół biskupich powstały szkoły publiczne, przedtém zupełnie w owéj monarchii nieznane. W tém postępie umiejętności i wychowania klasztory brały także wielki udział, owszem posiadały wyłącznie przez zakon-

---

[2]) Tamże, 15 Mart.

[3]) Tamże, 12 Junii.

ników kierowane szkoły i nieraz do wysokiego stopnia podnosiły współzawodnictwo z szkołami kierowanemi przez duchowieństwo świeckie tak publicznemi jak i biskupiemi. Jak naukę z świętobliwością umiano godzić i łączyć, jak pojmowano wielkie posłannictwo duchownych, widoczne to w pięknym liście Karola W. napisanym w r. 787 do wszystkich biskupów i opatów a kończącym się temi słowy: „Pragniemy widzieć ducho-„wnych takimi, jakimi być powinni rycerze walczący „w świętéj sprawie kościoła: razem pobożnymi i uczo-„nymi; czystymi i zdolnymi nauczać innych... ażeby „wierni idący za nimi oświecali się światłem ich nauki „i budowali świętością ich życia.“

Jednocześnie z rozpowszechnieniem szkół biskupich, włożyli Papieże na dyecezye obowiązek wznoszenia i utrzymywania takowych. Sobór Rzymski odbyty pod Eugeniuszem II z nakazem zakładania Seminaryów łączy prawo urządzające takowe; przepisuje, aby każda dyecezya posiadała swoich własnych nauczycieli i doktorów [4]). Leon IV potwierdzając ten kanon na innym rzymskim soborze, jeszcze silniéj wyraża potrzebę szkół i nauk klerykalnych. Powiada on, że nie tyle zresztą idzie o doktorów ile o nauczycieli przedmiot swój znających i sumiennych, którzyby własnemu biskupowi zdawali rok rocznie sprawę z swojego działania. „*Proprio „episcopo de ejusdem actionis opere sollicite inquisiti re-„spondere debeant*“ [5]).

Szkoły wyższe publiczne w téj epoce powstające, były owocem pobytu Karola Wielkiego w Rzymie. Szkoły te jakkolwiek przez duchownych kierowane i obsądzone professorami księżmi lub zakonnikami, nigdy się nie mieszały z szkołami duchownych. Były one z saméj

---

[4]) **Conc. Rom. Eug. II. can. 34.**
[5]) **Conc. Rom. Leonis IV.**

swéj natury w pewném zetknięciu i w stosunkach z temi drugiemi, ale te stosunki wcale nie zacierały różnic koniecznych w wychowywaniu świeckich i duchownych. W czém i jak się różniły szkoły biskupie od szkół publicznych i od następnie powstających uniwersytetów, najlepiéj nas o tém uczą dziejowe pomniki z owéj epoki. Alkuin stojący na czele najdawniejszéj szkoły publicznéj w Tours i na czele szkoły duchownéj, tak w téj mierze pisze do króla: „Jednym podaję silny pokarm Pisma „świętego, innych staram się upoić starém winem da„wnych nauk; innych znowu zasilam owocami subtel„ności grammatycznych.... Chciałbym być czemś dla „wszystkich, abym tak jednych wykształcił dla świę„tego kościoła Bożego, a drugich dla chwały twojego „królestwa, iżby łaska wszechmocnego Boga nie była „we mnie próżną, ani pełność twojéj łaskawości bez„użyteczną“. Alkuin był tylko sam jeden professorem w Tours, nauczał razem astronomii, grammatyki, Pisma świętego, kanonów, a mimo tego między uczniami a uczniami wybitną kładzie różnicę. Kiedy następnie zwiększyła się liczba professorów, różnica ta a raczéj rozdział co raz się stawał doskonaléj oznaczonym. Owszem, nawet w szkołach duchownych rozróżniano wychowańców na kapłanów świeckich od wychowańców na duchownych zakonnych. Uczono ich osobno, osobną metodę, osobnych stanowiono professorów. Mabillon wyraźnie mówi o różnicy między zewnętrznemi a wewnętrznemi; kanonicznemi a zakonnemi [6]). „Szkoły katedralne, „powiada on, były powierzane tak jak w pierwszych „wiekach archidyakonom“.

W życiu Rabana-Maura znajdujemy szczegóły o szkole w Fuldzie, które nam mogą dać wyobrażenie o metodzie używanéj w szkołach. W roku 813, kiedy Rabanus został

---

[6]) Praefat. in 3. saec. Actor. Sanctor. §. 4, N. 39.

przełożonym w tém mieście nad szkołą zakonników, odebrał był razem polecenie, aby używał tegoż samego sposobu nauczania, według jakiego Alkuin postępował w Tours. Opaci niemieccy chwalili to urządzenie i wysyłali do Fuldy młodych zakonników w celu wykształcenia ich w umiejętnościach świętych pod kierunkiem Rabana. Inni w własnych swych klasztorach zakładali szkoły, powierzając ich umysłowy kierunek najuczeńszym nauczycielom Fuldy. Szkoły te przecież nie wytrzymały współzawodnictwa z wychowaniem Raban'a, nie tyle z powodu jego wyższości umysłowéj, ile z powodu jego świętobliwości. Germania i Galia dostarczały mu mnóstwo młodzieży; nawet panowie posyłali do niego na wychowanie swych synów, których jednak pilnie od uczniów kształcących się na duchownych oddzielał i zupełnie osobne dla nich nauki oraz osobną karność ustanowił. Strabus, uczony i pobożny zakonnik z Fuldy, jako następca Rabana w niczém jego metody nie zmienił. Umiejętności świeckie nauczane były w sposób starorzymski. Co do umiejętności świętych, te jeszcze nie były wykładane systematycznie, teologii scholastycznéj jeszcze nie utworzono, prawo kanoniczne żadnéj jeszcze nie przybrało scientyficznéj formy. Uczono kanonów tak jak były ustanowione. Co do Pisma świętego, w tém ćwiczono młodzież duchowną w sposób prosty, ani wiedziano o owych rozlicznych umiejętnościach wstępnych, objętych dzisiaj pod nazwą *studium biblicum*, w których ćwiczona dzisiejsza młodzież wszystkiego się uczy, co ma niby służyć za klucz do Pisma świętego, ale téż na kluczu poprzestając, po większéj części żadnego o Piśmie świętém nie ma wyobrażenia. Po prostu uczono tekstu świętego i tłumaczono go według Ojców świętych. Pomimo téj różnicy między szkołami świeckiemi a duchownemi, nie można powiedzieć, aby takowe były sobie zupełnie obce, owszem szkoły publiczne miały po-

słannictwo aby przez grammatykę i dyalektykę przygotować w umysłach podstawę scientyficzną, na którejby się potém dał wznieść majestatyczny gmach teologii. Metoda szkolna pomału wchodzić zaczęła w zakres umiejętności religijnych i posłużyła nie do ujęcia ich w zimne rubryki lub ułożenia w martwe fascykuły, ale w pewien żywotny porządek. Szkoła obsługiwała nauczycielstwo duchowne tak, jak umiejętności obsługiwały sprawę religii. Kościół przyjmując tę usługę wynagrodził ją chojnie udoskonalając wziętą ze szkoły metodę, a tym sposobem nietylko, że względnie szkoły żadnego nie zaciągnął obowiązku, ale owszem i początkując te szkoły i doskonaląc je przez swych wielkich luminarzy, zasługiwał na wdzięczność i uznanie względem nich pewnego przełożeństwa; do czego się téż i szkoły publiczne i powstające późniéj uniwersyteta silnie poczuwały. *Szkoły duchowne* jakby matki wypiastowały i światłem swéj nauki i ciepłem swéj gorliwości *nauczycielstwo publiczne*, więc i występną i nieloiczną nazwać możemy ową dumę, z jaką to nauczycielstwo miota się niekiedy na ich osobne istnienie i gwałtem je usiłuje zrobić po prostu jednym z swych wydziałów podporządkowanych.

III.

W r. 1179 Alexander III postanowił na trzecim soborze Lateraneńskim prawo powszechne przepisujące, aby przy każdéj katedrze znajdował się nauczyciel (magister) grammatyki i teologii, któryby uczył bezpłatnie młodzież duchowną i świecką. Ten kanon poświęcony przez Innocentego III na czwartym soborze Lateraneńskim zamknął, że tak powiem historyą szkół, jako instytucyi uprzywilejowanych. Teologowie katedralni byli najwyższą reprezentacyą nauczycielstwa publicznego — oni to rozszerzając zakres umiejętności świętych

i wchodząc na grunt umiejętności ludzkich sprowadzili te ostatnie do pewnego porządku wskazując im cel ostateczny, a odradzając je przez chrystianizm dali im w nowym świecie prawo obywatelstwa. Tomassinus robi już tę uwagę iż szkoły ustanowione przez trzeci sobór Lateraneński, dostarczyły uniwersytetom pierwszych professorów.

Czem były te uniwesyteta w swym początku; na jakim gruncie powstały? To rzecz pewna, iż nigdy nie istniało żadne prawo powszechne, bądź to ustawa papiezka, bądź dekret soboru, któreby przepisywały zakładanie uniwersytetów w krajach świata chrześcijańskiego. Ma się rozumieć że tego nie mówimy o uniwersytetach późniejszych, boć cały świat wie, że ich erekcye bez wyjątku są dziełem papieży, twierdzimy tylko, że najpierwsze nie są wcale owocem ustawy, ale że powstały wolnie a utrzymywały się czystym przywilejem. Były one najsamprzód prostą agregacyą szkół kierowaną przez ciało doktorów, z których każdy zajmował się osobną gałęzią nauczycielstwa. Od dawnych więc szkół tem się tylko różniły, że gdy w tych ostatnich całe nauczycielstwo było w ręku jednego, one to nauczycielstwo między tylu professorów podzieliły, ile w sobie połączyły szkół. Drugą essencyonalną ich cechą było utworzenie teologii scholastycznéj i ujęcie w pewien porządek nauki świętych kanonów. Teologia i prawo kościelne, to najpierwsza sława powstających uniwersytetów. Takie imiona, jak *Albertus Magnus* i *Tomasz z Akwinu* zjednały im i jednają podziwienie wszech wieków. U ich kolebki stają już generacye doktorów przysposobionych, cywilizacyjnych duchem katolicyzmu. Wielkie te postacie tak dzisiaj zaniepoznane, i po chłopięcemu lekceważone, poświęciły braterstwo wszechumiejętności, urządziły prawa łączącéj je żywotnie zależności a wskazując im jeden ostateczny cel, jednym kierun-

kiem powiodły je do pracy i walki na rzecz tryumfu Chrystianizmu w społeczności odrodzonéj na gruncie Ewangelii.

W trzynastym wieku, znakomitsze z nich doszły do najwyższego szczytu potęgi i sławy. W czternastym widziemy już papieży zakładających uniwersytety po różnych stronach chrześciańskiego świata. Bonifacy VIII bullą swoją *In supremae* wznosi uniwersytet w Fermo roku 1303. Tenże sam papież bullą, *Conditoris omnium* tegoż samego roku o sześć miesięcy późniéj zakłada uniwersytet w Avignionie i nadaje mu prawo udzielania stopniów licencyatu i doktoratu prawa kościelnego i świeckiego oraz medycyny i sztuk wyzwolonych. Ubiegający się o stopień doktoratu winni byli być przedstawiani biskupowi a ten wyznaczał examinatorów tworzących zupełnie osobne ciało. W cztéry lata późniéj Klemens V papież zakłada uniwersytet w Perugio jako w mieście *zawsze przychylném Rzymowi.* W r. 1332 Jan XII funduje uniwersytet w Cahors a w siedm lat potem, Benedykt XII w Grenobli wraz z wszelkiemi prawami i przywilejami. Piza zanosi w téj mierze prośbę do Rzymu, a papież Klemens VI odpowiada bullą jak najprzychylniejszą. Tenże sam papież stanowi w r. 1347 uniwersytet w Pradze na prośbę Karola cesarza i króla Czeskiego, a w r. 1361 Urban V posłom wysłanym od Kazimierza Wielkiego, wraz z erekcyą arcybiskupstwa dla Rusi, daje pozwolenie na założenie akademii w Krakowie wraz z prawami i przywilejami, chociaż takowa dopiero za Władysława Jagiełły z szczodrobliwości Jadwigi przychodzi do skutku. Urban VI daje też początek dwóm uniwersytetom, w Kolonii i w Fünfkirchen w Węgrzech na prośbę ojca naszéj cnotliwéj Jadwigi.

Wiek piętnasty mniej świetny wprawdzie przedstawia nam widok w téj mierze; wszystko przecież, co w zakresie nauczycielstwa zaszło wielkiego i trwałego, było dziełem papieży. Benedykt XIII funduje uniwersytet

w Turynie w r. 1505 — w lat dwadzieścia potem bulla *Sapientiae immarceseibilis* wydana na prośbę książęcia Brabancyi oraz kapituły i mieszczan Lowańskich daje początek jednemu z najsławniejszych uniwersytetów w Lovanium, który do dziś dnia wydaje znakomitych teologów, filozofów i prawników. W r. 1454 Mikołaj V zakłada uniwersytet w Trewirze, w dziesięć lat potem Paweł II w Bourges i w Wenecyi, Pius II w r. 1640 w Nantes a Alexander VI w Walencyi. Nakoniec uniwersytety powstałe w wieku XIV w Dilengen i w Douai datują się także od wydania bulli Juliusza III i Piusa IV. Po tem wszystkiem łatwo ocenić z jakiego ducha płyną czynione kościołowi zarzuty jakoby niesprzyjał cywilizacyi.

Wszakże przewodnicząc w tym wielkim ruchu, biorąc inicyatywę w rozwoju i postępie nauczycielstwa publicznego, kościół nigdy niestracił z oka szkół czysto duchowych, nigdy ich nie mieszał, ani mieszać nie pozwalał z szkołami świeckiemi lub uniwersytetami, owszem im się bardziéj pomnażały punkta zetknięcia między temi ostatniemi a spółeczeństwem, tem on wyżéj wznosił pierwsze, tem zaś wzniesieniem oddzielał. Wywierając swój boski wpływ na *Nauczycielstwo powszechne*, zostawiał szkołom publicznym i uniwersytetom pewną wolność urządzania się i wykładu, któréj w żaden sposób nie mógł zostawić w szkołach przeznaczonych na wychowanie duchownych. Nigdy kościół nie poddawał uniwersytetów pod urządzenie i karność szkół klerykalnych, ale też i tych ostatnich nigdy z pod bezpośredniego swego nie uwalniał kierunku; nigdy pierwszych nie zobowięzywał prawami wewnętrznemi, przez siebie ustanawianemi, wiedząc, że gdy tego rodzaju kierunek nie mógł być z wolnością przez wszystkich uznanym i przyjętym, więc byłby tylko do zrealizowania względem pewnéj części, coby go pozbawiało wpływu na wszystkich

i na nauczycielstwo powszechne; ale téż z drugiéj strony nigdy nie pozwalał na najmniejszą sekularyzacyą nauczycielstwa duchownego, ani na żadne wpływy uniwersyteckie na szkoły duchowne. Sami nawet duchowni kształcący się po uniwersytetach o tyle tylko niepodlegali przepisom kollegialnym, o ile byli przywiązani do pewnych kościołów, przy których sprawowali funkcye kapłańskie, a co najwięcéj, o ile byli już wypróbowani w szkołach biskupich i dali dowód stałości i mocy swego powołania. Jeżeli kapłan nie należał jeszcze do żadnego kościoła, wtenczas obowiązany był do życia w kollegium. Przy znakomitszych uniwersytetach zakładano takowe kollegia i urządzano je z pewnem zastósowaniem mniéj więcéj według normy szkół katedralnych. Powtarzamy przecież, że to tylko służyło duchownym, nie zaś aspirantom do stanu duchownego, dla których wychodzenie poza obręb kollegium było zawsze uważane za niedające się pogodzić z karnością wewnętrzną i wykształceniem ducha.

Cóż dopiero mówić o zakonnikach? Jeżeli takowym kościół nie wzbraniał korzystania z wykładów uniwersyteckich, to z drugiéj strony pomny zawsze na to, że zakonnicy więcéj daleko mają posłannictwo działać przez świętość ewangelicznego żywota, niż przez wysoką naukę, o tyle im tylko na uniwersytet uczęszczać pozwolił o ile się to dało z wysokością ich powołania pogodzić. W tym duchu prawo przepisywało, aby żaden z aspirujących do stanu zakonnego ani żaden z nowicyuszów na studya publiczne nie uczęszczał, ale tylko ci, którzy już wytrzymali próbę nowicyatu i już zostali związani professyą zakonną. Prócz tego, jeżeli który z zakonów chciał uczniów swoich kształcić wyżéj w uniwersytecie, obowiązany był ustanowić dla nich przy tymże osobny dom, i tam czuwać nad nimi przez wyznaczonego magistra, aby kształcąc umysł niezapominali

o tem, co ich przedewszystkiem zajmować powinno, aby nienabywali nauki kosztem tego, co w nich wyrobił zakon, aby zresztą stając się teologami, nieprzestawali być zakonnikami.

Umiejętność dla zakonnika bywa zawsze rzeczą ważną, pożądaną, *ale nigdy pierwszą ani ściśle konieczną.* Pomimo tego, powiedziałbym nawet, że właśnie dla tego, zakony wielką okryły się sławą w zakresie nauczycielstwa, a nawet jak powiedzieliśmy wyżéj były najpierwszą i najpiękniéjszą aureolą samychże uniwersytetów. Jak ich ustawodawcy pojmowali umiejętność i jak starali się wpoić w swych wychowańców jéj zamiłowanie, jak nakoniec usiłowali gruntownie kształcić w niéj młodzież zakonną a nawet już samych doświadczonych zakonników, widoczne to w ich konstytucyach. Weźmy naprzykład przed się ustawy braci kaznodziejów, czyli dominikańskie i przypatrzmy się z uwagą temu, co nakazują w téj mierze. Znajdziemy tam silnie i ustawicznie wdrażaną potrzebę pracy umysłowéj wysnutą z ducha zakonu i zawsze z nim cudnie harmonizującą. Prolog stanowiący ustawę zasadniczą tak się rozpoczyna: *Cum ordo noster specialiter ad praedicationem et animarum salutem ab initio noscatur institutus fuisse, et studium nostrum ad hoc debeat principaliter intendere ut proximorum animabus possimus prodesse etc.* Widzimy głównie wypowiedziany cel zakonu, do urzeczywistnienia którego przedewszystkiem podąża, ale tym celem wcale nie jest nabycie umiejętności, nauka sama w sobie, jako nauka, tylko *zbawienie dusz* przez kaznodziejstwo; nauka zaś pojmowana i przyjmowana jako środek podporządkowany, bo środkiem najbliższym celu i koniecznym jest samo kaznodziejstwo. Kaznodziejstwo ma służyć ku zbawieniu dusz, a nauka ku wykształceniu do ka znodziejstwa. Czy dla tego była lekceważoną? wcale nie, tylko że nie jest exagerowaną, że stoi na właści-

wem miejscu, ale właśnie dla tego że stoi gdzie, stać powinna; oceniona też jest jak się należy i zalecona. Konstytucya nakazuje braciom aby się w niéj bezustannie kształcili, dzień i noc czytając, badając, rozmyślając: *Ipsi vero in studio taliter sunt intenti, ut de die, de nocte, in domo, itinere legant aliquid, vel meditentur* (Dist. 2. cap. 14). Konstytucye Augustyańskie przepisują także, aby zakon posiadał gimnazya wyższe, do którychby jenerał mógł wysyłać uczniów z klasztorów każdéj prowincyi. Wysyłanemi ci tylko być mogą, którzy w naukach grammatykalnych dostatecznie wyćwiczonymi zostali; wszakże oprócz usposobienia naukowego wymagano usposobień duszy i tylko pokornych a cnotliwego życia do wyższych nauk przypuszczano: *Quod sit persona humilis et vitae laudabilis* [7]). Nowy, oczywisty dowód jak wysoko zakony umiały cenić naukę, a razem jak się jéj obawiały w swych członkach, jeżli ich nie ożywiała pokora, ta fundamentalna każdego zakonu cnota. Dwa lata konstytucya przeznacza na dokładne wykształcenie w dyalektyce i zabrania przez ten czas zajmować jakąkolwiek inną umiejętnością, aby niemieszano umiejętności z sposobem jéj pojmowania: *ne scientiam et modum sciendi perdiscendo confundant*, a nadewszystko, aby się nie chwytano przed czasem nauk w celu błyszczenia lub tylko osiągnienia stopni. W czasie dwóch lat następnych poświęconych uczeniu się filozofii niewolno było brać się do teologii pod żadnym pozorem, do któréj po ścisłych dopiero examinach przypuszczano a zaledwie po kursoracie pozwalano kusić się o stopnie. Tym sposobem studya trwały więcéj jak piętnaście lat, jeżliby ktoś chciał dostąpić stopnia doktoratu, a to wszystko jak się wyrażają też same konstytucye, aby się

---

[7]) Const. part. 5. cap. 4.

nie tylko lektorami, magistrami i doktorami nazywali, ale, żeby nimi rzeczywiście byli [8]).

IV.

W wieku szesnastym szkoły biskupie poczęły się mieć ku upadkowi i wreszcie prawie zupełnie wygasły. Kto temu winien? Przyczyną najbliższą były coraz bardziéj rozmnażające się uniwersyteta, przyczyną dalszą ale prawdziwszą była pewna instynktowa dążność do protestantyzmu, przerzucenie się cywilizacyi z prawdziwego gruntu rozumu idącego w parze z wiarą na grunt *samego*, z wiarą rozwiedzionego *rozumu*. Kościół czuł dobrze tę zgubną dążność, bolał nad nią, pracował nad poprawą nauczycielstwa. Paweł III wyznaczył dziewięciu uczonych i pobożnych kardynałów i prałatów i takowym polecił bliższe rozpoznanie stanu szkół i przedstawienie projektu do ich reformy. Komissya ta przedewszystkiem wystawiła konieczność odnowienia szkół katedralnych we wszystkich dyecezyach, w którychby po dawnemu z nauką łączono wykształcenie serca [9]) Główną przyczynę upadku tych szkół kardynałowie widzieli w nadużyciach publicznego nauczycielstwa po uniwersytetach, w których professorowie filozofii zamiast prawdy uczą bezbożności, do samych nawet świątyń wprowadzają jak najzuchwalsze dyskussye a rzeczy boskie traktują w obec ludu z wielkiem nieuszanowaniem. Przedstawiają następnie, aby polecono biskupom, iżby nad

---

[8]) „Ut aliorum lectores aliquando et magistri dici, et esse merito valeant".

[9]) Consilium delectorum Cardinalium et praelatorum de emendanda Ecclesia, S. D. N. Paulo II jubente Conscriptum et exhibitum anno 1538. Apud Mansi.

szkołami publicznemi więcéj czuwali i upominali professorów we względzie nauczania młodzieży zwłaszcza w kwestyach dotyczących w jakibądź sposób religii a nakoniec, aby zabraniali wszelkich publicznych dysput teologicznych, będących często dla wiernych powodem zgorszenia [10]).

Samo stanowisko uniwersytetów, niezależność, która w czasach gorliwéj wiary stanowiła niezawodnie ich siłę i żywioł rzeczywistego postępu, z osłabieniem tejże zrobiła je bezbronnemi i owszem bardzo łatwemi do przyjmowania złych i niebezpiecznych nauk. Nowatorowie dobrze to pojmowali i nieomieszkali z tak dobréj sposobności korzystać, aby swe zasady w nauczycielstwo publiczne wprowadzić. Jedną z słabych stron akademij publicznych było i to, że rozwijając umysł, na serca albo wcale nic, albo nawet całkiem szkodliwie wpływały. Nieobejmując całego człowieka, to co w nim jest najszlachetniejszego wystawiały na ciągłe inwazye błędu. Kacerstwo właśnie zaczęło od serca, które nieposiadając *miłości prawdy* i szlachetnego dla niéj zapału, prędko się chwyciło złą miłością fałszu i fanatyzmu negacyi. Michał Tomasius, którego papież Pius IV wysłał na sobór Trydencki, wiernie przedstawia ten smutny, antychrześciański ruch umysłów i serc. Oto są jego słowa: „Wszystko to niestety w złem usposobieniu szkół pu„blicznych ma swoją przyczynę. Kacerze widzą jak „w nauczaniu zaniedbane serce młodzieży, widzą w nau„czycielach obojętność lub niechęć dla prawdy, łatwo „zatem przez jednego wpływają zgubnie na mnóstwo „dusz młodych i takowe psują. Wprowadzają oni do „szkół swoich zwolenników, którzy z urzędu młodzież „dobremi niegdyś naukami i dobrą karnością kształco„ną na manowce wyprowadzają i przeciągają do sie-

---

[10]) Tamże.

bie.“ Co w takim razie było począć? Odnowić szkoły biskupie i takowe po za wszelką możnością zetchnięcia się z nauczycielstwem publicznem postawić. Półśrodki w téj mierze do niczego zwykle nieprowadzą, owszem stanowisko złudzeniami tylko pogarszają; bo nic smutniejszego nad to przekonanie, że przez koncessye można coś zyskać, poprawić lub przynajmniéj się utrzymać.

Nieszło zaś o same szkoły duchownych, te albowiem zawsze istniały, ale szło głównie o to, żeby reformę nauczycielstwa powszechnego i społeczeństwo ratować od dążności wstecznych, niechrześciańskich i kościołowi przyspasabiać aspirantów do stanu duchownego. Szkoły duchowne, żeby najlepiéj urządzone niewiele poradzą, jeżeli szkoły publiczne wciąż im podają zepsuty lub całkiem przewrotnie usposobiony materyał. Ażeby temu zaradzić, niebyło innego środka tylko wzmocnić szkoły przy katedrach, w którychby się młodzież wychowywała po katolicku pod okiem biskupa i dała się potem przesadzić na grunt szkoły czysto-duchownéj.

Tak tę rzecz pojmowali, najznakomitsi i najgorliwsi mężowie kościoła jeszcze przed soborem Trydenckim. Kardynał Polus, legat apostolski w Anglii w dekretach swoich zaleca biskupom zakładanie szkół podobnych. Co do szkół klerykalnych o potrzebie ich odnowienia w duchu pierwotnym częstą znajdujemy wzmiankę w historycznych pomnikach z ówczesnéj epoki. Wzmiankowany co dopiero kardynał-legat reformę tych szkół uważa za rzecz nieodzowną i niecierpiącą zwłoki, niezaleca jéj, ale jak najdobitniéj w imieniu stolicy apostolskiéj nakazuje. W dekretach jego dotyczących téj reformy znajdujemy po raz pierwszy szkoły duchowne, czyli klerykalne nazwane *Seminariami.* W dekrecie jedynastym stanowi, aby tylko ze szkół katedralnych wybieranymi

byli ludzie chcący się sposobić na duchownych. Oto są jego słowa:

„Wiadomo, jak wielkim jest za dni naszych brak du-„chownych, a zwłaszcza duchownych zdolnych zarządzać „kościołami i wypełniać należycie obowiązki kapłańskie. „Smutny ten niedostatek nieda się inaczéj usunąć jak „tylko przez zakładanie szkół, kollegiów i seminariow „przy kościołach katedralnych. Stanowimy przeto, ażeby „wszystkie kościoły metropolitalne katedralne według „potrzeby i możności takowe posiadały. W przyjmowa-„niu do nich uważać mają biskupi, na kwalifikacye „przedstawiających się lub przedstawianych. Przyjmować „ich w jedynastym lub dwunastym roku, aby już umieli „czytać i pisać i ażeby mniéj więcéj poznać ich uspo-„sobienie, to jest czy mają powołanie do stanu ducho-„wnego i czy będą w możności wypełniać obowiązki „tego stanu. Chcemy, ażeby dzieci ubogich miały w téj „mierze przed innemi pierwszeństwo, jakkolwiek przez „to niewyłączamy bogatych, jeżeli tylko okażą silną „chęć służenia Bogu i Kościołowi. Niechaj się najprzód „w szkole uczą grammatyki, a wyćwiczeni w niéj mają „być przeniesieni do szkoły klerykalnéj metropolitalnéj „lub dyecezalnéj, gdzie pod dyrekcyą kanclerza kościo-„ła, lub innego uczonego i pobożnego człowieka *ad* „*hoc* wybranego uczyć się będą teologii i karności ko-„ścielnej.“

Nadzór główny tych zakładów należał wyłącznie do władzy duchownéj, to jest do biskupa z dziekanem i kapitułą. Do nauczania ci tylko przypuszczani być mogli, których biskup uznał za zdolnych i potwierdził. Książki ulegały także cenzurze biskupa, żadnéj innéj niewolno było używać, krom téj, którą władza duchowna potwierdziła i do wykładu oraz do wykształcenia obyczajów zaleciła.

Wszystko to jak widzimy, jest jakby przedsmakiem

owéj mądrości, którą w trzy lata późniéj nacechowane zostały ustawy soboru Trydenckiego. Jedyny zarzut, jakiby się dał zrobić dekretom kardynała byłoby chyba to jedno, że przez zbyteczne naśladowanie dawnych szkół katedralnych, za nadto spoił takowe z kościołami katedralnemi i zależnemi je uczynił od kanonii. Ztąd bowiem poszło, że posługi publiczne w kościele zbyt często trzymały kleryków po za kollegium i tak czas wyczerpały, że na naukę zbyt mało go zostawało. Kościół w ustawach swoich umiał téj niedogodności uniknąć i Seminarya na gruncie zbudowane już nie były instytucyą *katedralną* lub *parafialną*, ale *dyecezalną*.

Ażeby zrozumieć ducha tych ustaw — potrzebę reformy szkół klerykalnych i sposób w jaki ta reforma przeprowadzoną została, głównie zaś, aby zrozumieć i uznać z Kościołem za rzecz nieodzowną rozdział szkół duchownych od szkół publicznych i uniwersytetów, przedstawiamy w treści, niedogodności dotychczasowego ich stosunku:

1°. Uniwersyteta tak dalece zabsorbowane zostały przez subtelności umysłowe, iż się stały zupełnie niezdolnémi wpływać jednocześnie na postęp w prawdziwéj nauce i cnocie. 2°. Urządzenie, ustawy zasadnicze uniwersyteckie, ich niezależność przybierająca coraz więcéj charakter swawoli słusznie obawiać się kazały wpływu błędnych, i z prawdami Chrystyanizmu sprzecznych nauk a fakta już dowodziły, że obawy te były niestety bardzo uzasadnione. 3°. Wykład publiczny teologii nader korzystny w epoce żywéj wiary, wyrodził się w gorszące harce, w dysputy raczéj powiększające chwianie się umysłów niż utwierdzające w wierze. 4°. Choćby nawet i to wszystko usunąć się dało, to już to samo, że uniwersyteta tylko w znaczniejszych miastach istniały, czyniło je nieprzystępnemi dla ogółu, tymczasem każda

prowincya, każda dyecezya osobnéj wymagały szkoły. 5º. Tem nieprzystępniejszymi były dla uczniów uboższych, którzy niebyli w stanie podejmować kosztów jakich wymagał pobyt w miastach uniwersyteckich. 6º. Samo wznowienie dawnych szkół katedralnych niemogło czynić zadosyć wymaganiom prawdziwie duchownego wychowania, bo z nich korzystać niemógł ogół pragnących poświęcić się służbie bożéj.

Następnie zesumowawszy środki zaradcze takowe w następujących kategoriach przedstawiamy. 1º, Pozakładać kollegia, do którychby młodzież przyjmowana, jak można najwcześniéj, a tym sposobem zabezpieczona od wszelkich moralnych niebezpieczeństw, kształciła się w gruntownéj i wyższéj pobożności przez ćwiczenia duchowne i w umiejętnościach świętych, przez wykład profesorów doświadczonéj wiary i głębokiéj nauki. 2º. Kollegia te poddać pod bezpośrednią i wyłączną władzę biskupów, którzyby z urzędu swego czuwali nad naukami w nich wykładanemi i nad ścisłem zachowaniem duchownéj karności. 3º. Ustanowić nauczycielstwo wewnętrzne całkiem od uniwersytetów niezależne, w duchu kościoła urządzone i wykonywane. 4º. Zakładanie tych kollegiów polecić jako ściśle obowiązkowe w każdéj dyecezyi, ażeby każdy chcący w stanie duchownym służyć kościołowi był należycie i odpowiednio do potrzeb dyecezyi usposobiony. 5º. Zaopatrzyć takowe jak tylko można w fundusze stałe, ażeby klerycy mogli być wychowywani bezpłatnie, oraz aby urządzenie ich wewnętrzne oraz nauki i professorowie tylko od władzy biskupiéj zależeli, a nakoniec: 6º. Kollegia te zakładać po za katedrami i kollegiatami, ażeby z nich mogli korzystać wszyscy i aby wychowanie mogło wziąść rozmiary, odpowiednie rozległości, ludności i potrzebom dyecezyi.

V.

Sobór Trydencki wszystkim tym potrzebom zaradził przez sławny swój dekret o Seminaryach. Na osobnéj kongregacyi odbytéj 8 maja 1563 r. pod przewodnictwem kardynała Moroni legata apostolskiego dekret ten zyskał zatwierdzenie powszechne. Kardynałowie legaci, inni dwaj kardynałowie Lorraine i Madrucci około czterdziestu ojców wzięli udział w téj kongregacyi. Ambasadorowie książąt chrześciańskich byli także obecnymi. 9 lipca tegoż roku odbyła się w tymże przedmiocie kongregacya ogólna i trwała aż do 14 a jak się wyrażają akta soboru, zakończyła się przez jednogłośne *placet*, co przypisywano cudownéj interwencyi Ducha świętego.

Sessya 23, na któréj dekret o seminaryach został ogłoszonym, odbyła się w katedrze Trydenckiéj 15 lipca. Wraz z prałatami, opatami i jenerałami zakonów znajdowali się na niéj ambassadorowie Francuzki, Hiszpański, Polski, Portugalski, Węgierski, Czeski, Sabaudzki, Wenecki i Szwajcarski. Biskup paryzki Eustachy de Bellay celebrował mszą ś. o Duchu świętym, po któréj przeczytał z ambony dekreta sessyi 23, między któremi dekreta całego ośmnastego rozdziału dotyczące wyłącznie reformy seminaryów.

Na samym wstępie wyrażają ojcowie soboru przyczynę i cel zakładania seminaryów. Przyczyną jest niedokładność i niebezpieczeństwo wychowania publicznego, konieczność postawienia uczniów o ile tylko można po za stosunkami z światem, aby potem jako duchowni podnosili rzeczywiście społeczeństwo sami poprzednio wzniesieni. Celem jest przysposobienie kościołowi du-

chowieństwa, któreby posiadało dość światła i dość żarliwości do szukania królestwa Bożego w sercach ludzkich. Potem idzie nakaz soboru, aby każda dyecezya posiadała swe własne seminaryum. Tu zwracamy uwagę, iż właśnie przez ten nakaz, sobór postawił szkoły klerykalne na innem stanowisku niż uniwersyteta. Przez to albowiem prawo, seminarya zostały uznane *kanonicznie* i uświęcone nietylko jako *zakłady naukowe dowolne*, to jest mogące istnieć gdzieby chciano, bez potrzeby wyrabiania nowego na to prawa czyli przywileju, czego uniwersyteta w żadnéj nieposiadały epoce potrzebując na każdą nową erekcyą, osobnego pozwolenia i osobnych przywilejów, ale co większa, uświęcone zostały przez owe prawo jako *Instytuta konieczne, obowiązkowe*, nakazane przez prawo powszechne z udzieleniem każdemu biskupowi władzy zakładania takowych i urządzenia; tak, że się to wcale do woli biskupa niezostawia, podobnie jak niezależy od jego woli mieć albo niemieć katedry lub kapituły, podobnie jak jest obowiązany zakładać parafie, gdzie takowych duchowne potrzeby wiernych wymagają. To zaś nietylko co do istnienia seminaryów, ale też i co do ich składu kollegialnego, oraz co do wewnętrznéj ich organizacyi. Sobór chciał tym sposobem zapobiedz niedostatkowi dobrych kapłanów, który niestety! już zbyt boleśnie dał się uczuć kościołowi.

Całą władzę i nadzór nad seminaryami Sobór powierza biskupom. Urządzenie wewnętrzne nauki, professorowie, karność wszystko to w zakresie téj władzy. „Biskup podzieli uczniów na tyle klas, ile osądzi, że jest „potrzeba, według liczby, wieku i postępu w rzeczach „duchownych. Jednych powoła do funkcyj duchownych „jeżeli to osądzi już za możebne i potrzebne; drugich „zatrzyma w seminaryum dopóty, dopóki się dostatecznie

„niewykształcą. W przyjmowaniu uważać ma na to, aby „seminaryum zawsze posiadało dostateczną liczbę uczniów. „Ażeby się tem łatwiéj ćwiczyć mogli, w życiu ducho-„wnem mają zaraz na wstępie przywdziać suknię du-„chowną, i wziąść tonsurę. Uczyć się będą gramatyki, „śpiewu, Pisma świętego, kaznodziejstwa według ojców „świętych, administracyi Sakramentów, a zwłaszcza tego, „co się dotyczy spowiedzi, przytem też rubryk i obrząd-„ków. Biskup ma czuwać, aby codziennie uczęszczali na „mszę świętą i aby się *przynajmniéj* raz na miesiąc „spowiadali przystępując do stołu Pańskiego według tego, „jak osądzi za pożyteczne spowiednik. W dni świąte-„czne niechaj spełniają posługi kościelne w katedrze lub „w innych kościołach. Wszystko zresztą, co się tylko „dotyczy seminaryów, biskup urządzi wezwawszy do „rady dwóch najstarszych i najpoważniejszych kanoni-„ków. Przez jak najczęstsze wizyty starać się ma z jak „największą usilnością, aby uczniowie w nauce i udu-„chownieniu od dnia do dnia postępowali." Dwaj prze-cież przybrani kanonicy w niczem nieograniczają pełnéj władzy biskupa, głos ich jest tylko doradczym.

Wychowanie winno się odbywać bezpłatnie, ztąd konieczność należytego uposażenia seminaryów; wszakże gdy seminarya to szkoły czysto duchowne i jedynie władzy biskupiéj poddane, więc ztąd druga konieczność uposażenia ich z dóbr kościelnych. W tym celu Sobór poleca: 1°. ażeby wszelkie majątki należące do szkół fundacyi kościelnéj pewnéj dyecezyi składały się na utrzymanie seminarium tejże dyecezyi, 2°. nakazuje, aby po oszacowaniu dóbr należących do biskupstwa, kanonii, opactw i przeorstw, oraz wszelkich beneficiów tak świeckich jak i zakonnych, ściągać z nich pewną kontrybucyę na założenie i utrzymanie seminaryów, 3°. zezwala na połączenie beneficyów nieparafialnych lub na inkorporacyą takowych. Od tego podatku żadne z dóbr

kościelnych uwalniać się niemogą, a trwać zaś powinien dopóty, dopókiby się niezebrało dostatecznego funduszu na uposażenie seminaryum. Oto są źródła majątków seminaryjskich. Historya wykazuje, iż powyższe rozporządzenie soboru było jak najściślėj wszędzie zastósowane. Duchowieństwo zgodziło się na uszczuplenie swoich dochodów i jeżeli która z instytucyj duchownych, to szczególniej seminarya powstały i utrzymują się majątkiem czysto-kościelnym.

Nakoniec Ojcowie Soboru powierzają także Seminarya opiece Synodów prowincyalnych. Z tego względu stanowią: 1°. Jeżeliby prałaci katedralni lub innych większych kościołów niedość się okazali chętnymi i dbałymi o zakładanie i utrzymanie seminaryów, lub jeżliby odmawiali płacenia taksy, arcybiskup winien upomnieć biskupa i zniewolić go do wypełnienia wszystkiego co w tėj mierze dekret nakazuje; Synod prowincyalny dopełni tegoż obowiązku względem arcybiskupa i wyższych prałatów i starać się ma, aby to swięte i zbawienne dzieło, wszędzie i jak można najprędzėj przyszło do skutku. 2°. Jeżeliby się zaś gdzie zdarzyło, iż kościoły z powodu ubóstwa niebyłyby w stanie założyć seminaryum, wówczas Synod prowincyonalny powierzy tę rzecz dwom najstarszym sufraganom i poleci im założyć takowe w metropolii lub w miejscu dogodnem dla prowincyi, kosztem tych kościołów, które u siebie osobnego mieć niemogą. Jeżeliby zaś dyecezya z powodu swėj rozległości potrzebowała więcėj seminaryów, biskup może takowe założyć ale w ten sposób, żeby całkowicie zależnemi były od seminaryum głównego. 3°. W razie jakiejkolwiek nieprzewidzianėj trudności, bądź w zakładaniu, bądź w utrzymaniu seminaryów, biskup, lub synod prowincyonalny będzie mógł przedsiębrać, co uzna za ułatwiające i zbawienne w tėj mierze. Z tego wszystkiego widzimy,

w jakim duchu ojcowie soboru pojmowali seminarya, w jakim duchu takowe zakładać, uposażać, urządzać nad niemi czuwać i w nich kościołowi światłych, pobożnych i gorliwych kapłanów wychowywać nakazali. A zatem seminarya wyrosłe z potrzeb kościoła, przez kościół urządzone i uposażone, przez kościół działający na Soborze powszechnym w obec posłów monarchii chrześcijańskich zreformowane, zaopatrzone osobnemi prawami i pod zarząd biskupi poddane, czemże zaczepić się dadzą o nauczycielstwo publiczne, o szkoły, o akademie?

VI.

Czy ojcowie soboru wspomnieli przynajmniéj o uniwersytetach gdy mowa była o urządzeniu szkół duchownych? Bynajmniéj, zachowali owszem w téj mierze jak najgłębsze milczenie. To przecież milczenie godne jest uwagi tem więcéj, że w innych sessyach o uniwersytetach jest wzmianka. Sessya VII. w rozdziele 13 mówi o ich reformie a sessya XIV w r. 5 mówi o ścieśnieniu nadanych im przywilejów. W rozdziale II sessyi XXV. *A quibus nominatim decreta concilii solemniter recipi et doceri debeant*, żąda Sobór, ażeby uniwersyteta przyjęły jego kanony i dekreta i poleca tę rzecz tym wszystkim, którzy wykonywują jakikolwiek nadzór względem tych korporacyj. Nakazuje też, ażeby professorowie wykładali naukę religii i wszystko, co może mieć związek z wiarą katolicką według tychże dekretów i aby się do tego zobowiązywali corocznie ponawianą przysięgą. Wszystko to w téj myśli, ażeby uczącą się młodzież zasłonić przed napaściami wciskającéj się a nawet już na dobre burmistrzującéj wówczas w uniwersytetach niewiary, lub złéj wiary. Tymczasem

w sessyi XXIII widzimy, iż ojcowie dalecy od téj myśli aby seminarzyści uczęszczali na wykład uniwersytecki przedsiębiorą wszelkie środki służące do urządzenia nauczycielstwa *wewnętrznego* w każdem seminaryum. W tym celu chcą mieć, aby nauczyciele przychodzili do seminaryów i tam nauczali grammatyki i teologii. Professorowie grammatyki i teologii utworzeni przez trzeci Sobór Lateraneński będąc pierwszymi nauczycielami akademii, w wieku szesnastym stali się pierwszymi nauczycielami seminaryów. W tych seminaryach połączył kościół nauczycielstwo dawnych uniwersytetów z wielkiemi tradycyami pierwotnych szkół klerykalnych, ażeby jak się Tomassinus wyraża: *nauka szła jednozgodnie z pobożnością: Ut aequis passibus literrarum studia et pietas sequeretur, instituta sunt a concilio Tridentino seminaria in singulis episcopatibus propria.*

Jakkolwiek sobór Trydencki nakazał, aby każda dyecezya posiadała osobne swoje seminaryum, nieszło przecież zatem, ażeby wychowanie i nauka w tem seminaryum miały być koniecznym warunkiem do dostąpienia święceń. Owszem rozdział 7 sessyi XXIII przypuszcza możność przybywania zkąd innąd po wyświęcenie. Doświadczenie jednak okazało, jak dalece wychowanie seminaryjskie i w całem znaczeniu tego wyrazu *wewnętrzne* stało się nieodzownem. Święty Franciszek Saleziusz wszelkiemi sposobami starał się wpoić w duchowieństwo przekonanie o téj szczęśliwéj konieczności i postanowił nikogo nieprzypuszczać do święceń, ktoby się wprzód niedoświadczył w tem świętem odosobnieniu i niedał dowodów prawdziwości swego powołania. Wszyscy gorliwsi biskupi w tymże duchu postępowali zkąd poszło, że seminarya zabsorbowały pomału inne szkoły klerykalne, bądź przy uniwersytetach, bądź przy parafiach przedtem istniejące, że każda parafia zmuszoną była zrzec się osobnego wychowania, że nakoniec jedność

seminaryów zapobiegła rozczłonkowaniu terytoryum duchownego i ścieśniła jedność dyecezalną pod pasterską władzą biskupa.

Trzy wieki dobiegają, jak kościół cieszy się tą nieoszacowaną instytucyą, a zagrażany w ostatnich czasach w jéj wolnem posiadaniu, boską swą siłą stawia opór napaściom niewiary pod różnemi postaciami czychającéj na te kolebki, coraz to nowszych a nieprzerwanych generacyj kapłaństwa. Nauczycielstwo publiczne stawało także nieraz w smutnym zastępie niechętnych. Uniwersyteta niemogąc sobie inaczéj z niemi poradzić, kładły niedawno zapytanie, *w jakimże stosunku chcecie do nas istnieć?* U nas, Konkordat będący nowym dowodem czynnéj miłości kościoła działającéj przez jednego z największych Papieży — oraz szczeréj i wielkomyślnéj przychylności dla kościoła szczęśliwie panującego nam dzisiaj Monarchy, dał w ustępie XVIItym najpożądańszą odpowiedź.

VII.

Ten ustęp Konkordatu nieprzypuszcza żadnéj tranzakcyi między prawem kościoła a faktem zaszłym w Państwie mimo prawa lub przeciwko prawu, ani też jest koncessyą uczynioną Państwu ale tylko prostem i stanowczem oświadczeniem, że Kościół pod względem seminaryów wraca w całości do właściwych praw swoich. Ztąd wypływa, że Konkordat nieurządza nowych stosunków między seminaryami a uniwersytetami, ani téż dotyka dawnych, przez prawo kościelne nieuznanych, niedopuszczalnych, z natury seminaryów niewypływających, a zatem w obliczu kościoła za niebyłe albo za źle byłe uważanych. O stosunkach tych żadnéj zgoła nie znajdujemy wzmianki ani w ustępie wyżéj wzmian-

kowanym, ani w ustępie IVtym (pod lit. b.), ani nawet w ustępie VI gdzie jest wprawdzie mowa o professorach wydziału teologicznego, używanych do uczenia teologii w seminaryum, ale gdzie też zaraz jak najwyraźniéj powiedziano, że professorowie ci wcale *nie w moc swojéj uniwersyteckiéj godności*, ale *tylko w moc uznania biskupiego* w seminaryach używanymi być mają, to jest tylko o tyle, o ile: *Naczelnik dyecezyi uzna ich do pełnienia tego obowiązku za zdolniejszych od innych* [11]) Wszakże, gdy naczelnik dyecezyi mógłby téż innego kapłana uznać zdolniejszym od professora uniwersytetu, przeto zdaje nam się aż nadto jasném, że wzmianka o professorze uniwersyteckim w seminaryum w niczem nie dotyka stosunku seminaryów do uniwersytetu. Ustęp XVI oddaje seminarya bez żadnego ograniczenia pod władzę i zarząd biskupi; normą nauczania, mianowania professorów i rektorów, lub ich oddalania ma być według jego brzmienia, zdanie i wola biskupa; normą urządzenia i administracyi mają być *Święte kanony*, stósowane z całą wolnością (pleno et libero jure), przez naczelników dyecezyi. Oczywista więc, że Konkordat stawia seminarya na tym samym gruncie; na którym stały w moc dekretu Soboru Trydenckiego, który w przedmiocie *quaestionis* jest *kanonem naczelnym*, *zasadniczym*; więc téż wreszcie, ażebyśmy mogli wyrozumieć ostatecznie, jaki jest duch wzmiankowanych paragrafów, żebyśmy się mogli przekonać stanowczo, iż on nietylko stosunków seminaryum z uniwersytetem nie podejmuje, nie urządza, ale go nawet wcale nie uznaje i stawia jedno o-

---

[11]) „Ubi autem theologicae facultatis professorum quisdam ab „Episcopo ad seminarii sui alumnos in theologia erudiendos adhibe- „ri solent, in ejusmodi professores nunquam non assumentur viri, „quos sacrorum Antistes ad munus praedictum obeundum prae ce- „teris habiles censuerit“.

bok drugiego, jedno po za drugiem, jako dwie instytucye mogące wprawdzie i powinne w pewnym względzie w jednym duchu postępować i działać, ale w żadnych koniecznych odniesieniach się do siebie nie istniejące, abyśmy powtarzam mogli rzecz tę należycie i stanowczo wyrozumieć, dosyć nam będzie zastanowić się, jak ów zasadniczy kanon Soboru Trydenckiego był rozumianym i stósowanym tak przez biskupów w pojedynczych dyecezyach, jak i przez Rzym w całym kościele.

VIII.

Jak tylko zapadł ów dekret i ogłoszonym został na sessyi 15 lipca 1573 roku, natychmiast ojcowie soboru wystósowali podanie do papieża Piusa IV, w którém go upraszają, aby swoją najwyższą w kościele powagą wykonanie ustawy poparł i bez odwłoki w całym kościele doprowadzić do skutku polecił. Podanie to przedstawił papieżowi święty Karol Boromeusz, Pius zaś IV zwoławszy zaraz święte kollegium i rozpoznawszy życzenia Ojców, po jednozgodnem oświadczeniu się kardynałów za ustawą, takową potwierdził, a dla dania całemu światu katolickiemu przykładu, według planu Soboru Trydenckiego seminaryum w Rzymie założyć postanowił. Tegoż samego roku 30 Grudnia tenże sam papież w pamiętnéj allokucyi oznajmiając zamknięcie Soboru, mówi szczegółowo o dekrecie urządzającym seminarya i takowy bezzwłocznie w wykonanie wprowadzać nakazuje. W roku następnym 14 kwietnia Pius IV zwoławszy kardynałów, oświadczył im stanowczo, iż wszystkich sił przyłożyć należy, aby dzieło tak wielkie i pożyteczne dla kościoła jak najprędzéj uskutecznioném być mogło. Jako owoc tego oświadczenia w krótkim czasie stanęło projektowane rzymskie seminaryum, a święty

Karol Boromeusz na pierwszym synodzie prowincyonalnym zatwierdził prawo urządzające erekcyą seminaryów w swéj metropolii. Wiadomo, jak ten święty biskup upatrywał zawsze w seminaryach ogromną siłę, i jednę z najgłówniejszych sprężyn do przeprowadzenia reformy w duchu soboru, ale wiadomo także jak seminarya pojmował i jak radykalnie od wszystkiego co jest z tego świata, chciał je mieć oderwańemi i otoczonemi świętością ażeby tąż samą świętością wychodzące z nich kapłaństwo w oczach wiernych i niewiernych jaśniało.

W tym samym duchu pojmowali i wznosili seminarya biskupi tak włoscy jak i całego katolickiego świata. Synod prowincyonalny w Ravennie w r. 1568 poleca, aby w przeciągu jednego roku biskupi, którzy się jeszcze do dekretu soboru powszedniego zastósować nie mogli, seminarya ustanawiali w niczem nieodstępując od dekretu soboru. W tym samym czasie, też same ustawy i w tymże duchu zatwierdza synod w Kapui, we Florencyi, w Harlem, w Utrechcie, w Reims, w Tours, w Aix, w Bordeaux, w Kompostelli, w Toledo a nawet w Limie. Przecież wszystkie wyprzedził synod Warszawski już w r. 1561 polecający biskupom, zwłaszcza też krakowskiemu i poznańskiemu, aby wspólnie z swemi kapitułami zajęli się bezzwłoczną reformą szkół duchownych, tak że w r. 1601 biskup Bernard Maciejowski już przystąpił do założenia seminaryum w myśl Soboru. Skutkiem tych żarliwych i wytrwałych usiłowań, w niedługim przeciągu czasu powstało przeszło tysiąc seminaryów, wszystkie w tym samym duchu, wszystkie mające na celu podniesienie części nauczającéj w kościele przez uświęcenie w ścisłem odosobnieniu od świata i przez głębokie a praktyczne wykształcenie w umiejętnościach świętych pod wyłączną władzą i kierunkiem biskupów.

Rzym też nigdy nie tracił z oczu téj najważniejszéj instytucyi kościelnéj i nieustannie zwracał na nią uwagę biskupów zalecając to ulepszanie już pozakładanych, to zakładanie nowych seminaryów. Od Piusa IV aż do Benedykta XIII seminarya są przedmiotem jak największéj troskliwości stolicy świętéj. Benedykt XIII ustanawia nawet osobną kongregacyę seminaryów, którąby się zajęła wyłącznie obmyślaniem wszelkich możebnych środków, w celu podnoszenia seminaryów tam, gdzie z właściwéj zszedłszy podstawy upadły, lub zakładania tam, gdzieby ich jeszcze nie było. W bulli *Creditae nobis* ponawia jak najdobitniéj rozporządzenia swych poprzedników dotyczące dekretu soboru Trydenckiego o seminaryach i wystawia nieodzowną potrzebnę tych szkół duchownych mających wyłącznie na celu dobro kościoła i zbawienie wiernych. Bullaryusz Benedykta XVIgo mnóstwo też zawiera rozporządzeń o seminaryach a każde z nich jest dowodem, jak wielki ten i dla nauki powszechnie uwielbiany papież w seminaryach zawsze upatrywał instytucyą czysto kościelną, w któréj przedewszystkiem idzie o wyrobienie w aspirującéj młodzieży ducha kościelnego i kościelnéj o sprawę ewangelii żarliwości, a w któréj naukowość ani sama sobie celem być nie może, ani żadnym celom doczesnym służyć nie powinna, ale zbawienie dusz mając jedynie na celu tem samem z naukowością świecką żadnych koniecznych i żywotnych związków niema.

IX.

Wszakże zaledwie kościół przyszedł do tego, że po długich pracach i wysileniach mógłby się był cieszyć owocem tak mądrze i zbawiennie urządzonego wychowania swych duchownych, alić przeciw téj swiętéj re-

formie katolickiéj wzniosły się walki reformy szatańskiéj czującéj i widzącéj coraz jawniéj, jak wielką jest potęgą w ręku kościoła duchowieństwo wykształcone w duchu Ewangelii. Walki te rozpoczęły się w Niemczech. Nieprzyjaciele katolicyzmu powiedzieli sobie, że aby go zniweczyć, trzeba się wziąść do rzeczy *systematycznie*, to jest unikać wszelkich napaści głośnych a tem samem wywołujących opór i tworzących prozelityzm prześladowania. Wolteryanizm francuzki i niemiecki illuminizm będący potworném sprzymierzeniem się filozoficznego ateizmu z frankmassoneryą, dorwawszy się krajuszka książęcéj purpury, wziął na się postać protektora upadłéj sprawy Chrystyanizmu i położył świętokradzką rękę na najświętszych instytucyach kościelnych. Rzecz nataralna, że seminarya najsamprzód na cel wzięte zostały. Zarzucano im zaniedbanie strony naukowéj i organizacyą przestarzałą, z duchem czasu i wymagalnościami społeczeństwa niezgodną. Największą siłą seminaryów było to właściwie, że według ustawy soboru Trydenckiego zostawały pod wyłączną władzą i kierunkiem biskupów a tym sposobem tworzyły szkoły czysto duchowne i od nauczycielstwa świeckiego niezależne. Wyjąć je przeto z pod władzy biskupiéj i zrobić z nich coś nakształt wydziałów teologicznych; to było najżywszem usiłowaniem owych pokrytych, systematycznych prześladowców. Najprzód więc postarano się o wprowadzenie do seminaryów ludzi świeckich, niby głębokich teologów a w głębi serca albo bardzo wątpliwéj wiary, albo całkiem tających zaprzysiężoną nienawiść kościoła, którzy pod wysoką protekcyą i pod wpływem słynnego barona Van Swieten'a nauczali teologii, pisma świętego i prawa kościelnego.

Wkrótce potem, ażeby wychowanie i nauczycielstwo duchownych silniéj podkopać, zatruć i zniweczyć, pozamykano seminarya dyecezyalne, a natomiast utworzono

tak zwane seminarya jeneralne po jedném w każdéj prowincyi rozległéj monarchii. Naturalnie, rzecz taka nie dałaby się tak łatwo uskutecznić bez wmięszania w tę sprawę przynajmniéj niektórych biskupów, a na nieszczęście biskupów takich nie brakło. Cztery takie naczelne zakłady otwarto w Wiedniu, w Peszcie, w Pawii i w Lowanium — a prócz tego założono tak zwane seminaria filialne w Pradze, w Ołomuńcu, w Gracu, w Insbruku, w Luxenburgu. Prussy i Bawarya poszły za danym przykładem i prześcigały się wzajem, tak że niemożna ściśle oznaczyć gdzie pod tém względem posunięto daléj straszliwe zniszczenie. Zakłady te mające wychowywać duchownych katolickich oddane zostały pod zarząd i kierunek professorów wydziałów uniwersyteckich ludzi wyznających otwarcie zasady, do którychby się przyznać niechcieli sami nawet ultragalikanie francuzcy, ludzi zdecydowanych jansenistów i syzmatyków na wzór Hontheim'a, słynnnego autora *Febronius'a*, ludzi wreszcie niekryjących bynajmniéj okropnych zasad illuminizmu takich jak professorowie Dersch, Dereser, Workmeister, Kolb i mnóstwo innych uchodzących za słońca uczoności teologicznéj i filozoficznéj. Wszystkie mniéj więcéj katedry zajęte były przez tego rodzaju znakomitości, a duchowieństwo z tych szkół wychodzące, tak się już pięknie po ambonach sprawowało, że Weishaupt i Swedenborg twórcy illuminizmu mogliby sobie z radością przyklasnąć. Bonn obrano sobie za ognisko téj wielkiéj konspiracyi. Teologowie tak zwani liberalni, to jest obrani do szczętu z wiary, w obec których sami dogmatyczni protestanci, jeszcze się za nadto pozytywnemi wydawali, w wykładach i rozprawach swoich powstawali głośno w obec katolickiego auditorium, w obec nawet wyższego duchowieństwa, przeciwko wyrokom kościoła, przeciw władzy papieża, przeciw prawom, instytucyom i zwyczajom uświęconym przez kilku i kilkunastu wie-

kową praktykę, zatwierdzonym przez sobory powszechne. Pod nazwą Obskurantyzmu i Ultramontanizmu potępiano wszystko co tylko było silniejszym wyrazem katolicyzmu, co tylko przypominało dawny system wychowania w szkołach duchownych. Co najsmutniejsze, najopłakańcze, to że w tem dziele zniszczenia wzięli udział, jak powiedzieliśmy, najwyżsi dygnitarze duchowni, że w téj systematycznéj demoralizacyi kleru, filozofizm i niewiara posługiwały się prałatami piastującemi w kościele i w państwie najwyższe godności, że wszystkie te gwałty dokonywały się w imie biskupów, a najzacięciéj w imie trzech elektorów duchownych, że naprzeciw tym zastępom spiskującym i przywodzącym w mitrach, zaledwie kilku biskupów prawdziwie silnie wystąpiło, jak kardynał Migazzi w Wiedniu, książę Esterhazy biskup Agramu, hrabia Etling, arcybiskup Goerz i biskupi belgijscy mający na czele najżarliwszego podówczas bohatera świętéj sprawy kościoła, kardynała Frankenberg. Z całym więc pozorem legalności, szkoły duchownych, szkoły świętych umiejętności i cnót kapłańskich zamieniono na szkoły zepsucia, niewiary, i powszechnego zgorszenia w kościele. Statuta seminaryjskie, wybór professorów, kierunek nauczycielstwa wszystko to z jak najzupełniejszem podeptaniem praw kościelnych urządzał referendarz ministeryalny a przed wszechmocną jego władzą mniéj więcéj korzyło się wszystko. I potem wszystkiem ośmielano się instytucye tak wbrew przeciwne i kanonom i duchowi katolicyzmu nazywać szkołami kapłanów, seminaryami!

X.

Podstawione w miejsce Seminaryów dyecezalnych tak zwane Seminarya jeneralne czyli terytoryalne, stały się

w krótkim czasie największą boleścią i klęską kościoła. Słuchajmy co w téj mierze przytacza znakomity dzisiejszy niemiecki publicysta i dziejopisarz kościoła, Augustyn Theiner: „Nowe szkoły mające dostarczać kościołowi kapłanów uczeńszych i więcéj z duchem czasu i wymagalnościami społeczeństwa obznajmionych, oddane pod zarząd i kierunek laików bez religii, bez sumienia, bez uczciwości, oraz duchownym najniegodniejszym tego tytułu, były raczéj szkołami niereligijności, schizmy, kacerstwa i najbezecniejszego zepsucia. W nich młode lewity po kilkuletnich na wydziale teologicznym studiach, skąpani w kałuży błędu, występku i nierządów i przesiąkli naukami wprost przeciwnemi nauce katolickiego kościoła, przepędzali od pięciu do sześciu miesięcy w celu wyćwiczenia się w ceremoniach religijnych i w pewnych zwyczajach liturgicznych, do których zwykle ani professorowie ani uczniowie żadnéj nie przywięzywali wagi i z których nawet szydzili otwarcie; a tak wyuczeni i uduchownieni, wysyłanymi byli na parafie, jako mający silniéj i pożyteczniéj niż przedtém pracować w winnicy Pańskiéj“ [12]).

Właściwie mówiąc, tu się zaczyna stosunek Seminaryów do Uniwersytetów; stosunek wylęgły z systematycznéj destrukcyi wszystkiego co katolickie, stosunek oparty na zerwaniu naturalnéj zależności i związków między szkołami kościelnemi a Kościołem, i mający na celu zagładę katolickiego duchowieństwa; stosunek, przez który Uniwersytet narzucając Seminaryom swoich wychowańców i nakazując ich święcić, przygotowywał sobie najzapaleńszych zwolenników i propagatorów swych zasad. Nauczycielstwo téż w Seminaryach już przekształconych nie różniło się bynajmniéj od nauczycielstwa

---

[12]) Theiner. *Hist. des institutions d'education ecclesiastique* T. II. p. 45.

w Uniwersytecie, i dla tego właśnie tak łatwo było Uniwersytetom ów nieszczęśliwy stosunek utrzymać i przezeń Seminaryami na rzecz swoich własnych widoków lub na rzecz widoków z góry sobie narzuconych, trząsać. Jeżeli bowiem Seminaryum ma mieć na celu tylko umysłowe wykształcenie, lub jeżeli takowe na pierwszém miejscu kładzie, rzecz bardzo naturalna, że pod władzę Uniwersytetów, będących że tak powiem, najwyższym majestatem naukowym, prędzéj czy późniéj przechodzi. W takim téż razie nauczycielstwo seminaryjskie choćby téż było i najlepsze, musi się w końcu przekształcić na normę nauczycielstwa uniwersyteckiego, którego jest tylko podrzędnym wydziałem, albo z łaski przyczepionêm *supplementum*. Co się téż działo pod względem nauczycielstwa w owych seminaryach jeneralnych, niepodobna bez najgłębszego oburzenia wspomnieć. Kardynał Pacca przytacza w swoich pamiętnikach [13]) jako naoczny świadek fakta, które w obec tego cośmy powiedzieli jeszczeby się wydały przesadą — a jednak niestety nic bardziéj udowodnionego. Pobożny jeden z przytoczonych powyżéj biskupów, pisząc do biskupa w Belgii, tak się w téj mierze wyraża: „Rzeczą jest niezawodną, że w naszych seminaryach moralność i religia z gruntu jest wywróconą, a najszkodliwsze błędy nietylko że cierpiane, ale nawet otwarcie nauczane. Niepodobieństwo przytaczać rzeczy szczegółowo, ograniczam się przeto na przedłożeniu pewnych propozycyi nauczanych publicznie, lub przynajmniéj przyjętych powszechnie: 1. Co do nieomylności kościoła, takowéj prócz małéj liczby głów słabych już dzisiaj nikt nie wierzy. Dla wielu jest ona przynajmniéj bardzo wątpliwą. 2. Sobór Trydencki natworzył wiele dogmatów, których staroży-

---

[13]) *Memorie storiche di Monsignior. Bartholom. Pacca, sul di lui soggiorno in Germania dell anno 1786—1794.*

tność wcale nie potwierdza. 3. Trudnoby było udowodnić, że spowiedź ma boski początek. 4. Kościół nie posiada władzy prawodawczéj a przynajmniéj wyroki jego, o tyle tylko mają moc prawa obowiązującego, o ile są usankcyonowane przez Państwo. 5. Kościół nie ma władzy stanowić przeszkód co do małżeństwa. 6. Małżeństwo jest stanem doskonalszym niż Celibat. 7. Człowiek jest sam sobie celem. 8. Sakramenta są tylko zewnętrzną stroną religii i wcale nie stanowią religii. 9. Post, jak skoro tylko przechodzi zwykłe prawidła wstrzemięźliwości, sprzeciwia się prawom natury. 10. Kary piekielne są czasowe. 11. Jedyną cnotą jest miłość samego siebie, w niéj się zawierają wszystkie inne cnoty, itd. itd.“ [14]). Otóż w jaki sposób podniesioną została strona naukowa w wychowaniu duchownych. Któreż kacerstwo lub odszczepieństwo szło kiedy daléj? Wszakże ten wpływ nie ograniczał się na samych teoryach, na samém zatruwaniu umysłów. Professorowie teologii wiedli lub gwałtem popychali młodzież do najohydniejszych zastósowań praktycznych. Seminaryum w Fryburgu Bryzgawskiém było szkołą wyrafinowanéj niemoralności. Wszystko tam wyszydzone, wszystko było zdeptane przez nauczycieli i uczniów. Trudne do uwierzenia jakie nierządy panowały w większéj części tego rodzaju zakładach. W Ratemburgu, Jan Kolb, ksiądz i professor teologii pastoralnéj, sam wylany na wszelkiego rodzaju bezeceństwa, występował otwarcie przeciw zasadom religii i moralności w obec seminarystów i świeckich, i do ich pogwałcenia nietylko wykładem z katedry, ale téż jeszcze daleko wymowniejszemi dla serc zepsutéj młodzieży przywodził środkami. Co piątek naprzykład prowadził uczniów do najostatniejszych szyn-

---

[14]) Supplém. aux réclamal. belges, t. XIII, p. 193—197. Theiner. Hist. des Institutions t. II, p. 64.

kowni i tam ich do jedzenia mięsa publicznie namawiał; o innych tego rodzaju propagandach niepodobieństwo bez obrażenia uczciwości i wstydu wspominać; co wyłożywszy *per argumenta ad hominem* kończył ostrzeżeniem: „że wszystko będzie dobrze byle jeno zostawszy proboszczami umieli być ostrożnemi względem parafian, łatwo w skutek prostactwa mogących się gorszyć.“ Pobożny pewien i uczony zakonnik mówiąc o innym tego rodzaju zakładzie tak się wyraża: „Wiedz i bądź przekonany, że bynajmniéj nie przesadzam, kiedy ci oświadczam, że wolałbym przelać połowę krwi mojéj, niż krokiem postać w tém miejscu bezecném. Z najgłębszą boleścią patrzałem tam nieraz na takie wywracanie rzeczy najświętszych, że mi się zdało niepodobieństwem, ażeby professorowie przywodzący w téj szatańskiéj robocie, mogli być wyznawcami Jezusa Chrystusa. Co do zepsucia serc, co do niemoralności, gdybym nie widział własnemi oczyma do jakiego stopnia dochodziła, nigdybym temu nie uwierzył. Cóż dopiero mówić o tezach, jakie tam podejmują i z całą powagą form teologicznych bronią? W rękach seminarystów mogłeś był widzieć najniebezpieczniejszych pisarzy, a czego pod względem niereligijności lub niemoralności w ich dziełach brakowało, to professorowie dopełniali swym wykładem. Co ci zaś donoszę o tym zakładzie, to samo znaleść możesz we wszystkich tego rodzaju szkołach. Tak naprzykład w Pawii mianowano rektorem Seminaryum generalnego takiego człowieka jak Tamburini, otwarty jansenista, którego za bluźnierstwa i zgorszenia wypędzono z Wenecyi. Tak w Inspruck'u masz rektorem takiegoż Seminaryum osławionego franc-massona Albertiniego“ [15]). W Bonn, jak powiedzieliśmy wyżéj, istniało ognisko tego sprzysiężenia—tymczasem sławne Conciliabulum w Ems

---

[15]) **Recueil 13 de Reclam. belges.**

niechcąc się wprost oświadczyć przeciw Seminaryom biskupim, wzywa młodzież kształcącą się na duchownych, ażeby się udawała na nauki teologiczne do Bonn, gdzie umiejętności teologiczne miały się niby wznieść do wysokiego stopnia doskonałości. Naturalnie, klerykom tego tylko było potrzeba, tłumnie więc cisnęli się na wykład uniwersytecki, a olśnieni pochodnią illuminizmu, tracili do szczętu wiarę w chrystyanizm i uczyli się, jak to trzeba *metodycznie* i *pobożnie* walczyć przeciw kościołowi i pozytywnéj stronie religii. W Bawaryi słowo w słowo toż samo się działo. Najznakomitszymi professorami teologii byli tam ludzie tacy jak Buchner, Miehl, Grunderode i Salat, zwiący się *legionem na wytępienie wszystkich religii i wymordowanie wszystkich księży.* I któż po tém wszystkiém dziwić się będzie, że aby odpowiedzieć na przeszło 11,000 pamfletów bezbożnych w owym czasie rozrzuconych, zaledwie wówczas kilku znalazło się księży? Powié kto, że się to działo w chwilach powszechnéj niewiary, że się to stało w ówczas kiedy wszystkie uniwersyteta były względem kościoła na stanowisku czysto zaczepném, na stanowisku walki?

Pozwalamy na to, że dzisiaj są na inném stanowisku,— pozwalamy nie z zupełnego przekonania, jakoby tak w saméj rzeczy było, ale dla przekonania, że choćby tak było, wpływ przecież uniwersytetów na seminarya nie byłby dla tego mniéj niepokojący. Pozwalamy, powtarzam, na to. Któż nas jednak zapewni, że to stanowisko za lat kilka znów się nie odmieni? Kościół téj rękojmi wcale nie posiada, bo uniwersyteta jego kontroli nie przyjmują, a chociaż prawo kontroli przyznaje mu konkordat, to rzecz aż nadto jasna, że prawo to nigdy kościołowi takiéj władzy nie daje, jaką on posiada w moc swojéj boskiéj instytucyi nad szkołami li duchownemi, a przeto téż nigdy dostatecznie zapewnić go nie zdoła o duchu nauczycielstwa uniwersyteckiego. Co innego bowiem jest

módz dozorować, a co innego *tworzyć, urządzac i miec wyłącznie pod swoim kierunkiem*. To drugie posiadają biskupi względem seminaryów w moc swego świętego posłannictwa, w moc obowiązku, w moc powszechnego prawa kościoła i posiadają w doskonałéj pełności — pierwsze zaś mogą posiadać i posiadają dzisiaj w skutek szlachetnéj miłości katolickiego Monarchy dla Kościoła — ale mogli by téż i nie posiadać — w każdym zaś razie byłby to dozór i *tylko dozór*.

XI.

Z wstąpieniem na tron cesarski Leopolda, straszna ta robota systematycznego niszczenia instytucyi katolickich ustała, a z nią téż znikły i seminarya jeneralne. Cesarz ten biorąc w swe ręce rządy rozległéj monarchii, zaraz to na wstępie pojął, jak coraz większemi niebezpieczeństwy szkoły te i Kościołowi i Państwu groziły. Sam więc zniósł je bez długiego namysłu i poleciwszy biskupom, aby jak najprędzéj dawne seminarya dyecezalne poprzywracali, pomoc im swoją w dokonaniu tego dzieła ofiarował. Bawarya poszła zaraz w ślady Cesarstwa — Prussy o wiele póżniéj i to nie wszędzie.

To bolesne doświadczenie, żywiéj podobno niż wszelkie rozumowanie dowiodło, jak wielkiéj są wagi i jak są nieodzowne seminarya dyecezalne, takie, jakiemi być winny w moc dekretu Soboru Trydenckiego. Dla tego też wszystkie prawie konkordaty jak najwyraźniéj opisują rozporządzenia dotyczące erekcyi seminaryów w każdéj dyecezyi i jak najdobitniéj gwarantują prawa biskupów w ich zarządzie tak duchownym jak doczesnym. Nie mówiąc już o konkordacie bawarskim z r. 1817, który w przedmiocie seminaryów tak dokładnie oznacza ich stanowisko czysto-kościelne, mamy w téj mierze dzi-

wnie piękną odpowiedź Piusa VII do książąt niemieckich zgromadzonych w Frankfurcie nad Menem, na ich przedstawienie w przedmiocie interesów katolickich. W przedstawieniu tém obok uznania, iż seminarya będąc szkołami duchowieństwa, stanowią część dopełniającą Kościoła katolickiego, były przecież wyrażenia dowodzące iż książęta niemieccy zostawali jeszcze w błędzie co do ich rzeczywistéj natury. Pius VII ostrzegając ich z téj strony, przypomniał bardzo dobitnie, że każda dyecezya powinna mieć seminaryum, któreby kształciło na duchownych odpowiednią liczbę indywiduów od jak najpierwszéj młodości. Oto jest główny ustęp téj odpowiedzi: „Kiedy skonfederowani książęta przypuszczają potrzebę seminaryów w każdéj dyecezyi ich państw, Papież z swéj strony czuje się obowiązanym przypomnieć im, że seminarya te istnieć inaczéj nie mogą, jak tylko urządzone według wzoru, który w tym celu przepisał Sobór Trydencki, a którego istotną pożyteczność dla Kościoła wykazało trzechwiekowe doświadczenie. Dla tego to, Jego Świętobliwość oświadcza, iż jego najusilniejszém życzeniem jest, ażeby w myśl rozporządzenia Soboru każda dyecezya miała swe osobne seminaryum, bo jeżeli Sobór zezwala na zgromadzenie młodzieży z kilku dyecezyj w jedném seminaryum, to tylko w przypadku zupełnéj niemożności posiadania seminaryum całkiem osobnego i tylko dotąd, dopókiby przeszkoda rzeczywista trwała. Przeto Jego Świętobliwość pochlebia sobie, iż zgromadzeni Książęta nieomieszkają z majątków kościelnych obecnie w ich ręku zostających, do trzech seminaryów, o których mowa w ustępie IVtym deklaracyi, dodać jeszcze dwa dla dyecezyj takowych jeszcze nie posiadających“.

Ojciec święty broniąc się przeciw projektowanym seminaryom zbiorowym, widocznie najwięcéj obawia się tego, ażeby w nich żywioł naukowości nie przemógł i

nie przytłumił naczelnéj myśli, to jest wychowania czysto i silnie duchownego, i aby tym sposobem nie poddał ich znowu pod wpływ instytucyi czysto naukowéj. Dowodzi tego reszta listu, w któréj ciągle jest mowa o nauczycielstwie wewnętrzném, a któréj poniżéj dotkniemy. Bulla téż z 16 sierpnia 1821 roku do prowincyj nadreńskich przepisuje, ażeby seminarya dyecezalne zakładane i urządzane były w myśl Soboru *pod wyłączną władzą i zarządem biskupów* i aby liczba przyjmowanych odpowiednią była potrzebom dyecezyj, przez naczelników tychże dyecezyj uznanym. Na pięć dyecezyj, cztery posiadały seminarya. Pius VII poleca, aby piąta starała się mieć takowe bezzwłocznie. Bulla rozgraniczenia dyecezyj Hanowerskich z 7 kwietnia 1824 r. przepisuje wyraźnie, ażeby biskupi Osnabrück i Hildesheim posiadali własne i przez samych siebie rządzone seminarya. Wszakże z konkordatów ówczesnych żaden tak dobitnie nie wypowiadał rozporządzeń seminaryów, jak konkordat zawarty w r. 1827 między Stolicą świętą a Niderlandami. W bulli *Quod jam diu* wydanéj z powodu tego konkordatu przez Leona XII, opisane jest jak najwyraźniéj wszystko co tylko potrzebném było, aby wpoić to przekonanie, że seminarya nie cierpią żadnego obcego wpływu, ale jedynie i wyłącznie zostawać winny w ręku biskupów. „*Enim vero*, pisze ten „Papież, *boni ac strenui in Vinea Domini operarii non* „*nascuntur sed fiunt*, *ut autem fiant*, *ad Episcoporum* „*solertiam*, *industriamque pertinet*". Daléj zaś mówiąc o zarządzie wewnętrznym w seminaryach, tak się wyraża: „Co się dotyczy nauk, karności, wychowywania i zarządu, to wszystko zostawać ma pod władzą miejscowych biskupów, wszystko przez nich według przepisów kanonicznych wykonywane być ma. A przeto, jakie książki mają być używane, kto ma być przyjęty, kto wydalony, kto wybrany na rektora i professorów,

kto z nich od sprawowania urzędu, dozorowania lub nauczania oddalony, o tém wszystkiém biskupi sami rozsądzać i stanowić mają.“

XII.

Z tego co się dotąd powiedziało widzimy, iż ów dekret zasadniczy Soboru Trydenckiego co do seminaryów głównie polega w rozumieniu Kościoła na owéj autonomii biskupów, która nietylko że nieznosi obcego prawodawstwa i obcéj administracyi, ale nawet żadnego obcego nieprzyjmuje wpływu. Akta synodów prowincyalnych, niczem niępokonany opór tak Stolicy Świętéj jak i wszystkich gorliwszych biskupów stawiany nieprzerwanie przeciw seminaryom jeneralnym, nakoniec domagania się Stolicy Świętéj we wszystkich prawie późniejszych konkordatach, i bulle papiezkie konkordatami temi lub też tylko samym w téj mierze sposobem widzenia Stolicy Świętéj wywołane, dowodzą jak najoczywiściéj, że seminarya tworzą część żywotną i niezbędną w układzie dyecezalnym i że wszelki system wychowania klerykalnego, wszelka zmiana, lub poprawa w nauczycielstwie duchownych, wymaga szkół całkiem duchownych z osobnem uposażeniem, administracyą, formą kollegialną i z jak najzupełniejszą w ich zarządzie niezależnością biskupów. Co do téj ostatniéj, Rzym tak dalece stał o nią zawsze i stoi, że w żadnym wypadku choćby też czasowo najkorzystniejszym dla seminaryów, na wyjęcie takowych z pod jurysdykcyi właściwych biskupów, lub na jakiekolwiek bądź ograniczenie téj jurysdykcyi przez obce wdanie się lub wpływy niepozwalał, i niepozwala. Sam biskup niemoże na to ograniczenie swojego wpływu bezpośredniego na seminarya i swéj władzy wypływającéj z prawa po-

wszechnego kościelnego zezwolić, bez poprzedniego zniesienia się z Stolicą Świętą i bez jéj uznania że wpływ przybrany przedstawia rzeczywiste korzyści, a i to w ten sposób, żeby wola następcy w skutek układu poprzednika niczem krępowaną niebyła. Przecież tu niema mowy o wpływach instytucyi świeckiéj, jaką jest uniwersytet, bo wpływy takie nigdy onéj rzeczywistéj korzyści nieprzedstawiają, ale owszem zawsze się rzeczywistą szkodą seminaryów kończą. Mówiąc o wpływach pośrednich i dobrowolnie przez biskupów za zezwoleniem Stolicy Świętéj przyjmowanych, mamy na myśli Zakony lub Zgromadzenia w wychowaniu kleru po seminaryach używane. Otóż więc, wszyscy prawie kanoniści zgadzają się na to, że aby użycie zakonników do wychowania seminarystów mogło być prawne i *w duchu dekretu zasadniczego* o seminaryach, zezwolenie Stolicy Świętéj jest w téj mierze nieodzowne jako warunek essencyonalny. Mnóstwo na to mamy dowodów w decyzyach świętéj Kongregacyi Koncylium, przez które Rzym odpowiada na tego rodzaju biskupie przedstawienia. Tak kiedy naprzykład w r. 1714, jeden z biskupów włoskich chciał powierzyć zarząd duchowny i materyalny swego seminaryum ojcom Doktrynarzom *pro tempore* i to pod swym nadzorem, w ugodzie przecież zawartéj w tym celu z prokuratorem jeneralnym tego zgromadzenia dodać musiano *salvo tamen beneplacito apostolico*, a zapytana bezwłocznie kongregacya koncylium, zatwierdziwszy tę ugodę *prowizorycznie* o tyle tylko na wprowadzenie ojców zezwoliła, o ile by ich biskup własnym swym kosztem, nie zaś z funduszów seminaryjskich chciał utrzymywać. Zezwolenie to niemniéj jest potrzebnem w tenczas nawet, kiedy zgromadzenie mające kierować wychowaniem seminaryjskiém ma na to ogólne potwierdzenie stolicy świętéj, to jest kiedy między celami jakie sobie założyło i w jakich uznaném zostało, ma też

i wychowanie kleru po seminaryach. Takiem jest naprzykład Zgromadzenie świętego Hieronima Emiliana zatwierdzone przez Piusa V, które mimo tego, wiele razy miało być użyte po seminaryach, zawsze potrzebowało osobnego zezwolenia Kongregacyi. Takiem jest Zgromadzenie Towarzystwa Jezusowego, które mimo ogólnego prawa kierowania seminaryami udzielonego im w bullach apostolskich, potrzebuje w danym razie szczegółowego upoważnienia. Upoważnienia tego stolica apostolska niezwykła odmawiać, przecież udzielając je na prośbę w ugodę wchodzących stron zawsze dodaje zastrzeżenie, aby seminaryum nieprzestawało dla tego istnieć pod opieką, dozorem i zarządem biskupim: *sub patrocinio, protectione et subiectione Episcopi.* Ogólne bowiem upoważnienie, jakie w téj mierze Stolica Święta udziela pewnym Zgromadzeniom w chwili kiedy ich exystencyą potwierdza żadnego jeszcze niedaje im prawa, ale znaczy tylko, że cel główny, który sobie owo zgromadzenie zakłada i reguła jaką sobie przepisuje nieprzeszkadza im w razie uznanéj potrzeby zajmować się wychowaniem po seminaryach. Ale to rozwięzuje tylko kwestyę zdolności, możebności, obok czego trudność ze strony samychże seminaryów zostaje jak była nierozwiązaną, tak że niemożna jeszcze dla tego odstąpić zarządu seminaryów jakimbądź zgromadzeniom zakonnym bez nadwerężenia ustawy zasadniczéj Soboru powszechnego. Kiedy bowiem jakieś zgromadzenie Zakonu bierze w posiadanie seminaryum, zawsze sobie rezerwuje prawo dowolnego mianowania rektora i professorów i dowolnego tychże odwołania. Tymczasem, biskup niemoże zobowiązywać swoich następców z nadwerężeniem ich praw i wolnego tychże wykonywania, a takiem właśnie prawem jest nominacya rektora i professorów winnych zostawać pod zupełną zależnością ordynariatu. Prawo, jak się rzekło, jest w tym względzie *powszechne*

zawyrokowane przez Sobór, potwierdzone w mnóstwie konstytucyj apostolskich i konkordatów; ponieważ zaś od praw powszechnych nikt inny niema władzy dyspensować jeno sam papież, przeto bez jego zezwolenia biskup niemoże przeciw temu prawu ustępować swego seminaryum zakonnikom. Samo nawet czasowe takie ustąpienie zdaje się że niezmienia stanu rzeczy, bo choćby nawet biskup mógł odstąpić na czas swego ordynaryatu praw jakie mu przysłużają względem seminaryów, to przecież niemoże pominąć praw komissyi kanonicznéj, mającéj także w wyborze rektora i professorów swój głos doradzczy, za którym wprawdzie może biskup nie pójść, ale którego pod nieważnością nominacyi zasięgać jest obowiązany. Takie postępowanie równie samychże biskupów jak i Rzymu rzecz naszą nader wyraźnie potwierdza. Dość tutaj wspomnieć dwa fakta, jeden zaszły w roku 1780 w Polsce, drugi za Piusa IV w Rzymie. Kiedy biskup Chełmski obrządku ruskiego, założywszy seminaryum chciał je powierzyć Bazylianom i dopraszał się o zezwolenie na to Rzymu, stolica święta ze względu na *rzeczywistą potrzebę* chętnie zezwoliła z zastrzeżeniem jednak wyraźnem, że się w téj mierze następcom pobożnego założyciela zupełna wolność zostawia utrzymać Bazylianów, lub im też seminaryum odebrać. Toż samo, kiedy Pius IV oddawał w Rzymie seminaryum Towarzystwu Jezusowemu, władzę i zarząd w temże seminaryum raz na zawsze Kardynałowi Wikaremu jak najzupełniéj rezerwował.

Dla czego tak skrzętnie te wszystkie szczegóły przytaczamy? Idzie nam o to, ażeby wykazać, jak dalece jest to w duchu kościoła, ażeby władza biskupia nad seminaryami była zawsze całkowitą, bezpośrednią żadnym obcym wpływem niekrępowaną. Otóż, jeżeli Kościół tak jest ostrożny i określający działanie zgromadzeń zakonnych pod względem wychowania seminaryj-

skiego, jakkolwiek do wychowania tego przez ogólne zatwierdzenie upoważnionych, jeżelić się obawia wpływów swych własnych instytucyj i zapobiega, aby w niczem autonomii biskupiéj w zarządzaniu i nauczycielstwie seminaryów nienadwerężały, cóż dopiero mówić o wpływach uniwersyteckich niczem nieupoważnionych i na niczem nieopartych?

XIII.

Na zapytanie co o tem trzymać, Stolica Święta jak najwyraźniéj sama odpowiada. Mamy w tym przedmiocie dwa dokumenta. Jeden stanowi odpowiedź Piusa VII z r. 1819 na przedstawienie zkonfederowanych książąt niemieckich; drugim zaś jest bulla Leona XII.

Otóż Pius VII tak się wyraża:

„Co najwięcéj zwraca uwagę Stolicy Świętéj, to postać jakąby chciano nadać seminaryom będącym zawsze przedmiotem najwyższéj troskliwości kościoła. Z ostatniego ustępu artykułu 4go Jego Świątobliwość widzi, że jest zamiar utworzenia dla seminaryów nauczycielstwa w uniwersytetach. W takim razie do seminaryów przyjmowanoby tylko młodzież już dorosłą, która ukończywszy nauki teologiczne na wydziale uniwersyteckim wstępowałaby na jakiś czas do seminaryum jedynie w celu nabycia praktyki do spełnienia świętych obowiązków kapłaństwa, w celu obznajomienia się z zewnętrzną stroną obowiązków pasterskich, z liturgią i tym podobnemi rzeczami. W tem rozumieniu rzeczy utwierdza Ojca świętego artykuł 6ty, w którym jest tylko mowa o nominacyi rektora przysłużającéj biskupom, ale o professorach niema żadnéj wzmianki. Jednakże, takiego urządzenia Jego świątobliwość niemógłby po-

twierdzić [16]) *To się sprzeciwia przepisom soboru Trydenckiego, równie jak i celowi, który sobie Kościół w urządzeniu seminaryów zakłada.* Sobór Trydencki mówiąc o seminaryach, stanowi na sessyi 23, że w nich ma być utrzymywaną, wychowywaną religijnie i ćwiczoną w umiejętnościach duchownych pewna liczba chłopców *(certum puerorum numerum).* Co zaś do celu, jaki sobie Kościół w seminaryach zakłada jest nim wychowanie od jak najpierwszéj młodości tych, którzyby się chcieli poświęcić na służbę bożą, oraz usposobienie ich do cnót stanu kapłańskiego i wykształcenie w umiejętnościach świętych pod dozorem biskupów i wyłączną od nich zależnością. Jeżeli w państwach nawet katolickich niemieckich wcisnęły się pod tym względem jakieś nadużycia, żadną miarą niemożna tego zarzucać lub przytaczać Stolicy Świętéj, która nietylko, że ich nigdy nieuznała i niepotwierdziła, ale owszem zawsze je potępia. To bowiem, że jakoweś nadużycie ustaliło się w państwie katolickiem, niedowodzi jeszcze bynajmniéj i w żaden sposób rozumnie dowodzić niemoże, jakoby Stolica Święta nadużycie to uznała i potwierdziła. Stan zaś upadku duchowieństwa w Niemczech jest wedle zdania Jego świątobliwości, równie jak według zdania biskupów skutkiem nadużyć jakich sobie pozwolono względem seminaryów, *a zwłaszcza też w tem, iż do seminaryów tych tylko przypuszczają, którzy skończyli nauki teologiczne w uniwersytetach*, gdzie do zbyt wielkiéj przywykli wolności i przesiąkli najniebezpieczniejszemi zasadami. Trzebaby zupełnie nieznać ludzkiéj natury, ażeby temu uwierzyć, iż w czasach tak zepsutych jak obecne, młodzież już dojrzała mogła się w kilku miesiącach wdrożyć w cnoty właściwe stanowi kapłańskiemu,

---

[16]) **Prosimy uważać, że tu idzie o jedynie możebny stosunek seminaryów do uniwersytetów.**

skoro w tych cnotach niebyła od dzieciństwa ćwiczoną i umacnianą. Co najtrudniejsze do uwierzenia, to żeby ludzie młodzi już dorośli i przesiąkli maksymami sprzecznemi z powołaniem do kapłaństwa mogli wrócić na drogę zasad surowéj moralności i to jeszcze w tak krótkim czasie.“

W dalszym ciągu téj odpowiedzi Pius VII z uwagi na wyrażone trudności i niebezpieczeństwa nalega silnie, ażeby seminarya w myśl Soboru powszechnego miały swoje własne nauczycielstwo pod wyłącznym kierunkiem biskupów, do których z prawa boskiego przynależy nauczać powierzonych sobie wiernych bądź przez samych siebie, bądź przez kapłanów swego wyboru, a to zaś nietylko w katechizmach i kazaniach dla ludu, ale też i w kształceniu na duchownych. Wypowiada daléj, że co do władzy wybierania professorów do nauczania seminarystów, takową według zasad katolickich sam tylko biskup posiada i że w wykonaniu téj władzy nikt go niemoże ograniczać, ani mu swoich wpływów narzucać. Przypomina zbyt świeże i znane fakta dowodzące, jak wpływy nauczycielstwa uniwersyteckiego są dla kościoła niebezpieczne i odwołując się do prawowierności zgromadzonych panujących zapytuje, czy podobieństwem jest, ażeby On, Głowa Kościoła mógł obojętnie cierpieć, iżby młodzież mająca stanowić nadzieje Kościoła miała się kształcić w umiejętnościach świętych po uniwersytetach aż nadto znanych z swych usposobień dla katolicyzmu, zamiast w seminaryach pod ciągłym nadzorem biskupów. Kończąc zaś tak się wyraża: „Jego świątobliwość równie jak biskupi niemoże żadnéj pokładać nadziei w zapewnieniach, że na professorów teologii w uniwersytecie ci tylko będą przypuszczani, którym biskup udzieli swój certyfikat, ani też niema się czego spodziewać po prawie nadzoru, które deklaracya artykułem 6 zostawia biskupom, iżby w szkołach kato-

lickich nic takiego nienauczano, coby się czystości wiary i nauki katolickiéj sprzeciwiało. Jego świątobliwość w tych zapewnieniach nic takiego niewidzi coby mogło gwarantować prawowierność nauczycielstwa. To albowiem, co się dzieje za dni naszych, to jest, że mimo powtarzanych reklamacyj Ojca świętego wciąż przecież po uniwersytetach katolickich w Niemczech wykładają się nauki z duchem katolicyzmu niezgodne, najoczywistszym jest dowodem, *że ów nadzór zapewniany biskupom względem professorów, jest tylko czczem wyrażeniem, niewiodącem do żadnego rezultatu i bronią, któréj biskupi przy najlepszych nawet intencyach użyć nie mogą.*

Słowa te aż nadto są jasne więc niepotrzebują żadnego kommentarza, zatem kiedyśmy już widzieli jak Święta Stolica w odległych krajach broni seminaryów dyecezalnych od wpływów nauczycielstwa uniwersyteckiego, zobaczmy teraz jak się na te wpływy zapatruje u siebie.

W tym celu przejdźmy do bulli Leona XII.

Bulla ta, zaczynająca się od słów: *Quod divina sapientia*, poddaje w Państwie kościelnem, wszystkie uniwersyteta, wszystkie szkoły publiczne i prywatne oraz kollegia pod najwyższą kontrollę i dozór ustanowionéj w tym celu Kongregacyi Nauk. Leon XII reorganizując w ten sposób nauczycielstwo publiczne w swém państwie nie występuje przecież w charakterze władcy doczesnego , ale wykonywuje boskie posłannictwo względem nauczycielstwa w powszechności, jako głowa kościoła. Ustanowiona kongregacya nauk składa się z samych prawie kardynałów i biskupów, a oprócz władzy nieograniczonego dozorowania posiada względem nauczycielstwa publicznego władzę prawodawczą i sądowniczą. Powtóre, wspomniona bulla daje biskupom jak najobszerniejsze prawo kierowania nauczycielstwem w uniwersytetach i szkołach. Oni z prawa są kanclerzami uniwer-

sytetów, oni z obowiązku czuwać mają nad zachowaniem należytego porządku, oni są wykonawcami ustaw; wszystkie zdrożności i występki zaszłe w zakresie uniwersyteckim oni sądzą i wyrokują. Wybór professorów, udzielanie stopni do nich należy. Toż samo co do szkół publicznych. W moc tytułu XIII bulli, oni stanowią o wszystkiem co się dotyczy zakładania szkół, a ze wszystkiego, co było w związku z wiarą i obyczajami powinno im być składane przy końcu roku o wszystkich uczniach szczegółowe sprawozdanie. Jednem słowem bulla ta, tak obszerną władzę nadaje biskupom co do szkół i uniwersytetów, tak silny zapewnia im wpływ, tak zabezpiecza wszelkie prawa kościoła we względzie nauczycielstwa i ich ścisłe wykonanie, że ani sobie więcéj życzyć, ani daléj iść prawie niepodobna. Tymczasem mimo tego wszystkiego, seminarya dyecezalne całkiem po za nauczycielstwem świeckiem pozostawione, żadnéj innéj władzy, żadnym innym nieulegają wpływom, krom władzy i wpływu właściwych biskupów: *His ordinationibus non teneantur seminaria episcopalia, quibus ut secundum Ecclesiae Canones jus dicant episcopis erit integrum.*

Zdawałoby się, że przynajmniéj pomiędzy tak urządzonemi uniwersytetami a seminaryami mógłby istnieć jakiś stosunek, jakiś punkt zetknięcia, jakiś wzajemny wpływ — tymczasem taż sama ustawa, która nauczycielstwo publiczne stawia na gruncie czysto-katolickim, taż sama ustawa stawia seminarya po za tém nauczycielstwem, i po za wszelkim jego wpływem a w ich urządzeniu ani na jotę od przepisu soboru Trydenckiego nieodstępuje.

Bulla ta rozwięzuje kwestyę ostatecznie.

Słówko jeszcze o niedogodnościach studiów poza seminaryjskich i zakończymy.

XIV.

Sobór trydencki wyraźnie przepisuje, ażeby nauczanie kleryków odbywało się wewnątrz seminaryum: *In collegio erudiendos retinebit* (Cap. 18. sess. 23). Toż samo zaleca z pewnym przyciskiem w końcu dekretu o seminaryach, gdzie dla ułatwienia nauczycielstwa wewnętrznego wkłada obowiązek na scholastyków i innych prebendarzy trudniących się szkołami, iżby nauczali kleryków wewnątrz seminaryów.

Dwa główne powody, jeden dotyczący obyczajów, drugi nauki popierają silnie to rozporządzenie prawa powszechnego.

A najprzód co do obyczajów.

Szkoły publiczne i uniwersyteta mogą posiadać professorów równie uczonych jak cnotliwych i pobożnych. Tego bynajmniéj niezaprzeczamy. Wiadomo przecież i nadto dobrze wiadomo, jak zwykle młodzież seminaryjska uczęszczająca na studya publiczne właśnie dla tego, że młodzież, daleko jest skłonniéjszą i łatwiejszą do naśladowania złych obyczajów swoich świeckich towarzyszy, ich zbytków, ich próżności i światowego postępowania niżeli do naśladowania cnót i pobożności professorskich. W młodym wieku zwykle się cnota i pobożność ceni jak przymiot właściwy wiekowi dojrzalszemu, starości, a w rozpustném życiu towarzyszy zwykle się dostrzega coś, co dziwnie zepsutéj naturze sprzyja i co upodobanie łatwo na dobrą stronę wytłumaczy. Widzieliśmy powyżéj, jak smutno, jak okropnie młodzież seminaryjska uwolniwszy się z pod oka przełożonych i dorwawszy się ławki uniwersyteckiéj z wolności swojéj korzysta. Ażeby w podobnych warunkach wychowania mogło być inaczéj, trzebaby na to zmienić zupełnie ludzką naturę.

Powtóre co do nauk.

Wiadomo, że stan kapłański prócz nauk teologicznych wymaga jeszcze nauki śpiewu, rubryk, pisma świętego, czytania ksiąg duchownych, ćwiczenia się w ceremoniach, zwłaszcza sakramentalnych i tym podobnych przedmiotach, w nauczaniu których professorowie publicznie wykładający nietylko dla seminarzystów ale i dla świeckich, wdawać się ani chcą ani mogą. Z drugiéj strony na wydziale akademickim zwykle więcéj się klerycy muszą stósować do potrzeb uczniów świeckich, niżeli ci ostatni do kleryków, a professorowie czując się ludźmi uniwersytetu nie zaś seminaryum, wykładają jak się zwykle wykłada dla auditorów nie zaś dla seminarzystów, którzy obok słuchania potrzebują się uczyć, aby też mogli w swoim czasie z całą pewnością nauczać innych. Któż nie wie, jak dalece teoretyczny wykład uniwersytetu niedostatecznym jest do należytego wykształcenia pod względem teologii moralnéj? Kto nie wie, jak rozdrobnienie przedmiotów mające może swe zastósowanie na wydziale, niedogodném jest, utrudniającém i chybiającém celu w wykształceniu umysłowém seminarystów, dla których wszystko powinnoby mieć ścisłe odniesienie do potrzeb ludu, nad oświeceniem którego i umoralnieniem mają w bliskiéj przyszłości jako kapłani pracować. Dla czegoby się naprzykład wszyscy mieli uczyć koniecznie języków orientalnych, z których potem w zawodzie parafialnym żadnego zastósowania, żadnéj korzyści i których się zwykle po roku lub najwięcéj kilku latach całkiem zapomina? To może mieć swoje zastósowanie w miejscach zarażonych protestantyzmem, gdzie zamiast wykładać text święty, trzeba się kłócić o litery i znaki. Ale w miejscach gdzie lud wierny potrzebuje wydobyć z ewangelii naukę życia, czemuby raczéj nie wzwyczajono uczniów w jéj czytanie, nauczanie i wykład

praktyczny, żywotny, pozytywny, na którym właśnie dla mnogości przedmiotów zwykle zbywa? Ależ trudno żeby mogło być inaczéj, gdzie nauk seminaryjskich sam pasterz nieurządza, tylko metoda uniwersytecka.

To téż gorliwsi biskupi nadzwyczaj rzadko i to tylko z powodów oczywistéj a niezbędnéj konieczności pozwalali na uczęszczanie seminarzystów na wykład uniwersytecki. Taka pod tym względem bywa obawa, że kiedy brakło professorów z kapłanów świeckich, którzyby wewnątrz seminaryum nauczali, wówczas biskupi woleli upraszać stolicy świętéj o pozwolenie, iżby kierunek naukowy lub nawet całkowity nad seminarzystami mógł być któremu z zgromadzeń zakonnych powierzonym niżeli seminarzystów po za seminaryum na studya wysyłać do uniwersytetu. Wszystkie też prawie synody prowincyonalne wyraźnie na to nastają, ażeby każde seminaryum posiadało własną swoją wewnętrzną szkołę. Toż samo nakazują decyzye świętéj Kongregacyi Koncylium. *Thesaurus Resolutionum* dostarcza znaczną liczbę przykładów, których tu przytoczyć niepodobna, niemniéj i bulle papiezkie. Benedykt XIV, którego nikt zapewnie niepomówi o niechęć dla uniwersytetów, winszuje biskupowi w Palermo, iż w seminarium swojem ustanowił studya wewnętrzne, słusznie przekonanym będąc, iż tym sposobem klerycy z daleko większą łatwością uniknąwszy wielu niedogodności i rozproszenia ducha, nauki swoje wewnątrz seminaryum odbywać mogli: *Pro certo habens, majori cum facilitate, minorique incommodo, ac mentis evagatione, facultates hujusmodi in eodem seminario addiscere potuisse.* Pius VII w dokumencie powyżéj wspomnianym przytacza mnóstwo powodów przemawiających za nauczycielstwem ściśle wewnętrznem, lekceważenie których i pozwalanie seminarzystom na uczęszczanie do akademii stało się główną przyczyną

upadku duchowieństwa w Niemczech. Konkordat zawarty między stolicą świętą a Bawaryą silnie na to nastaje, toż samo konkordat z Holandyą i inne, o których wspominając Augustyn Theiner w swojéj historyi zakładów wychowania duchownego, powiada iż biskupi Niemieccy zachęcani przez stolicę świętą niczego nie zaniechali, co tylko posłużyć mogło do urządzenia katedr wewnątrz gmachów seminaryjskich. Przytaczamy tu cały ustęp, w którym uczony ten badacz zachęca biskupów Niemieckich do przeprowadzenia téj nieodzownéj reformy seminaryów przez wpływ uniwersytecki zepsutych. — Oto są jego słowa, któremi rzecz niniejszą kończymy:

„Dzięki konkordatom, bullom papiezkim i układom zawartym z wielu panującymi, seminarya duchowne zaczynają znowu takiemi być, jakiemi być powinny i jakiemi od początku były. Opieka i troskliwość Stolicy Apostolskiéj z téj strony coraz silniéj czuć się daje i wydaje zbawienne owoce. Wszakże, aby wychowańcy duchowni lepiéj być mogli zabezpieczonymi od zarazy niereligijności i niemoralności świata, byłoby zaiste godném waszéj troskliwości dziełem, abyście obok seminaryów wielkich zakładali także domy wychowania duchownego znane już w świecie katolickim pod nazwą seminaryów małych. Wszakże *zakłady te jedne jak i drugie należałoby jak najzupełniéj oddzielić od uniwersytetów a przynajmniéj tak urządzić, ażeby niepotrzebowały być z niemi w stosunkach dotąd istniejących.* Szczególniéj też byłoby przedmiotem godnym waszego zajęcia i waszéj apostolskiéj troskliwości zadosyć uczynienie najistotniejszéj i najżywiéj czuć się dającéj potrzebie, ażeby się nauki teologiczne odbywały wewnątrz zakładów seminaryjskich. O jakby z tego wielkie korzyści równie dla nauczycieli jak i dla uczniów wypłynęły! Ustaliłby się doskonaléj ów stosunek duchownie domowy, podniosła-

by się wzajemna miłość i zapał do nauk, i nic zapewnie niewpłynęłoby tak potężnie na wdrożenie w młode serca zamiłowania religii i cnoty“.

X. Ludwik Satalecki.



Rysował z natury L. Łepkowski.

Lit. W. Popelik w Krakowie.





O WYKOPALISKACH LEŻAJSKICH

RZECZ ARCHEOLOGICZNA.

(Z jedną tablicą).



II.

Jeżeli chcemy odwiedzić i zbadać to wielkie grobowisko Leżajskie, na którém zapewnie, przez wiele lat różne ludy swoje mysterya i pogrzeby sprawiały; a chcemy dowiedzieć się o drogę do niego, to niepytajmy o nią w miasteczku. Przeciąg dziesięciu blizko wieków rozdziela dzisiejszych ludzi od owych czasów: kiedy na tém uroczysku palono święte ofiarne ognie, któremi zatlone stosy pogrzebne przemieniały w popioły ciała pomarłych tych okolic mieszkańców, lub w obronie swych siedzib i swobód poległych bohaterów. Pomroka dziesięciu wieków zaległa tę okolicę i zaciemniała w pamięci ludzkiéj: co w on czas tutaj się działo i gdzie jest nawet to miejsce uświęcone wiarą tamtych czasów, a dla nas ponętne wspomnieniami odległych lat.

Patrz zeszyt lipcowy.

Nowe wypadki, zdarzenia, nieszczęścia i klęski jakie następnie przesuwały się na tych samych miejscach, poparte pamięcią złego bliższych nas czasów, zakorzeniły się głęboko w umysłach późniejszych mieszkańców, zatarły wspomnienia odleglejsze, zmięszały się z dawnemi podaniami, i tradycye a nawet nazwisko swoje przyczepiły do miejsc, do których w starszych jeszcze wiekach inną przywięzywano pamięć i cześć. Dla tego, niepytajmy w miasteczku o stare uroczysko, bo nikt niedomyśli się czego szukamy, gdyż nikt z dzisiejszych mieszkańców nieprzywięzuje znaczenia do tego porosłego pagórka — a każdy ruszyłby tylko ramionami na nasze zapytanie, lub przeżegnałby się na myśl szukania jakichś tam gratów pogańskich. Ale zapytajmy o tatarską sadzawkę, o górę Szwedzką, o cmentarz choleryczny — a każdy nam opowie ich historyą i wskaże, aby iść ku Sanowi, ku wiosce Wierzaicom i tam poszukać miejsc onych. Idźmy więc w tę stronę ku wschodowi, a na pół drogi do Wierzaic, a o małe ćwierć mili od miasta napotkamy snadno co widzieć chcemy. Wiatry co przed dziesięciu wiekami rozwiewały tutaj w powietrzu dymy ofiarne, rozwiały za naszych czasów i ten piaskowy kurchan, i pierwsze odkryły to miejsce pełne pamiątek odległéj starożytności. Jesteśmy tu, obejrzyjmy go bliżéj [1]).

Uroczysko o którém mowa, jest to wywiany pagór z ziemi piaskowéj. Szczyt jego wyobraża jakby kotlinę któréj brzegi wyższe od środka, zasypanego niby drobnym rumowiskiem skorup z urn. Długość kurhana wynosi 200 przeszło łokci, wszerz ma niespełna 90. Po-

---

[1]) Zobaczyć: plan okolicy na tablicy. Plan ten skreślił od oka ks. Podgórski na miejscu, a znany zaszczytnie archeolog i inżynier p Teofil Żebrawski, raczył go poprawić i odrobić według zasad technicznych.

łożenie domyślać się każe, że niegdyś miejsce to było wyspą Sanową, a rzeka musiała płynąć dziś opuszczoném łożyskiem bliżéj miasteczka. „Mogła tu być siedziba dla rolniczego, i stanowisko dla koczującego narodu, tudzież centralny punkt zjednoczenia się jego plemion. Tu mógł on uprawiać rolę, paść trzody, modlić się swoim Bogom i składać im krwawe ofiary, wypłacać ostatni dług zmarłemu spółbratu, a wrazie niebezpieczeństwa łączyć się dla obrony przeciw nieprzyjacielowi.“ Cały kurhan porasta teraz drobną rośliną, a w pamiętnym roku 1831 chowano w tych miejscach zmarłych pod czas pierwszéj cholery. Pamięć téj niezbyt dawnéj klęski i miejsca ostatniego spoczynku jéj ofiar, zrosła się teraz ściśle z miejscowością starego uroczyska; a dopytawszy się z łatwością o cmentarz choleryczny, znajdziemy się od razu i na odwiecznym cmętarzysku przedchrześciańskich tych stron mieszkańców. Przez długie zapewne czasy niejeden z przychodzących w to miejsce, potrącał niebacznie wywiane i rozsypujące się na powierzchni skorupy urn, i inne poniewierające się przedmioty bez żadnéj na nie uwagi. Pierwszy dopiero ks. Podgórski, zwrócił na nie swe oko, i zajął się skrzętnem zbieraniem tego co pozostało. Lecz ileż to przed tém zmarnieć musiało różnych zabytków i zaginęło bez śladu przez niewiadomość tych, co ich się obojętną dotknęli ręką! Ks. Podgórskiemu zatem należy się niemała zasługa, iż pozbierał, i od zatracenia ochronił chociaż te resztki, które dziś u mnie się znajdują. Wnosić więc wypada iż staranne poszukiwania na miejscu pod powierzchnią ziemi, możeby jeszcze nie jeden odkryły nam zabytek. Na wiosnę r. 1854 miano tu znaleść dużo rozmaitych pieniążków, które w żydowskie dostawszy się ręce, zaginęły bez śladu. Szkoda, bo z nich możeby coś pewniejszego przecie wywnioskować dla historyi się dało. Obowiązek baczenia na te resztki ciąży

na ludziach stron tamtych. Przypominamy go raz jeszcze każdemu, dla kogo rzecz ta nie jest obojętną [2]).

Na północ od uroczyska ku samemu już Sanowi, znajduje się gliniane wzgórze z trzech stron jakby ręką ludzką a przynajmniéj w części zaszkarpione. Lud prawi: iż Szwedzi go usypali aby straż tutaj odbywać. Na wysypane wszakże przez Szwedów całkowicie zdaje się być za obszerne, chociaż mogła tu być jedna z owych gęsto po kraju rozsypanych strażnic według Szwedzkiego zwyczaju, bo z tego pogórza widok na całą okolicę obszerny. W historyi Leżajska zauważyliśmy, iż za pierwszego swego najazdu Szwedzi mocno kręcili się w tych stronach, a zwłaszcza r. 1651. Nazwa więc góry Szwedzkiéj w historyi znajduje swoje usprawiedliwienie, zwłaszcza: że Szwedzi dotąd pozostali w pamięci po całym kraju. Lecz oprócz Szwedzkiéj strażnicy czyli tutaj w przedhistorycznych czasach niebyło jakie grodzisko? i czyli niema to wzgórze jakiego związku i znaczenia z uroczyskiem, trudno odgadnąć; choć łatwo przypuszczać można, bo koło Leżajska wszędzie dużo w ziemi dotąd różnych odkrywa się zabytków i w wielu miejscach często je napotykają. W mieście samem nawet niedawno kopiąc na fundamenta, dobyto parę urn, które jako stare garnki naturalnie że wyrzucono.

Pomiędzy znowu Szwedzką górą a Uroczyskiem jest jeziorko mocno teraz zmalałe, zwane Tatarską Sadzawką. Jest ono zapewnie to samo, które Władysław Jagiełło jak widzieliśmy nadał kościołowi, a zwało się wtedy Kzanza Neczeza. Łupieztwa tatarskie w tych okoli-

---

[2]) Po wydrukowaniu pierwszéj części téj rozprawy doniesiono mi, iż we wsi sąsiedniéj Tarnawcu, odkryto téj wiosny nowe uroczysko pełne całkowitych urn i skorup z nich; znaleziono tam także pieniążek Rzymski cesarza Antoniusa. Bliższe szczegóły o tym wykopalisku niedoszły dotąd méj wiadomości, wiadomość atoli sama o niém potwierdza moje domysły w téj rozprawie orzeczone.

cach wpoiwszy się gorzko w pamięć ludzką, od stanowiska pewnie téj dziczy na tem miejscu, zmieniły i nadały nową nazwę jeziorka. Na całéj przeto przestrzeni, widocznie nowsze zdarzenia nakryły zwolna swoją osłoną rzeczy dawniejsze, i nadały im swoje znaczenie i nazwę.

Rzecz dziwna, co tu różnych wspomnień dziejowych i religijnych nagromadziło się na tém niewielkiém kawałku ziemi. Koczowiska Celtyckich i innych przed historycznych ludów; Uroczysko i wielkie grobowisko pogańskie; podnoszące się miasteczko i pobyty w nim królów; grzechy zuchwalstwa i najazdów szlacheckich; ślady największych klęsk krajowych Tatarów, Szwedów i cholery. A wśród tego cudowny Obraz Królowéj Bogarodzicy, co się prostaczkowi objawił, sieje promienie łaski i cuda wierzącym. Ciężko bo odgadnąć, i trudno wytłumaczyć, dla czego na jednem częstokroć miejscu, tak wiele choć najróżnorodniejszych zwykło się gromadzić wydarzeń i wspomnień! Dla czego te same miejsca choć w różnych i odległych od siebie czasach, pewne w dziejach ludzkości otrzymują znaczenia? — a są przecież i pola bitew znane na kartach historyi, na których prawie zawsze najważniejsze sprawy rozstrzygano orężem. Lecz opuśćmy to zagłębianie w krainę ducha, a przystąpmy do rozpoznania bliżéj znajdowanych na uroczysku Leżajskiém przedmiotów.

Oceniając ściśle wynajdywane po wykopaliskach przedmioty, oceniamy tem samem ludy zamierzchłe w dziejach przeszłości, do których owe przedmioty w swem czasie należały i z nich wyprowadzamy wnioski o właścicielach onychże. Z nich przychodzi nam wywodzić, jakie zatrudnienia i sposób życia ludy te wiodły.

Z nich grupować należy ogólne pojęcie o stanie ukształcenia tych ludów. Są to jakby napisy nagrobne spisane hieroglifami, któro dopiero odgadywać należy. Poznanie też bliższe starożytności Egipskich, Assyryjskich, Celtyckich, Germańskich, Słowiańskich i innych, takim jedynie zabytkom zawdzięczać mamy. Wszelkie bowiem wynajdywane narzędzia i przedmioty jakiego bądź użycia, należące do najważniejszych pomników rozwijania się i kształcenia spółeczeńskiego bytu, służyć muszą do oceniania stopniowego wykształcenia pojęć i postępu w swym czasie, przenosząc nas zarazem w odległość tamtych wieków. Najczęściéj zastąpić im wypada świadectwa piśmienne i wszelkie podania, być wskazówką poszukiwań w dziedzinie historyi, onę objaśniać i dopełniać. Szczególnie zaś, posługują wyjaśniając charakter ludów, które miały w zwyczaju przechowywać po grobowiskach przedmioty należące za żywota do ludzi, a wraz z szczątkami ludzkiemi przechowane tamże zostały.

Zwracając rzecz po szczególe do wykopalisk Leżajskich, dzielimy wynajdywane w nich przedmioty według pierwszeństwa i porządku jak przychodziły w użyciu ludzkiem, a tem samem wskażą one nam same, które z nich do najdawniejszych należą. Dzielimy je więc na:

Przedmioty kamienne.

Przedmioty z ziemi albo raczéj gliniane.

Wyroby metalowe a w tych znowu na:

Złote,

srebrne, do których zaliczamy i pieniądze

brązowe,

żelazne.

Przedmioty szklane.

Kamień jako utwór saméj natury, który na każdem prawie miejscu napotkać można, posłużył człowiekowi do najpierwszego użycia i przyswojenia go sobie

na swój użytek. Większe kawały granitu i gneisu służyły za pociski i pałki. Zdatniejsze do wyrobu bazalty, dioryty, nerkowce, przydały się na wyroby młotów, siekier i toporów. Miększe a z ostrem ziarnem, jako: piaskowce i kamienie próbiercze, posługiwały do ostrzenia i szlifowania tychże. Kwarców, kalcedonów, jaspisów, obsidianów i krzemieni jako twardych a dających się łupać na ostro, użyto na noże, groty do dzid, bełdy strzał i t. d. Drzewo służyło do oprawy a łyko lub jelita zwierzęce, do połączenia i osadzenia kamienia w drzewcu.

Naturalne obrobienie kamieni przez tarcie, jakie w stokach gór, łożyskach rzek i brzegach morskich dotąd napotkać można, podało bezwątpienia pierwszą myśl ludziom użycia tych ogładzonych przedmiotów, a daléj nasunęło następną: ogładzania i toczenia innych kamieni ręką ludzką w dogodny sposób ku ich właściwemu użytkowi. Dr. Gustaw Klemm wielki badacz podobnych rzeczy w swem nader ciekawem dziele [3]) przedstawia dokładnie w rysunkach takowe przejścia i udoskonalenia od najpierwszych początków zacząwszy.

Krzemień który w takiéj obfitości znajduje się wszędzie prawie rozrzucony, a łupie się z łatwością, w muszlowe ostre odłamy, sam niemal pierwszy nastręczył ludziom pomysł do użycia go na ostre narzędzia, jak: groty, noże i bełdy. Wyrób ten najodleglejszych sięgający już czasów, bardzo stare koczowiska ludów zaznacza, a znachodzi się w całéj północnéj Europie, Azyi, a nawet Ameryce [4]).

Najpierwszym znowu zabytkiem i wyrobem z krzemienia, zdają się być *noże* i *nożyki*. Idąc w tem za zda-

---

[3]) **Allgemeine Cultur Wissenschaft. Werkzeuge und Waffen von Dr. Gustaw Klemm Königl. säch. Hofrath und Oberbiblioter in Dresden. Leipzig 1854.**

[4]) **Klemm w swojém dziele.**

niem Klemma, uważamy je za poprzedniki grotów i bełdów wszelkiego rodzaju siekier i siekierek, bo bez znajomości użycia podobnych noży nie można byłoby dojść do sporządzenia dzidy i strzały. Przysługiwać one musiały bowiem, do odejmowania części mięsnych zwierzęcych, lub roślinnych, do przytwierdzania bełdów i grotów niezbędnych, obciągania skór i t. p. Tak więc, są to najpierwsze zabytki potrzeb ludzkich.

Na wyspie Rugii i około miasteczka Golzen w niższéj Luzacyi [5]) znajdują się takie nożyki w wielkiéj obfitości, są one długie od 2 do 4 cali, a cal szerokie i muszlowo zacięte [6]). Zdaje się, iż gdzie takie nagromadzenie tych narzędzi znajduje się, miejsca te musiały być wyrobniami onych przedmiotów i że ztamtąd w różne dopiero rozchodziły się strony. Takich miejsc napotykamy kilka w Europie, co znowu tłumaczy nam, dla czego wszystkie te przedmioty tak są do siebie podobne i jakby z pod jednéj wychodzące ręki. Znajdowano podobne rzeczy i w Mexiku, lecz tam krzemień zastępowano obsidianem.

Rozmaitość użytku i potrzeb, wywołała różne kształty i rozmiary, które w żaden pewny porządek ująć się nie dadzą. Znajdują się z trzonami i bez nich, ząbkowate jak piła, półokrągłe, zakrzywione jak do krajania skór i t. d., a w Japanie znachodzą się nawet z dziurkami do przytwierdzania rękojeści; Klemm zaś przedstawia ich rozliczność kształtów najdoskonaléj [7]).

Wykopaliska Leżajskie dostarczają nam kilka także odmian tego wielce starego zabytku [8]), z których N. 2 jest najwykończeńszy 3 i 4 więcéj podłużne z odłamanemi końcami, 5 zakończony lecz odłamany od trzona,

---

[5]) Thüringische Jahrbücher 8 B. 2 Heft z r. 1840.
[6]) Klemm k. 26.
[7]) Klemm k. 29. F. 47. 48. 49. 51. 52. 53. 54. 55.
[8]) Zobaczyć Tablicę. Wielkość rysunku naturalna.

6 zakrzywiony i delikatny, inne są różnie uszkodzone a nawet odłamki same nie tylko z krzemienia, ale i z jakiejś bardzo twardéj siwawéj wypalonéj massy. W ogóle twierdzić się da, iż w wykopaliskach Leżajskich, mało się wynajduje nożów doskonale foremnych, nierównie więcéj za to dłutkowatych, a dużo więcéj nieforemnych, a zatem z najpierwszych czasów onych użycia.

Groty dzid i *bełdy strzał*, są dopiero wynikłością i następstwem poprzedzających ich w użyciu nożyków, mając równie jak tamte wielką rozmaitość kształtu i rozmiaru. Są takie co bezpośrednio krzemiennem trzonem osadzano je w drzewiec, inne zaś wszczepiano i obwięzywano łykiem lub rzemieniem. Aby zaś tak delikatne ostrza uchronić od łatwego złamania lub wyszczerbiania, wkładano na nie w czasie nieużywania rodzaj pochwy, czyli drewnianych kleszczyków, od góry łyczkiem związywanych. Klemm [9]) okazał ze swego zbioru dwa takie wzory, które zamieszczam na Tablicy N. 7 A i B. Z naszych Leżajskich N. 8 przedstawia nam kawał krzemienia na grot w rozpoczętéj robocie, toż 9 całkowity jest już i dobrze zachowany grot. N. 10, 11 ułamany od góry. N. 12. 13. 14 są tak małe i delikatne, że trudno nawet uwierzyć, aby mogły posługiwać do jakowego użycia. N. 15 i 16 przedstawiają bełdy strzał a 17 jest nader ciekawy i rzadki z powodu swego delikatnego piłkowego ząbkowania, ułamany od góry. Wszystkie te z Leżajskich wykopalisk będące groty i bełdy, są z krzemienia twardego różnego koloru i nakrapiania, co wskazuje iż nie w jedném miejscu, ni też z jednéj skały wyrabiane były.

Używanie kamiennych ostrych narzędzi do boju najodleglejszéj jak wiemy sięga starożytności. Takiemi to

---

[9]) **Klemm N. 93 k. 51.**

strzałami zapewnie uzbrojeni być musieli i owi Etiopejczyki w wojsku Xerxesa w lwie i lamparcie skóry odziani, u których kamień zamiast żelaza posługiwał [10]). Wiele też starych pobojowisk zasypane jest niemi, a szczególniéj słynne pole bitwy Maratońskiéj [11]). Takie małe groty i bełdy znajdują się przechowywane w obfitości w zbiorach przedmiotów krzemiennych w Muzeach w Leyden, Kopenhadze, Szwerynie, Halli, Berlinie i t. d. Najlepsze zaś ich ocenienie podaje czasopismo Starożytnicze w Kopenhadze z r. 1843-45 str. 34, a znakomite „Królewskie Towarzystwo Starożytności północnych w Kopenhadze“ uważa je za wielce stare i godne uwagi zabytki, najdrobniejsze onych kawałki zbierając i przechowując w swych zbiorach.

U nas o zabytki kamienne większych rozmiarów a zwłaszcza siekier, toporów i młotow z diorytów i nerkowców jest łatwiéj i tych wzory przedstawiają nam nasi archeologowie, zwłaszcza hr. Tyszkiewicz. O większe wyroby krzemienne już jest trudniéj, chociaż kilka takich egzemplarzy posiada Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, najwięcéj ze wsi Skotnik niedaleko Krakowa,— a i ja mam także taką krzemienną siekierę długości 1.00 a szerokości 1.000 znalezioną w r. 1852 we wsi Maszkowcach $^3/_4$ mili od Krakowa. O zabytkach atoli mniejszych rozmiarów, o jakich tu z wykopalisk Leżajskich wspominamy, nikt podobno z naszych obszerniéj niepisze, ani też nad niemi nie zastanawia się. Widać iż mało bardzo są znane w naszym kraju, lub też z powodu ich drobniutkich kształtów i łatwego uszkodzenia, nie zwracano dotąd na nie uwagi. Hr. Tyszkiewicz w swych szacownych dziełach nie zamieszcza ich wcale. Wiemy tylko iż na „Biało-książęcém

---

[10]) Herodot VII. 69.
[11]) Klemm. k. 50.

polu“ koło Kijowa (60 wiorst) w r. 1854 w lecie, na rozkaz komissyi do rozbioru Aktów Starożytnych, rozkopano trzynaście mogił mniejszych, i znaleziono w nich oprócz naczyń glinianych i żelaza: kilka przedmiotów z krzemienia np. dłóto, nożyk, ostrze, lub kopią. Sobieszczański mówiąc o Nietuliskiém wykopalisku [12]) pod N. 20 kładzie wzór odłamu od noża krzemiennego ale co znaczy: że więcéj ich tam nie odszukano. Pismo: „Przyjaciel Ludu“ z r. 9 w N. 37 i 39 mówiąc o grobowiskach słowiańskich w Meklemburgu pod Katelbogen i Naschendorf, wspomina o wynalezionych tamże krzemiennych bełdach strzał, sztyletach i t. p. Toż pismo z r. 10 N. 15 donosząc o grobach pogańskich w Obornickim, wymienia groty krzemienne, nie przedstawiając wszakże ich rozmiarów ni też rysunku.

Podobne drobne krzemienne narzędzia znachodzą się również pod monumentami Celtyckiemi we Francyi, zwanemi „Dolmen“. L'Abbé Bourassé [13]) mówiąc w swém dziele o zabytkach Celtyckich i wymieniając między niemi „Dolmeny“ pisze o nich twierdząc iż: „Noże brązowe i *krzemienne* i inne tamże znajdowane przedmioty winny być raczéj uważane jako narzędzia ofiarnicze, niżli broń wojenna.“ Drobne atoli kształty owych zabytków wprawiły w błąd X. Bourassé, iż nie przypuścił ich wojennego użytku. W błąd ten z téj saméj zapewne przyczyny popadł i uczony Sobieszczański [14]) twierdząc: iż nie mogły posługiwać do użytku jako broń, w czasach nieznajomości żelaza, lecz że służyły do ozdoby, oznak dostojeństwa lub stanu — a zatém uważając je niejako być tylko symbolicznemi oznakami

[12]) Wycieczka Archeologiczna w niektóre strony Gub. Radomskiéj. Warszawa 1852.

[13]) Archeologie Chretienne itd. p. M. L'Abbé J. J. Bourassé. Tours 1847.

[14]) Wycieczka Archeologiczna.

wojennemi. Tego samego zdaje się być zdania i hr. Tyszkiewicz [15]) mówiąc o zabytkach kamiennych w ogóle, opierając się na tém: iż w tych samych miejscach wraz z kamiennemi narzędziami znajdują się i narzędzia żelazne, a więc: że żelazo było już wtedy znane, a nawet konieczne do obrobienia rzeczy kamiennych. Znajdywanie wszakże pospołu żelaza wraz z zabytkami kamiennemi nic nam wyjaśnić nie może, bo tłumaczy się niejednoczesném nagromadzeniem tych różnych przedmiotów na jedno miejsce. Wielkie bowiem Uroczyska, były przez długie lata uświęconemi cmętarzami, a różne ludy i pokolenia składały na nich przez wieki swoje popioły i zabytki, a z daleka ciągnęły one do świątyń i miejsc dla siebie uświęconych. Dla tego i wcześniejszy kamień, i późniejsze żelazo, i inne zabytki, każde w właściwym sobie czasie według jak były używane, dostawały się tutaj. Że zaś do obrabiania kamieni żelaza nie potrzebowano, wykazało już nie jedno odkrycie narzędzi i brusów kamiennych do obrabiania służących. Śledzący bacznie znowu Klemm, mając ogromne zbiory takich zabytków, dowiódł ze swéj strony używalności onych u starożytnych przez porównanie i zestawienie z bronią kamienną, do dzisiaj przez dzikich jeszcze wyspiarzów używaną. Dowodzą tego również i świeżo poczynione odkrycia w jeziorach Szwajcarskich, które ponieważ jako wielce ciekawe i rozświecające wiadomości pod względem narzędzi kamiennych różnego rodzaju, wymagają naszego bliższego zastanowienia się nad niemi.

Jedno z pism naukowych francuzkich [16]) zamieściło

---

[15]) **Rzut oka na źródła Archeologii krajowéj itd. p. Eust. hr. Tyszkiewicza. Wilno 1842, str. 38.**

[16]) **l'Atheneum Français — Revue universelle de la litterature, de la science et des Beaux-arts. Paris — pismo tygodniowe do którego dołączony jest „Bulletin Archeologique" — N. 1 z 6 sty-**

niedawno artykuł Dr. Vouga „Antiquités Celtiques des lacs de la Suisse" następnéj mniéj więcéj treści: Silna zima r. 1853 i 54go sprawiła wyschnięcie wielu źródeł i strumyków, przez co jeziora Szwajcarskie podsycane niemi opadły. Szczególniéj jezioro w Zürich zmniejszyło się jak nigdy nie pamiętają. Woda opadłszy osuszyła kawał przestrzeni ziemi na dnie jeziora, z czego korzystając mieszkańcy postanowili nową groblę urządzić, aby raz usuniętą wodę nie puścić w dawne miejsca, a tém samém uzyskać trochę zdatnéj do uprawy ziemi. Wzniesiono więc groble na dnie jeziora w Oberweillen, a przy braniu ziemi zaraz pod zwierzchnim pokładem namuliska, odkryto w głębokości jednéj do dwóch stóp, wierzchy starych pilotów, rogi jelenie i różne narzędzia. Po tém odkryciu Towarzystwo Starożytności w Zürich wydelegowało dla bliższego zbadania rzeczy na miejsce, członka swego Dr. Keller i ogłosiło o tém swe sprawozdanie:

Po rozpoznaniu pilotów pokazało się, iż są z drzewa brzozowego, jodłowego, dębowego i bukowego. Pomiędzy niemi znaleziono ze sto siekier i klinów kamiennych różnego kształtu i wielkości. Największe między niemi są takie jak te, które się znachodzą we Francyi, Niemczech i Skandynawii — mają 7 cali długości a ważą $1\frac{1}{2}$ funta — najmniejsze 1 cal długie, z syenitu i nefritu. Są pomiędzy niemi takie, które nie były wykończone, są i narzędzia do ich obrobienia służące, co przekonywa iż je na miejscu wyrabiano, chociaż nefryt nie jest tu wcale miejscowym. Wiele z tych siekier jest dotąd wszczepionych w drzewo, to jest w rę-

---

cznia 1855. — O tym samym przedmiocie znajduje się także artykuł w „Anzeiger für Kunde der Deutschen Vorzeit" 1855, Nr. 4, April—k. 82 „Die älten Anwohner des Zürichersees". Rzecz ta zapewnie nawet i przez innych badaczów może już jest obszerniéj rozebrana.

kojeść, inne zużyte, inne znów zaostrzone, co dowodzi ich używania a nie symboliki. Zacięcia nawet onych pilotów oceniane przez cieśli pokazują — iż temi narzędziami były obrabiane.

Oprócz siekier i młotów, znaleziono tam także dużą ilość grotów dzid, bełdów do strzał, nożów i innych ostrych z krzemienia narzędzi. Była takaż sama i mała piłka, chociaż okolica tamta nie ma u siebie krzemieni. O tych drobnych przedmiotach wspomina Dr. Keller, iż podobne im wynajdują po grobowiskach we Francyi i Niemczech. W Szwajcaryi zaś nie natrafiano ich przedtém — a nigdzie w takiéj dotąd nie odkryto ich obfitości jak tutaj.

Znaleziono również w tém miejscu i małe żarna do mełcia zboża, i różne z zębów zwierzęcych i kości przyrządy. Z metalowych zabytków był tylko jeden kawałek drutu w formie pierścionka. Mnóstwo także znalazło się skorup z garnków, lub innych naczyń pozostałych.

Sprawozdawca utrzymuje, iż wszystkie te znaleziska należały do mieszkańców co domy swe na palach na jeziorze stawiali, jak teraz jeszcze w Nowéj Gwinei się zdarza, a to dla ochronienia się od napadów i zwierza dzikiego. Mieszkańców tych Dr. Keller mieni być pochodzenia Celtyckiego (mieszkać w tych stronach mieli *Bojowie* według Szafarzyka), a domy ich ogniem spłonąć musiały, jak to widać ze zgliszczów na dnie jeziora pozostałych; przedmioty zaś te wszystkie jako w użyciu domowém będące, spadły we wodę i przechowały się w niéj do naszych czasów. Wspiera się sprawozdawca w swém zdaniu na powadze Herodota, który w ks. V R. XVI opisuje tak mieszkających Paeonienos nad jeziorem Prasias.

Wypadek tego odkrycia na jeziorze Zürichskiém pobudził i w innych stronach badaczów Archeologii do

podobnychże poszukiwań. Około Nidau, gdzie rzeka Thielle wypływa z jeziora Bienne, trzech badaczów z Nidau odkryło mnóstwo przedmiotów podobnych tamtym, a nadto ozdoby brązowe: bransolety, kolczyki i pierścionki. Toż samo pokazało się w jeziorach Genewskiém i Neuchatelskiém. Archeologia zatém, wielce zbogaciła swe wiadomości temi odkryciami, bo przybyło jéj jedno więcéj pole do nowych poszukiwań — pole podwodne. Wydobyte znów na jaw w takiéj obfitości narzędzia krzemienne różnych rozmiarów i kształtu, jako i rozmaitego użycia, na miejscu nie już grobowisk, lecz dawnych mieszkań ludzkich, rozwięzują owe przypuszczenia, jakoby te drobne wyroby służyły tylko jako symbola — i przechylają stanowczo zdanie badaczów na ich właściwe użycie. Owe więc tutaj teraz wynalezione zabytki Celtyckie *(Bojów)*, nabierają dla nas tém większéj wagi i analogii, z podobnemi na naszéj ziemi znajdującemi się.

Stosując za tém to wszystko, cośmy o przedmiotach krzemiennych w ogóle opowiedzieli, do takichże znalezionych w wykopaliskach Leżajskich, widzimy: iż owe drobne nożyki, bełdy i groty w dość dużéj obfitości tutaj znajdujące się, należą do najdawniejszych zabytków, zaliczając się w większéj części dotąd do starożytności Celtyckich. Młoty bowiem i siekiery kamienne miane zwykle za zabytki Skandynawskie, pod jedno z niemi podciągać nie można, i te téż częściéj u nas, a zwłaszcza w północnych stronach Litwy znachodzić można. Wykopalisk drobnych krzemiennych narzędzi, nie wiele liczymy na ziemi Słowiańskiéj; a mało bardzo na ziemi polskiéj. Są one zaś pospolitsze i częstsze, im bliżéj właściwych Celtyckich siedzib sięgniemy.

W Słowiańszczyznie o ile da się zauważyć, znajdują się najczęściéj w miejscach, którędy przesuwały się Celtyckie ludy i gdzie swoje czasowe zakładały siedli-

ska. Widzimy te miejsca jakby wyspy na ziemiach naszych, a idąc w ślad za niemi i znacząc je na karcie, nieco pewniejsze może dałoby się wytknąć linie pochodów i siedzib Celtyckich. Nie pozostawili wprawdzie Celtowie na ziemiach Słowiańskich ani swoich wysokich Menhirów, ani owych zestawionych razem Kromlech'ów, ani téż sztucznie złożonych szérokich Dolmenów — bo byli tutaj tylko ludem przechodnim, a przyjmując zwyczaje ludów miejscowych, w ziemi bez tych na powierzchni zuchwałych oznak, grzebali wraz ze swemi mężami narzędzia, które im za życia przysługiwały i tym chociaż sposobem „jak inne ludy zostawili kilka śladów swojéj wędrówki“ [17]).

W ogólnym przeglądzie dawnych ludów, osiadłych w stronach gdzie teraz Leżajsk, zobaczymy daléj przesuwających się Gallo-Celtów, a wykopaliska utwierdzają ich ślady. Archeologia przeto wytyka tutaj fundamenta dla historyi, a historyk oparty na nich pewniejszą ręką zapisze pobyty Gallo-Celtyckie w tych okolicach.

Z kolei jaką zakreśliliśmy, przechodzimy obecnie na: *Przedmioty z ziemi, albo raczéj gliniane*; o tych wszakże zabytkach, nie wiele przyjdzie nam się rozszerzyć. Nie dla tego jednakże, aby wykopaliska Leżajskie nie dostarczały nam ich wcale; ale dla tego, iż dostarczają nam same onych ułamki, z których niepodobno sądzić o pełnych kształtach całości; a tém samém, dokładnie je ocenić i podciągnąć pod pewną klassyfikacyą. Mówiąc wyżéj o uroczysku powiedzieliśmy: iż zasute jest teraz jakby rumowiskiem skorup z urn, choć jak mówi X. Podgórski, przed laty dwudziestu, było jeszcze wiele dużych odłamów i takich, z których całości złożyćby się dały — teraz zaś są tylko same owych naczyń okruchy. Czas więc i nieuwaga ludzka poroztrącały te

[17]) l'Abbé Bourassé k. 34.

gliniane zabytki, a dla nas pozostało kilka tylko szczątków, z których cośkolwiek zaledwie o nich powiedzieć można. Z tych to odłamów dochodząc rozdzielamy przedmioty gliniane wykopalisk Leżajskich: na dwa podziały — na naczynia pogrzebne pod ogólną nazwą urn, i na krążki gliniane.

Poszanowanie dla zmarłych sięga najodleglejszych czasów. Znachodzimy go w różnem użyciu wszędzie, gdzie tylko ludzie otrząsłszy się z stanu dzikości, zaczynają poznawać wyższość człowieczeństwa i pewny ustrój społeczny na się przyjmują. Ludzie bowiem, mając w naturze już swéj złożone poczucie owego związku łączącego świat ziemski z duchowym, a tem samem: i związku żyjących z temi co już między niemi skończyli swoją ziemską pielgrzymkę, a bez świadomości dokładnéj onegoż, starali się różnemi ogniwami zaczepiać o ten świat zakryty przed ich wzrokiem, a niewiedząc gdzie te ogniwa zakładać, i widząc wszystko tylko oczami ciała, zachaczali je w starożytności po ziemsku, starając się o jak najdłuższe przechowanie szczątków, umarłych. Ztąd to obok wrodzonego człowiekowi uczucia pamięci i szacunku dla osób zmarłych, z któremi go miłość lub cześć za żywota łączyły i owego należnego poszanowania umarłych według pojęć chrześciańskich, wyrodziła się u starożytnych bałwochwalcza niemal cześć dla ciał nieboszczyków. Różne znowu pojęcia religijne w starożytności, a z nich wypływająca różność pojmowania pozagrobowego życia człowieka, stały się przyczyną wielorakiego kultu pogrzebowego, i rozlicznego obyczaju przechowywania i poszanowania zwłok nieboszczyków. Zastanawiając się po szczególe nad pojęciami religijnemi u starożytnych, przyszlibyśmy z łatwością do odgadnięcia przyczyn tak różnorodnych pogrzebnych obrzędów, jako i różnych zwyczajów przechowywania szczątków ciał ludzkich, i nawzajem; —

co wszakże w zakres pisma tego wchodzić nie może.

Z wielu przeto takich zwyczajów, palenie ciał na stosach pogrzebnych, a zbieranie i przechowywanie pozostałych popiołów u wielu napotykamy ludów, wiodących jak się zdaje swój początek z staréj Indyi. Zwyczaj ten widzimy i u Rzymian, którzy atoli za świadectwem Pliniusza [18]) w pierwszych swoich początkach chowali w ziemi umarłych i dopiero późniéj po długich wojnach przyjęli go od innych ludów, może od Słowian. Wszędzie jednak gdziekolwiek napotykamy w historyi ślady siedzib Słowiańskich, znachodzimy zarazem w ziemi w tych miejscach, ślady urn z popiołami.

Po nich to niemieccy badacze rozróżniają zwykle grobowiska starych Słowian od grobowisk Germańskich, bo zwyczaj palenia ciał u Słowian był powszechnym, i używańszym niż indziéj, a wykopaliskami z urn na karcie zaznaczać można, jak się pierwotne osady Słowian ciągnęły.

Pod względem jednakze palenia ciał u Słowian, z uwagi na rozsypane po ziemiach naszych liczne mogiły, powstały mnogie spory między badaczami naszemi i niemieckiemi. Utrzymywano bowiem: iż Słowianie palili ciała tylko uboższych, pospolitego gminu, a bogatych, bochaterów, i dostojników swych chowali pod mogiłami. Lelewel i Maciejowski spierali się o to między sobą, a Sobieszczański w ostatku w ten sam błąd popadł [19]). Szafarzyk wszakże słusznie poszedł za zdaniem: iż palenie ciał u Słowian było wspólne dla wszystkich — co i M. Grabowski w swéj „Ukrainie“ wywiódł dostatecznie, (k. 161) a i my zdania jego jesteśmy. Wszędzie

---

[18]) C. Plinii secundi Historiae naturalis libri XXXVII — lib VII. cap. LIIII. de Sepultura.

[19]) Wiadomości o sztukach pięknych w dawnéj Polsce Warszawa 1847. T. I.

bowiem gdzie tylko urny z popiołami się wynajdują — a z niemi i różne inne przedmioty, obok przedmiotów powszechnego użytku znachodzą się zwykle i narzędzia kosztowne, oznaki dostojeństw kapłanów lub bohaterów.

„Słowianie wierzyli w nieśmiertelność duszy, odpłatę i karę po śmierci“ [20]) „Werili o trwani duse po smrti, odplate a trestu gegim“ [21]). Słowianie wierząc więc w przyszły żywot, lecz pojmując go jak cały świat pogański więcéj cieleśnie, zabierali ze sobą do grobowisk przedmioty ulubione, aby niemi w potrzebie i po śmierci posługiwać się można. Pędząc znowu życie spokojne więcéj, a gromadne w związkach rodowych, chowali się zwykle również gromadnie. Ztąd idzie ta wspólność chowania i to: że nigdy pojedynczo nie znachodzą się urny, lecz w większéj liczbie, aby ci co za żywota żyli pospołu, i po śmierci z sobą przestawać mogli. Czcili Słowianie i wody i źródła święte, ztąd znowu pochodzi ich poszanowanie dla rzek i osadzanie miejsc ofiarnych zwykle ponad wodami, które nawet dla oczyszczenia ofiar mogły im bydź zarazem przydatne [22]).

Według zatem tych paru oznak tu zestawionych, a mianowicie położenia nad rzeką i znacznéj ilości urn wraz z różnemi przedmiotami, miejsce wykopalisk Leżajskich uważać trzeba jako wielkie także grobowisko słowiańskie. Miejsca takie, których w Wielkopolsce a zwłaszcza na Kujawach dużo napotkać można jeszcze

---

[20]) Historia Liter. Polsk. M. Wiszniewskiego. T. I. k. 167. — Słowiańskie Starożytności p. Szafarzyka. T. I. k. 693. — Słowiańskie Bałwochwalstwo Lelewela.

[21]) Historya Liter. Czesk. Jungmana T. I. k. 7.

[22]) M. Paulus Jacobus Eckhardus. — Duo per antiqua monumenta annis 1728 i 1732 ex agro Jutrebocensi erata atque reperta, cum Idolis Slavorum Iutrebocensium itd. Virtembergae et Lipsiae 1734.

nietkniętych, a gdzie same tylko naczynia gliniane z popiołami się znajdują, lud zwie tam dotąd żalami, żaliskami (od żalić—palić — przyżelone — przypalone; więc żal — spalenisko). Nazwa zaś ogólna przyjęta na wszystkie: *Uroczysko*, wywodzi się od spełnianych tamże obrzędów (zasyłania prośb spólnych *o oddalenie złego— odpędzanie uroków* — a może i *uraczania* zmarłych). Pobliskie znowu miejscowości takich uroczysk, przybierały często nazwiska swe od owego palenia — *żaru* — zwiąc się Żary, Żarki, Żarowo, Żarzyn itd., a i tu mamy niedaleko Wolę Żarczycką.

Zwyczaj palenia ciał, wywołać musiał z natury swéj potrzebę wyrobu naczyń do przechowywania popiołów służących. Urna więc czyli popielnica — Osuarium — Cinerarium jest tak dawnym zabytkiem Starożytności, jak jest dawny ów kult religijny, jak zwyczaj zapalania stosów pogrzebnych. Wiemy czém są w nowszych już czasach pomniki nagrobne, jak artysta wlewa w nie całą swą duszę aby godnie przekazać potomności pamięć zmarłego, i aby sztuka odbiła się w nich właściwem piętnem ducha czasu swojego. Tem także były u starożytnych i owe mausolea i piramidy i obeliski — tem były bezwątpienia i urny naszych praojców Słowian. W urny starano się też zapewnie wcielić najpiękniejsze kształty i ozdoby, na jakie tylko stać było pojęcie piękna i ozdób u Słowian. W tych więc glinianych zabytkach, w braku innych wydatniejszych, przychodzi śledzić pojęcie piękna, i zabytki sztuki staro-słowiańskiéj. Na kształty przeto urn, ich szczególne odmiany, ozdoby, charakter ogólny lub miejscowy, należałoby z tego powodu baczniejszą niźli dotąd zwracać uwagę, bo wszakże sztuka rzuca wszędzie światło na usposobienie cywilizacyjne i duchowe każdego ludu i narodu. Szczegółowe zbadanie przedmiotu tego o urnach, niemałych wymaga studyów i obszerniejszego wywodu, niżliby tu-

taj zawrzeć się go dało; jeżeli więc Pan Bóg zdrowia i czasu dozwoli, w osobném piśmie późniéj postaram się go rozjaśnić.

Na dwa jednakże główne charaktery kształtów urn zwracamy tutaj pobieżnie uwagę naszych badaczów.

Pierwszy: jest kształt smuklejszy od góry, więcéj foremny, i ozdoby w sobie mający, — a ten idzie od południa, i odbija się na wszystkich urnach w stronach południowo wschodnich wynajdywanych, za popędem cywilizacyjnego prądu na Słowiańszczyznę z tamtych stron. —

Drugi: jest kształt prostszy — nieforemny, pękaty, wydęty, niski, a ten pojawia się na urnach w północnych stronach wynajdywanych. — Są to wzory Skandynawskie, które wpłynęły na niego jako odbicie ponurego Skandynawskiego tchnienia. Dwie téż potęgi myśli — Skandynawska i Heleńska, krzyżując się po Słowiańszczyznie wywrzeć musiały i wpływ swój na pojęcie sztuki u starych Słowian, która się w urnach znowu odwzorowała. —

Literatura nasza niewielkiem poszczycić się może bogactwem pod względem badań nad urnami. W rozmaitych pismach czasowych polskich różnemi czasy, donoszono wprawdzie o licznych odkryciach urn, ale mało kto zagłębiał się nad bliższem onych poznaniem. Pismo „Przyjaciel Ludu“ [23]) najwięcej daje nam w téj mierze szczegółów. Z dawnych pisarzy naszych wspominali o urnach: Długosz, za którym Kromer [24]) powtarzając dobrodusznie mówi iż: „jest w Małéj-Polsce niedaleko

---

[23]) Do przejrzenia téj literątury o urnach, po pismąch cząsowych porozrzucanéj, odsyłąm do Biblioteki Warszawskiéj z r. 1852 miesiąc Czerwiec. Artykuł J. Łepkowskiego „Listy archeologiczne“. —

[24]) Polską — czyli o położeniu, obyczajach itd. tłumacz. Władysław Syrokomlą — Wilno 1853 — k. 18.

Szremu pagórek: (gdzie rzecz trudna do wiary, a jednak od wielu potwierdzana) garnki, urny, amfory i innych kształtów naczynia gliniane same się rodzą, a wyniesione na powietrze twardnieją". — Chociaż na owe czasy mniemanie takie było dość pospolite, jednak trudno przypuścić aby dwaj tak światli nasi historycy, w saméj rzeczy tak o urnach rozumieć mieli; raczéj wnosić należy: iż charakter kapłański, doradzał nie poruszać w narodzie jeszcze mocno zabobonnym, rzeczy tak czysto pogańskich. Powtarzali o urnach i po nich z mało lepszem sądem Miechowita, Rzączyński, Ładowski i Duńczewski — a z nich niewiele nauczyć się przychodzi. Pisali w tém przedmiocie Köppen i Chodakowski i niespracowani na polu historyczném T. Narbutt i Lelewel — a zwolna dopiero przecierać się zaczęła mgła nad tém przedmiotem rozsuta. Żegota Pauli [25]) Sobieszczański [26]) M. Grabowski [27]) Eust. hr. Tyszkiewicz [28]) J. Łepkowski [29]) podali późniéj dokładniejsze opisy popielnic, przedstawiając ich wzory. M. Grabowski zaś zwłaszcza, ściśléj téj ważnéj dotknął się rzeczy — a J. Łepkowski wskazał właściwsze i prawdziwsze stanowisko z którego się na nią zapatrywać należy. Lecz jak powiedzieliśmy, są to lub mniejszego tylko rozmiaru, lub niestawające jeszcze na właści-

---

[25]) Starożytności galicyjskie. Lwów 1840 k. 35 „Popielnice znalezione w Galicyi".

[26]) Wycieczka archeologiczna w niektóre strony gubernii Radomskiéj — Warszawa. 1852. — o wykopaliskach pod wsią Nietulisko. —

[27] Ukraina dawną i teraźniejsza — Kijów 1850.

[28]) Badania archeologiczne itd. Wilno 1850 — Rzut oka na źródła Archeologii krajowéj — Wilno 1842.

[29]) Listy archeologiczne w Bibliotece Warszawskiéj z roku 1852. —

wem gruncie rozprawy. Ale droga jest już utorowana— to łatwiéj teraz będzie pójść daléj.

W literaturze obcéj więcéj daleko i głębszych napotkać można szczegółów. Niemcy zwłaszcza, co zawsze z taką troskliwością lubią się opiekować Słowianami aby ich *cywilizować*, niezaniedbali i na tem polu poznawać rzeczy Słowiańskich a dały im do tego powód liczne wykopaliska Słowiańskie w Szlązku i niektóre w Monarchii i Saxonii. M. Gotthilf Trauer [30]) w dziełku jak na swe czasy dosyć dokładném, mimo niektórych zabobonów i mystycznych pojęć o czasach pogańskich, stara się dowieść, iż urny nie rodzą się w ziemi i wykazać: co one są właściwie. Załącza trzy tablice z rysunkami urn, miseczek, małych glinianych naczyniek, pokryw, obrączek, krążków soczewkowych i konicznych i t. d. M. Paulus Jacobus Eckhardus [31]) biegłym już okazuje się badaczem rzeczy Słowiańskich, szczególniéj pod względem Mitologii, dzieło swoje z pewną wyrabiając erudycyą na źródłach niemieckich kronikarzy. Daje on rysunki znalezionych około miasta Juterburga niedaleko Magdeburga, kilku urn różnéj wielkości i kształtu, nadto pieniążka z wyobrażeniem bożka Słowiańskiego Prove, według tego jak Helmold go opisuje. — Christan Stieff [32]) wylicza mnóstwo miejsc w których wynajdywano urny i pisarzy co o tem przed nim pisali. Spisał dziełko wielce ciekawe i pouczające dołączając dwie tablice z urnami, a dwie drugie z innemi

---

[30] Kurze Beschreibung der Heidnischen Töpfe in welche die Heided ihrer Verbrauten Todten, überbliebene Gebeine und Aschen auf geboten itd. Nürnberg. 1688.

[31]) Duo per antiquą monumenta annis 1792 et 1732 ex agro Jutrebocensi erąta atque reperta cum idolis Slavorum itd. Wittembergae et Lipsiae 1734.

[32]) Epistola M. Christiani Stiefii ad Michaelum Josephum Fiebiger. De urnis Lignicensis et Pilgramsdorf. Wrocław 1704.

przedmiotami — znalezionemi około Lignicy w Szlązku. Pisali także: Dr. Jerzy Antoni Volkmann [33]) Lunchard [34]) Haas [35]) Müller [36]) i wielu innych. Mnóstwo też czasopismów niemieckich, liczne bardzo o urnach zamieściło rozprawy [37]).

Z Czechów znów Dr. Kalina [38]) wydał u urnach dzieło wielce dokładne, a czasopismo czeskiego muzeum, niejednę w téj rzeczy umieściło rozprawę. Zgoła, przyszłoby nam spisać niemały katalog dzieł, co w nich o urnach inni rozprawiają - kiedy u nas, zaledwie parę w téj materyi naliczyć można.

Urny wyrabiano zwykle z gliny mięszanéj z piaskiem, tłuczonym miałko granitem, lub błyszczem (mika), i wysuszano mocno zda się na słońcu bez wypalania najczęściéj w ogniu, choć jednę wydobytą około Gniezna i wypaloną widziałem. Pokrywy do nich z tego samego co i urny wyrabiano materyału i były różnego kształtu, najczęściéj kulisto spłaszczonego. Stawiano zaś urny w ziemi albo na kamieniach płaskich, lub też na kręgach glinianych z takiego materyału co i urny robionych, których jedna strona była w małe kłute dziurki chropawo wykończona, aby urna się nie zesuwała z podstawy. Gatunek gliny

---

[33]) Silesia subterranea 1720 Rozd. XV o urnach. — Drugie dzieło: De urnis sepulchralibus in Silesia.

[34]) Lunchardi Davidis Hermani „Maslografia" bardzo pouczające dzieło i jego „de urnis, so auf dem Masslichem Töpfelberge gefunden worden".

[35]) Ueber die heidnische Grabhügel bei Scheslitz und andere im alten Regnitzgau — von Nikolaus Haas (z tablicą litografowaną — Bamberg 2829.

[36]) Eine Schrift von Müller ueber die Urnen — o Uurach szlązkich.

[37]) Szczególniéj czasopismo „Thüringische Jahrbücher".

[38]) Dr. Kalimas . Ueber Opferplätze, Gräber und Alterthümer Praga 1836.

i powinowactwa jéj części składowych wpływał z natury swéj na kolor wyrobu — i dla tego są niektóre koloru ciemnego, inne czerwonawe, inne żółtawe, to znowu do białego zbliżające się. Wielkość urn bywa rozmaita i myli się Sobieszczański poczytując małe urny i naczyńka w „Nietulisku“ znalezione, za nowość. I owszem, wynajdywano je w wielu miejscach już dawniej n. p. Juterburgu, Schessbitz, a i ja posiadam z „Popówki“ koło Krakowa, urny bardzo drobnych rozmiarów. Niewszystkie jednakże naczynia gliniane wynajdywane po uroczyskach, są popielnicami — znajdują się między niemi i miski i miseczki różnéj wielkości, do obrzędów pogrzebnych służyć mogące — i innego kształtu naczyńka jakby balsamki i płacznice.

Urny Leżajskie robione były znać na miejscu, bo glina taka wszędzie się znajduje i granit polny toż samo — tylko do niektórych domięszywano błyszczu, a ten zkądś inąd musiał być przywożony, gdyż w tych stronach niema go wcale. Urny te spoczywały na glinianych podstawach i miały pokrywy według ogólnego zwyczaju jak poprzednio powiedzieliśmy. Parę odłamów takich podstaw i nakryw dostało mi się — lecz tych z powodu iż nie są całe w rysunku nie przedkładam.

O kształtach urn Leżajskich nie wiele pewnego da się powiedzieć, gdyż całości nie widziałem zupełnie. X. Podgórski był łaskaw nadesłać mi parę rysunków zewnętrznych kształtów niektórych odłamów większych, jakie mu w ręce wpadły. Przesłał mi także rozłamy czarki, którą chociaż bez uszka złożyć i skleić mi się udało, tak iż przedstawia doskonałą swą całość. — I oto wszystko, z czego wnioskować trzeba o tych tu kształtach. Z owych rysunków zamieszczam dwa, z tych zaś wnosząc, widzimy w nich kształty zbliżające się ku greckim, jak w N. 18 i 14. W czarce także Nr. 20 (rysunek w pół wielkości) widzimy foremność kształtów

a szczególniéj wydęcia środkowego, co wszystko razem wzięte, również za estetyczniejszą formą grecką przemawia. Niema tu jak w pierwszych wzorach, tak i w téj czarce Skandynawskiego odbicia. Czarka ta nawet swym kształtem przypomina mocno naczynie gliniane, które M. Grabowski w „Ukrainie“ na Tab. VIII lit. d. zamieścił — z tą różnicą, iż tam jest bardzo kształtne uszko, a tu go zaś brakuje przez utrącenie — które to porównanie, także za wpływem smaku południowo-wschodniego przemawia.

Zastanowimy się teraz nad glinianemi krążkami. — Znajdowały się one w Leżajskich wykopaliskach w dużéj znać obfitości — skoro ich odłamów wiele jeszcze napotkać można. X. Podgórski nadesłał mi kilka różnych kawałków takich krążków, z dwóch jednak tylko najpodobniejszych, udało mi się złożyć i skleić jednę całość, aby z niéj mieć dokładne o innych pojęcie. Krążków Leżajskich widzimy dwa gatunki:

Pierwszy soczewkowego kształtu — któren pod Nr. 21 przedstawiam. (Wielkość w rysunku naturalna). Glina jest w nich czerwonawa mocno z granitem tłuczonym zmięszana, dziurka w środku doskonale okrągła. Kształt znowu inny Nr. 22. jest stożkowy, mocno na powierzchni obrypany — z gliny dużo czerwieńszéj — bez granitu — i dużo twardszy.

O użytku tych krążków trudno jest coś pewnego orzec. W poszukiwaniach moich nigdzie ich nie napotkałem. Gottbilf Trauer, przedstawia wzory podobnych krążków, nie oznaczając onych użytku. Uczony archeolog niemiecki Schröter, uważa iż służyły do wrzecion jako ciężary i kółka, i oznaczają groby niewieście. W Przyjacielu Ludu (R. 7, T. I, Nr. 22) mówiąc o przedmiotach znalezionych na Krasnéj górze w Lubaszu w W. X. Poznańskiém, obok urn, jakiéjś figurki glinianéj i takiegoż niekształtnego kogutka; są przedstawione takież sa-

me trzy krążki zmniejszającéj się wielkości — a sprawozdawca utrzymuje: iż może do jakiéj gry służyły. Nie pomnę, ale ktoś podobne krążki uważał także za ciężary używane przy niewodach. X. Podgórski mniema, iż mogły służyć jakby wielkie jakie paciory. Środkowa dziurka oznacza, że przeznaczone być mogły do nizania na sznurek, a zwłaszcza koniczne z mniejszym otworem — lub do układania na niegruby patyk. Na każden raz trudno wpaść na domysł do czego używane były z pewnością — a z powodu rzadkości wynajdywania takich krążków i nieświadomości onych użytku, zaliczają się do zagadkowych rzadkości archeologicznych. Nie jestem zdania Schrötera lecz sądzę, iż najprędzéj do jakiego religijnego obrzędu, lub jako symbol przysługiwały. Myśl tę nasuwa posąg Światowida ze Zbrucza w Krakowie, który na lewéj swéj stronie ma wyrobioną obrączkę, kółko czyli téż krążek. Światowid *v.* Swantewit [39]), wieczny młodzieniec bez zarostu, był godłem słońca—światła, a jako światło tém samém i bogiem żywota. Kółko więc lub krążek, mogły być w ręku jego godłem nieskończoności — wieczności — żywota powszechnego; lub zaślubin ziemi z światłością — z bóstwem. Czyli więc owo kółko przy wyrobie grubym z gliny nie przeszło w krążek, a około urn nie było symbolem tego samego — oznaką przejścia po śmierci w żywot wieczny? wartoby dobrze rozważyć.— Jeżeli jednak kto z naszych badaczów mógłby bliżéj i ściśléj oznaczyć właściwość takich krążków i ich znaczenie w Archeologii, prosimy o ogłoszenie zdania pismami, a radzi i z wdzięcznością przyjmiemy każde spostrzeżenie i uwagę.—Po oddaniu już téj rozprawy do druku, ogłoszone zostało doniesienie w Feuilletonie „Cza-

---

[39]) Wiadomość o Światowidzie p. Teofila Żebrawskiego — Rocznik Tow. Nauk. Krakows., oddział Archeol., r. 1851, str. 32.

su“ (Nr. 123 z d. 31 maja b. r.) o znalezionèm podobnèm kółku glinianèm wraz z urną, we wsi Olszanicy, o milę od Krakowa. Kółko to, albo raczéj krążek soczewkowy tém jest ciekawszy, bo zapisany jakby znakami runicznemi. Po bliższy onego opis, odsyłam do wspomnionego artykułu „Czasu“. Domysły w nim wyrażone są nader trafne, a choć w téj chwili dla pośpiechu, trudno mi jest coś więcéj stanowczego o niém powiedzieć — znalezisko to wszakże, zdaje się tém więcéj utwierdzać powyższy mój domysł, co do symboliki takich kółek i stosunku ich z owém kółkiem Światowida krakowskiego.

Metalle przychodzą trzecie w rzędzie według nas w użytek ludzki. Poznanie bowiem i użycie onych do ozdób czyli téż potrzeb, musiało przyjść w zastósowanie wtedy dopiero, kiedy ludzie wyszedłszy z stanu dziecińof stwa a kształtując się w pewną jakąś społeczność, poczuli wyższe potrzeby, i myślą zaczęli szukać zaspokojenia ich.

Złoto, jako znajdywane na powierzchni w stanie rodzimym, najpierw zapewne zwracało na się uwagę ludzką i nęciło wzrok człowieka swym blaskiem, podobnèm do ciał niebieskich jak słońce, księżyc i gwiazdy. Znachodzimy téż użycie złota u najstarszych narodów w najodleglejszych wiekach, gdzie tylko człowiek zapragnął jakiéjś ozdoby dla siebie, lub dla Ołtarzy Bóstwa jak go pojmował. U ludu wybranego Mojżesz nakazuje niém zdobić Arkę Przymierza wraz z srebrem i miedzią [40]), Rzymianie mieli także liczne złote potrzeby. Samo już używanie złotych pierścieni jest u nich bardzo stare, przyswojone od Greków, a które nosiło rycerstwo i senatory. Miewali również takie same łańcuchy i korony obywatelskie. Było zaś złoto już u Rzy-

---

[40]) Księgi Exodus Rozd. XXV.

mian nie jednéj próby — to jest nie jednako z miedzią mieszane [41]).

Po wykopaliskach w ogóle rzadko spotkać się zdarzą z przedmiotami złotemi. Wartość wewnętrzna tego metalu, budząc łakomstwo ludzkie sprawia, iż wykopaliska takie najpierw wszędzie zwracając na się uwagę, zaraz w ręce przekupniów przechodzą ginąc najczęściéj bez śladu, i wtenczas tylko dostają się zbieraczom jeżeli jakim wypadkiem wprost im samym w ręce popadną.

W Leżajskich wykopaliskach mamy przed oczami jeden tylko kawałek złoty. Jest to pół pierścienia męzkiego *Nr*. *23*. z którego główna ozdoba — oko — wyroniło się. Złoto w tym pierścieniu jest bardzo liche, tak, że powierzchnia z wykwaszenia się miedzi w znacznéj ilości zmieszanéj tu ze złotem pokryła się patyną, i po zacięciu pilnikiem znać dopiero właściwie, że pierścień ten był złoty. Kształt jego odnieść się daje do kształtów rzymskich pierścieni, jakie po zbiorach napotkać można, oko zaś mogła być mała kamea lub gemma.

Srebro dużo późniéj zda się od złota przychodzi w użytek ludzki. Późniéj zapewne niżli miedź i mieszanina z niéj brązu, bo wynalezienie kruszcu srebrnego i wytapianie z niego metalu, potrzebuje wyższéj już świadomości. Szybka zaś oxydacya i nietrwałość bez umiejętnego obchodzenia się z niém, odstręczało zapewne starożytnych od większego użycia srebra. Używano go wszakże w odległych bardzo już wiekach w Egipcie i Indyi. Grecy, a za niemi Rzymianie, wyrabiali z niego różne ozdoby, naczynia, kubki, a nawet posągi; a pierwszy taki odlany uczcił boskiego Augusta [42]). Nietrwałość srebra i podleganie prędkiemu psu-

---

[41]) C. Plinius — Historiae naturalis. Lib. XXXIII.
[42]) C. Plinius — Lib. XXXIII.

ciu w ziemi drobnych z niego wyrobów, są powodem iż także nie wiele mamy starożytnych znalezisk srebrnych.

Hr. Tyszkiewicz załączył rysunek srebrnego pierścienia w jedném z swych dzieł [43]), w drugiém znów [44]) mały pierścionek — duże i ładne ubranie kobiece na głowę, i takąż bransoletę. Z przedmiotów Leżajskich przedstawiamy pod Nr. 24 jeden tylko mały pierścionek kobiecy z cienkiego srebrnego drutu w węzeł zwinięty. Zniszczone w nim przez wpływ powietrza i wilgoci srebro, jest niezmiernie kruche i łamie się za najmniejszém ujęciem. Musiałem go przyszyć na papier, aby z swych kawałków całość stanowił. Cienkość tego wyrobu i wykończenie okazują już postęp sztuki złotniczéj. Podobne kształty pierścieni przedstawia nam także hr. Tyszkiewicz przy dziele „Rzut oka“ na Tabl. I, Nr. 14 i w „Badaniach“ Tabl. I, Nr. 2 — lecz dużo grubsze i z miedzi.

Pierścionki w węzeł są używane i w naszych czasach — z Grecyi jednak wiodą one swe kształty. Widzimy je na wzorach greckich, zwłaszcza przepaskach do włosów u kobiet; a odnoszą się zapewnie do owego podania o rozcięciu węzła gordyjskiego przez Alexandra Wielkiego.

Mówiąc tu o pierścionkach, zwracamy uwagę na niedawną broszurę w tym przedmiocie J. Hanusa [45]), w któréj autor mimo całego zagmatwania się w wywodzie etimologicznym, nie jednę ważną myśl rzuca na obyczajowość u Słowian, pod względem pierścieni i różnych metalowych zwitów.

---

[43]) Badania Archeologiczne Tabl. I, Nr. 10.

[44]) Rzut oka na źródła Archeologii krajowéj Tabl. I, Nr. 13 — Tabl. III, 1 i 2.

[45]) Ueber die alterthümliche Sitte der Angebinde bei Deutschen, Slawen und Litauern. Als ein Beitrag zur comp. deutsch-slaw. archeo. ent. von J. J. Hanus. Prag 1855.

„**Pieniądz** bywa pogrzebném swego wieku świadkiem“ mówi Lelewel — to téż na wynajdowane po wykopaliskach pieniądze dawnych wieków, szczególnie zwracać należy uwagę. Z nich to czasem jaką pewną datę historyczną da się uchwycić, jeżeli na wielkiém łanie dziejowém, chociaż prawdopodobnie zastósować ją można. Wszak pieniądz dawano zmarłym u Greków i Rzymian jako opłatę — portorium — dla zapłacenia Charonowi przewoźnego myta przez śmiertelną rzekę Stixu. Zwyczaj ten przeniósł się następnie i do innych ludów, a widzimy go i u Chrześcian w inném znaczeniu. Bosius w „Roma subterranea“ powiada: iż w grobach męczenników wkładano pieniądze imperatorów, pod któremi oni śmierć ponieśli. Był to więc niejako zapis daty męczeństwa. Nasz zaś Miechowita wspomina również o Alanach, że ci wracając z najścia na kraje Rzymskie różne numizmata cesarzów na ziemię Polską z sobą przynieśli.

W Leżajsku jak to mówiliśmy, nieraz wynajdowano różne pieniądze, ale te jako wartość rzeczywista nie historyczna, przepadły w rękach handlarskich. Z ochronionych dwa tylko mamy przed sobą Nr. 25 i 26. Oba są zwykłe rzymskie, jeden Wespasiana, drugi Severa. Zwracamy przeto uwagę na czas panowania obu tych Imperatorów, za których władztwa wybite były. Wespasian panował od r. 69 do 79 po Chrystusie Panu. Sewerów zaś było dwóch. Septimus Sewerus, który panował od r. 193 do 211 po Chrystusie, i Alexander Sewerus od r. 222 do 235. Zapisujemy z ścisłością te daty, gdyż do nich przyjdzie nam się daléj odwołać a pieniążki te posłużą nam jako świadectwa dziejowe swych czasów.

Miedź i brąz jako powstająca z niéj mieszanina, w starych już bardzo czasach napotykamy. Mojżesz

przepisuje ją w użycie Izraelowi [46]) a Plinius odległą naznacza jéj starożytność wyrażając się „*cui in usu proximum est praetium, imo vero ante argentum, ac pene etiam ante aurum*“ [47]). Używano miedzi do wielu rzeczy, i służyła z początku miasto żelaza. Topienie jéj bowiem jest dużo od żelaza łatwiejsze i wymaga tylko 500⁰ gorąca, kiedy żelazo dopiero w 1000⁰ R. w stan płynny przechodzi. Że zaś miedź z natury swojéj dużo jest miększa od żelaza, znaleźli z czasem starożytni sposób nadania jéj hartu i twardości prawie stalowéj za pomocą dodania cyny i tworzenia tym sposobem mieszaniny znanéj pod nazwą brązu; któréj używano nie tylko do wytworów sztuki i ozdób, ale nadto na groty, bełdy a nawet miecze. Kamień więc i brąz, są najdawniejszemi zabytkami z wyrobów twardych, wprost na użytek ludzki lub do obrony służących. Z brązu to, czyli raczéj z téj mieszaniny miedzi z cyną, widzimy najstarsze: noże, ostrza, toporki, siekiery, sztylety, miecze, dzidy, — szpile, igły, zapiny, kółka, pierścienie, zwity i przeróżne wyroby u: Egipcyan, Babilończyków, Greków, Etrusków, Rzymian, Germanów, Słowian, a nawet u Meksykanów i Peruanów. Gdzie brąz więc się znajduje, znak to niemylny wyższego już postępu kultury i cywilizacyi społecznéj w tych stronach, a ludy co tu mieszkały przedsiębiorcze i myślące już były.

Miecze i groty miedziane hiszpańskie, najwyżéj cenione były przez Rzymian. W tłumaczeniu Salustiusa na język hiszpański [48]) do wyrazów Salustiusa „*majores nostri..... arma atque tella militaria ab Samnitibus, sumserunt*“ tłumacz Hiszpan robi następny przypisek: (Str. 302) „Rzymianie używali mieczów hiszpańskich i

---

[46]) Księgi Exodus. R. XXXVIII. 3.

[47]) C. Plinius ks. XXXIV. R. 1.

[48]) La Conjuracion de Catilina y la Guerra de Jugurta por Cayo Saluslio Crispo. En Madrit MDCCLXXII — folio, ozdobne.

te najwięcéj cenili, o czém Liwius Lib. VII. 10. wspomina, a to dla wybornego tejże broni hartu. Nasze miecze (mówi tłumacz Hiszpan przedstawiając rysunki takowych) które mam w moim zbiorze, znalezione przed kilku laty w Celtiberii, na wschód Siguenzy są *z miedzi* obosieczne i tak ostre, że nie można chwytać za ostrze bez niebezpieczeństwa skaléczenia ręki". Załącza również ów tłumacz Hiszpan i dwa rysunki grotów i dzid, z takiéj saméj miedzi hartownéj. — Podobny do nich posiadam i ja, pochodzący z Turzéj góry pod Żywcem. —

Klemm w dziele tylekroć przez nas powoływaném, przedstawia kilkanaście rysunków różnych toporków i siekier, znajdowanych w różnych stronach Europy, a o które nie mały toczy się spór: jakim ludom lub narodom, w pierwotnym swoim użytku przysługiwały? Znane one są w Archeologii pod nazwą jeszcze przez Tacita im nadawaną „Framea", a Germanom przez tego historyka przypisywane. Niechaj więc zwią się „Framea", kiedy nazwa ta jest już utarta, lecz zdaniem naszém są to narzędzia, które wszystkim mieszkańcom starego świata, zarówno mogły czynić posługę, bo wszędzie prawie znachodzą się. Biblioteka Uniwers. Jagiellońsk. posiada takich parę sztuk. W Gazecie Warszawskiéj z r. 1855 Nr. 124, wielce zasłużony B. Podczaszyński zdając sprawę z odkrytego w maju r. t. grobowiska we wsi Wałowicach pod Rawą, wspomina o brązowych toporkach, ostrzach, włóczniach itd. Oczekujemy spełnienia obietnicy podania rysunku tych przedmiotów w Pamiętniku sztuk pięknych, z tém większém zajęciem, bo radzibyśmy mieć wyjaśnione zdanie sprawozdawcy, dla czego przedmioty te do Xgo wieku po Chrystusie odnieść należy (?).

Do odlewów brązowych znajdywano po wykopaliskach

nawet formy używane przez starożytnych [49]). Umieli oni zaś brązom nadawać nie tylko hart i twardość, lecz zarazem i wielką giętkość i elastyczność jak w Fibulach, spiralnych zwitach, bransoletach i pierścieniach. Z postępem czasu i potrzeb ludzkich z brązu odrabiano daléj posągi, lichtarze, lampy; następnie drzwi, chrzcielnice, dzwony i t. d. Stare brązy mają prześliczny kolor zwłaszcza kiedy się wiekową pokryją patyną, a z miedzi korynckiéj celują po przed innemi. Dzisiejsza mieszanina brązu używana do lania dział, składa się z 90 części miedzi a 10 cyny. Jaka zaś była proporcya u starożytnych nie jest wiadomo, mimo licznych na drodze chemii w téj mierze dociekań; to pewno tylko, iż używano czasami do niéj złota, srebra i ołowiu a zwłaszcza na przedmioty ku ozdobie służące. Oceniając starożytności brązowe, rozbiór chemiczny materyału jest bardzo ważny i konieczny bo z pomocą tą dojść dopiero można do ocenienia mięszaniny, a zatem właściwego jéj pochodzenia, a oraz jak długo przedmiot mniéj więcéj pozostawał w ziemi. Göbel w swem dziele rzecz tę dokładnie tłómaczy [50])

Ze wszystkich starożytnych znalezisk na ziemi naszéj, najliczniejsze są pewnie brązowe, a pod różnemi kształtami i różnego użytku przedstawiają je nasi archeologowie, lub też o nich wspominają w swych dziełach; a mianowicie: Lelewel, Narbut, hr. Tyszkiewicz, M. Grabowski, Kirkor, Łepkowski i inni. Lecz właśnie dla téj ich rozliczności najtrudniéj przychodzi stale zdeterminować tak pochodzenie, jako i użytek takich przedmiotów. Wykopaliska Leżajskie obfite są w przedmioty

---

[49]) „Maslografia" str. 156. Ueber die heidnische Grabhügel bei Schesslitz. Haas.

[50]) Ueber den Einfluss der Chemie auf die Ermittellung der Völker der Vorzeit. Dorpat 1840.

z brązu, a szczęśliwym trafem zachowały się między niemi nawet bardzo cienkie, i delikatnego ujęcia. Przedstawiam atoli tutaj w rysunku tylko celniejsze pewną jakąś całość stanowiące; pomijając zwity z drutu brązowego w różnych kształtach i inne odłamy ukruszone a niewiedzieć od czego służące. N. 27 i 28 przedstawiają delikatne bardzo znać kobiece szpilki (wielkość naturalna) zagięcie ich od góry i zwinięcie w środku nie jest przypadkowe lecz okazuje ich kształt pierwotny, tem więcéj, iż pięć egzemplarzy jednakich z tamtąd posiadam. Kształt ten nie zdaje się bez pewnéj myśli, lecz musiał być w powszechnem zwyczajowem użyciu tamtych czasów i ludów. Zagięcie od góry jest jakby symbol laski pasterskiéj lub też wieszczbiarskiéj kurwatury (lituus) przy obrządkach ofiarnych. Niezmordowany w swych dociekaniach odnoszących się do rzeczy Słowiańskich Tadeusz Wolański, w jednem z dzieł swoich [51]) przedstawia rysunek naszyjnika w r. 1822 w Chełmcu pod Kruszwicą nad Gopłem w garnku między innemi przedmiotami znalezionego, a składającego się z dwunastu srebrnych brakteatów łańcuszkami między sobą spojonych. Na tych brakteatach które Wolański ze sposobu wyrobu uważa iż nie były pierwotnie do pieniężnego obiegu robione lecz jako amulety służyły, jest wyrazista postać osoby trzymająca w ręce prawéj laskę, zupełnie takiego jak owe Leżajskie szpilki kształtu. Wyobrażenie to uważa Wolański za jedno z bożyszcz słowiańskich lub Pontifexa z kurwaturą bałwochwalczą. Wnosząc więc z tych brakteatów czy amuletów, i porównywając z niemi ów kształt szpilek które przedstawiamy, uważać nam w nich wypadnie myśl symboliczną, zwyczajową, lub religijną, staro-Słowiańskich

---

[51]) Tadeusza Wolańskiego Listy o Starożytnościach Słowiańskich Gniezno 1845. Tabl. XV n. 1.

czasów. N. 20 przedstawia szpilkę lecz już innego zagięcia u góry. N. 30 igłę do szycia z przełamanem uchem. Oznaka to niezbita wyższych potrzeb i przemysłu tamtoczesnych jéj właścicieli. N. 31, 32, 33, przedstawiają rodzaj zapin do sukni, w których głównéj szpilki do przepinania tejże brakuje. Jest w tem przedmiocie coś podobieństwa do owego, któren podał Łepkowski w „Listach Archeologicznych" (Bibl. Warszaw. r. 1852 miesiąc czerwiec, n. VI). Między znów starożytnościami rzymskiemi z Carnuntum, które P. M. Siemianowski do muzeum arch. krak. przysłał, jest takie podobne narzędzie trochę tylko ozdobniéj wyrobione, a dawca zwie je bez wachania: rzymską spinką do fałdów togi. Z tego wnosząc, i nasze zaliczyćby równie wypadło do rodzaju Fibuli. N. 34 wyobraża połamany brązowy pierścionek. N. 11 jakby małą gąsienniczkę niewiadomego użycia. Daléj mam odłamek jakiejś przypinki i inne odłamki brązowe, z których trudno odgadnąć ich przeznaczenie.

Żelazo i wszelkie z niego wyroby, wielu choć mylnie uważa za wynalazek późniejszych daleko wieków; i temu to mniemaniu, oraz znanéj nietrwałości żelaza na wolnem powietrzu przypisać trzeba, że wszelkie żelaziwo po wykopaliskach wynajdywane odnoszone najczęściéj bywa albo do późnych dużo już czasów; lub też uważane jako przypadkowo tylko znajdujące się w pośród innych przedmiotów. Rzecz wcale tak się niema. A że dla dokładnego ocenienia jéj, zależy nam wiele na bliższem rozpoznaniu własności żelaza i jego używaniu w starożytności, przeto cokolwiek więcéj miejsca wypadnie nam dla niego teraz poświęcić [52]).

---

[52]) Bliższą wiadomość o żelazie zobaczyć można w nieznanem mi dziele Rinmana: Geschichte des Eisens mit Anwendung für Künstler und Handwerker. Aus dem Schwedischen. i t. d. Lignitz 1814.

Żelazo w prawdzie najwięcéj wymaga trudu i przemysłu przy topieniu go z rudy i przekuciu, dla tego stary Egipt niewiele nim posługiwał się. Mimo tego jednak, starożytność przyswoiła ten pożyteczny produkt na swój użytek. A jeżeli nie znachodzimy w obfitości starych jego zabytków lub też wynajdujemy same tylko okruchy, winniśmy to nietrwałości tego metallu, prędkiemu podlegającemu w ziemi zepsuciu; co znów jak daléj ujrzymy, zależy od mniéj lub więcéj sprzyjających lub przeciwnie, warunków miejscowości w któréj żelazo przechowuje się.

Plinius, który najwięcéj dostarcza nam wiadomości o świecie starożytnym, obszernie rozpisuje się o żelazie i jego użytkach [53]). Posłuchajmy co mówi: „Proxime indicari debent metalla ferri, optimo vitae pessimoque instrumento. Siquidem hoc tellurem scindimus, ferimus arbusta, ponimus pomaria vites sqvalore deciso annis omnibus cogimus invenescere. Hoc extruimus tecta, caedimus saxa, omnesquae ad alios usus ferro utimur. Sed eodem ad bella, caedes latrocinia, non cominus solum, sed etiam missili volucrique, nunc tormentis excusso, nunc lacertis, nunc vero ponato, quam sceleratissimam humani ingenii fraudem arbitror. Si quidem, ut ocyus mors perveniret ad hominem, alitem illam fecimus, pennasque ferro dedimus. Quamobrem culpa ejus non natura fiat accepta. Aliquot experimentis probatum est, posse innocens esse ferrum. In foedere quod expulsis regibus populo Romano dedit Porsena, nominatim comprehensum invenimus, ne ferro nisi in agricultura uterentur.“ Wiadome są surowe prawa Likurga nakazujące używanie pieniędzy żelaznych. Lacedemończykowie używali także żelaznych pierścieni, a przeszedł ten zwyczaj i do Rzymu. „Hi quoque qui ob legationem acceperant aureos (annulos) in publico

---

[53]) **Plinius Historia naturalis Lib. XXXIIII Cap. XIIII.**

tantum utebantur intra domos vero ferreis. Quo argumento etiam nunc sponsae annulus ferreus mittitur, isque sine gemma" odzywa się Plinius.

Odlewano i robiono z żelaza różne przedmioty. Był z niego w Tebach posąg Herkulesa który odlewał Alcon, a powiada daléj Plinius: „Videmus et Romae *scyphos e ferro dicatos* in templo Martis Ultoris." Na tę wiadomość przekazaną nam przez rzymskiego naturalistę szczególną zwracamy uwagę dodając: iż *scyphus* wyraz pochodny z greckiego, znaczy: nie tylko sam kubek jak zwyczajnie, ale oraz naczynie religijno obrzędowę.

Najlepsze zaś żelazo u Rzymian było Seryckie. Umiano ten metal ochronić od rdzy. Używano go i w medycynie.

Klemm przytacza jako najpierwszy z żelaza w czynnem ludzkiem użytku wyrób siekiery, topory i z niemi zpowinowacone narzędzia, które jeszcze za czasów Lukretiusa u Rzymian znane być miały. Za temi idą noże i inne ostre narzędzia. Daléj groty, dzidy i kopie, a na koniec przychodzą bełdy.

Że i broni żelaznéj dużo także używali Rzymianie w ich własnych pismach mamy na to świadectwo. Livius w ks. XXI, 8 mówiąc o Fallarykach, rodzaju broni wspomina: „Falarica erat Saguntinis missile telum hastili oblongo, et cetera ferreti, praeterquam at extremum, unde *ferrum* extabat. Id sicut in pilo quadratum stuppa circumligant, linebantque pice. *Ferrum* autem tres in longum habebat pedes ut cum armis transfigere corpus posset." Lucretius znowu żyjący około 52 r. przed Chrys. uważa: „iż za jego czasów użycie żelaza na broń sieczną było powszechne, a Rzymscy pisarze Augustowego wieku mówią o broni tylko żelaznéj. Gdy zaś Rzymianie zdobycze swoje za granicami Italii rozszerzyli, żelazna broń, prawie wyłączną była w ich wojsku."

O Słowianach mówi wprawdzie Teofilakt że mieszkający nad Baltykiem Słowianie, nie używali żelaza, a ztąd niemcy wnoszą: że gdzie się ono tylko po wykopaliskach znajduje, nie są to grobowiska Słowiańskie; wszakże i u Słowian zwłaszcza na południu żelazo musiało być w użytku [54]) zwłaszcza po ich zetknięciu z Rzymianami, bo wszędzie prawie po grobowiskach wynajduje się, co właśnie za naszem przemawia twierdzeniem.

Postawiwszy dowody za znajomością i użytkiem żelaza w odległych wiekach starożytności, przejdźmy teraz na drodze znanych prawd chemicznych do przejrzenia: w jakich to danych warunkach przyśpiesza się lub opóźnia psucie żelaza, i co właściwie na takowe najwięcéj wpływu wywiera.

Żelazo przechowuje się ciągle prawie niezmiennie jedynie tylko w powietrzu zupełnie suchem i przy zwykłéj temperaturze. Ale ponieważ powietrze zawiera w sobie zawsze parę wodną, żelazo pokrywa się przeto rdzą. Rdzewienie żelaza pochodzi więc od łączenia się kwasorodu z metalem na jego powierzchni, czyli ukwaszania się. Ukwaszanie się to szczególniéj łatwo następuje w obecności naprzód: gazu kwasu węglowego, którego pewną część stale powietrze zawiera, powtóre: w obecności wody która znów wielce się przyczynia do dalszego ukwaszania się żelaza dając ciągle materyał ukwaszający, to jest kwasoród. Żelazo ukwaszone naprzód kosztem kwasorodu powietrza w obec kwasu węglowego, tak znacznie przyśpieszającego ten proces, pokrywa się warstwą rdzy od zewnątrz, która chemicznie zwie się węglanem niedokwasku żelaza; późniéj zaś w obec wilgoci, zamienia się na wodan niedokwasu żelaza. Warstwa rdzy tym sposobem raz utworzona, po-

---

[54]) **Historya Literat. Polsk. M. Wiszniewskiego T. 1, str. 173.**

winnaby chronić wewnętrzną treść np. sztaby żelaznéj, od dalszéj oxydacyi. Ale rzecz ma się przeciwnie.

Wiadomo bowiem z doświadczenia że kawałek żelaza zupełnie czysty, jeżeliby tylko w jednym punkcie dotknięty został rdzą, plama ta z początku wolno, późniéj dość szybko rozchodzi się na wszystkie strony i z czasem przejmuje całą istotę metalu. Przyczyna tego zjawiska jest galwaniczna, która ukwaszanie się metalu przyspiesza. Żelazo i cienka warstwa niedokwasu na powierzchni tegóż wytworzona, stanowią dwa czynniki jakoby bateryi galwanicznéj, w któréj żelazo metaliczne, staje się o tyle dodatniem, że nabiera tém samém dostatecznie wielkiego powinowactwa do kwasorodu, aby wodę w zwykłéj temperaturze rozłożyć, wyłączając wodoród.

Takim jest proces ukwaszający żelazo w powietrzu i wilgoci, a usunięcie dopiero dwóch tych niszczycieli przechowuje metale bardzo długo bez zmiany.

Żelazo więc, do strawienia się zupełnego przez rdzę, w miarę większego lub mniejszego działania powietrza i wody, potrzebuje dłuższego lub krótszego czasu. Wystawione całkiem na działanie powietrza atmosferycznego przy zwykłych warunkach wilgoci i temperatury tegoż, w kilkunastu miesiącach (stósownie do kształtu przedmiotu wyrobionego z żelaza n. p. w cienkich blachach) ulega zupełnéj oxydacyi zamieniając się w proszek czerwony.

W ziemi jednakże zakopane żelazo przechowuje się daleko dłużéj, a niekiedy bardzo długo, stósownie do miejsc przechowujących. W grobach np. zasypanych gdzie powietrze jest zamknięte a wilgoć mało ma przystępu, zachowanie się metalu na sta lat rozciągnąćby można; jeżeli do tego calizna gruntu jest nie przepuszczająca wodę. W ogóle żelazo w ziemi suchéj zachowuje się najlepiéj. Nawet gdy metal oblepiwszy się

w warstwę gliny i zagrzebany, przetrwać może wieki bez niewielkiéj odmiany.

Położenie więc miejsca dużo wpływa na dłuższe lub krótsze zachowanie. Kopce zwłaszcza ostrokrężne na wzniesieniu, lub wysokie pagórki okolicy, najmniéj sprzyjając ściekowi wód zaskórnych wewnątrz, jako najsuchsze najdłużéj żelazo przechować mogą.

Wszystkie uwagi tu przywiedzione, co do oxydacyi żelaza, można po części zastósować i do brązu z tą jedynie różnicą: że wpływy działające na ukwaszenie się żelaza co do swéj siły niszczącéj — w brązie mają się w stosunku jak 3—10 lub najwięcéj jak 4—10.

Nasi archeologowie a zwłaszcza Pauli, M. Grabowski, hr. Tyszkiewicz zamieszczają w swych dziełach kilka rysunków znalezisk żelaznych, lecz są to najwięcéj większych tylko rozmiarów miecze, groty i bełdy. Wspominki o podobnych przedmiotach i po pismach czasowych, a zwłaszcza w „Przyjacielu Ludu“ często napotkać się zdarza. Nie zbyt dawno nawet, nasz zacny J. J. Kraszewski mówiąc w swych listach do Gazety Warszawskiéj [55]) o podróżach i plonie z poszukiwań archeologicznych znanego badacza P. Kirkora, wspomina: iż tenże rozkopawszy kilkadziesiąt kurchanów na Litwie, poznajdował w nich dużo żelaza wraz z bronią kamienną i ozdobami stroju. Kraszewski wnosząc z żelaziwa utrzymuje: iż to są grobowiska drugiéj i trzeciéj epoki. Pozwolimy się tu zapytać na czem swe uzasadnia twierdzenie? Czas przecie stanowczego sądu w tych rzeczach dotąd u nas nie nadszedł. Należy nam więc z całą ostrożnością przygotowawcze gromadząc materyały, ogłaszać z zapisami znalezisk pojedyncze zdania, uzasadniając zawsze takowe. Litwa przoduje nam wybornie na tém karczującém się polu. Warto i nam ko-

---

[55]) **Gazeta Warszawska r. 1855. W. 62.**

roniarzom z nią po staremu zbratać się — a wspierając i objaśniając się wzajem iść społem, aby co prędzéj postawić można nie już domysły, lecz stałe archeologiczne dla nas pewniki. —

Przyjrzyjmy się bliżéj żelaziwom Leżajskim. Na Tabl. Nr. 36, 37, 38 mamy trzy noże Nr. 5 jest najdawniejszéj formy, Klemm podobny w rysunku N. 234 przedstawia, a M. Grabowski w „Ukrainie“ zbliżający się tym kształtem na Tabl. VIII lit. E. załączył. Kształty 37. 38 są późniejsze — wszystkie jednak, mimo suchości zachowania swego dużo od rdzy ucierpiały co ich niemałą starość wskazuje. — Nr. 39. 40 przedstawiają bełdy strzał. Pierwszego kształt jest uszkodzony — drugi przedstawia się całkowicie. Według Klemma takie kształty bełdów są najdawniejsze, i takie, jakich do podobnych pocisków z żelaza używano w początkach.

Nra 41. 42. 43. 44. przedstawiają gwoździe różnéj długości z rozmaitemi główkami — do różnych znać przytwierdzeń służące. Nr. 45 jest gwóźdź a raczéj szpila żelazna, w kształcie kurwatury jakto przy brązowych widzieliśmy kształtach. — Zdanie więc nasze na tamtém miejscu wyrzeczone utwierdza się dobitniéj, powtórzeniem się tego samego kształtu i na żelazie. — Nr. 46. 47. 48 są odłamy jakichś zapin (fibula) pouszkadzane przez rdzę, całości nie stanowią. Podobnych odłamów Leżajskich posiadam kilka odmian. Innych znów różnych nieodgadnionych kawałków mam więcéj ztamtąd — a nawet pół wędki haczykowéj na ryby. — Najważniejsze atoli, bo dotąd podobno nigdzie przez archeologów nie okazane są Nra 49. 50. 51. 52. 53. 54.

Rysunek jak widzimy przedstawia nam z całą wiernością i naturalnéj wielkości — drobnych rozmiarów koszyczki, które tak są wyrabiane z żelaza, iż dziś niemal mogłyby służyć do ozdoby jako breloki. Wszystkie chociaż nie jednéj wielkości są jednakiéj roboty, jakby

z drutu żelaznego składane, z których trzy doskonale zatrzymały nawet swe uszka do kształtów koszyka konieczne, a u trzech takowe odłamane przez czas zostały. Utwór ten, możnaby na pozór pomówić iż w późniejszych czasach przypadkowo w tych miejscach uroniony, znalazł tu swoje miejsce. Okoliczność atoli, iż w jedném miejscu sześć sztuk razem znalazło się — a mogło ich bydź i więcéj, zbija dostatecznie takowe przypuszczenie, przemawiając stale za ich właściwém w swoim czasie tutaj użytku i przechowaniu z namysłu. Oblepiwszy się ziemią — jak to znać dotąd na ich powierzchni — i w suchem miejscu według zasady jaką położyliśmy o przechowaniu się żelaza — przetrwać one mogły i przetrwały rzeczywiście mniéj więcéj cało; aż do czasu tego opisu.

Ponieważ podobne znalezisko zdaje się nam najpierwsze w swojem rodzaju, a przynajmniéj nigdzie nie zdarzyło nam się natrafić na opisy lub wzmiankę takich przedmiotów; pytanie słuszne zachodzi, do jakiego służyć mogły w swoim czasie użytku? a rozwiązanie mniéj lub więcéj szczęśliwe do nas najpierwéj należy.

Na pierwszy rzut oka, możnaby osądzić owe koszyczki za wisiory do kobiecych zausznic, to jest kulczyków. Domysł podobny jednakże sam z siebie upaść musi bez sprzecznie, skoro na uwagę się weźmie następne okoliczności: 1⁰ że w wykopaliskach odpowiednie zausznice nie znalazły się. — 2⁰ że Nr. 49. 50 byłyby zbyt ciężkie, a nawet niepodobne dla tego, do noszenia u uszów. — 3⁰ że podobnego kształtu wisiorów nigdzie także nie mamy śladu, a oznaczałyby za wielką w stroju wytworność. Dla tego po upadku tego domysłu na razie, pozwalamy sobie następny — odpowiedniejszy sądzimy.

Materyalne pojęcia o pozagrobowém życiu u starożytnych wywołały z natury swojéj jak to już wspomina-

liśmy potrzebę rozmaitych obrzędów pogrzebowych. Jednym z takich znajomych obrzędów u wielu ludów był: dawanie jadła i napoju — zasiłek na drugi żywot umarłym.

Zwyczaj ten tak dalece upowszechnił się w starożytności że nawet Chrześciaństwo nie obaliło go od razu, bo widzimy go jeszcze w IV wieku po Chrystusie, a nawet rzecby można w innéj formie podniesiony tylko i uświęcony. Kościół bowiem miał zawsze i we wszystkiem tę zbawienną przezorność, aby praktyki pogańskie zbyt głęboko wszczepione w pojęcie ludu nie od razu obalić, lecz je zwolna przyswajać, wduchowiać, uświęcać. Poparcie zdania tego znajdujemy w jednem z dzieł [56]) w następnem wyrażeniu: „Mortuis panen consecratam SS. Eucharistiae ingerere, et veluti nautum ac viaticum simul cum eis sepelire. Putabant viventes, se mortuis hoc modo opitulari, atque illos in fidelium numerum coetumque beandorum revocare posse, ut eo certius ad coelum perducerentur.“ Zwyczaj ten dawania posiłku umarłym był w użyciu i u Słowian z pewnością, pomimo wszelkich dowodzeń i zaprzeczań onegóż, przez niektórych badaczów naszych, bo są to dowodzenia niczem nie wyjaśnione na niczem nie oparte. Przeciwnie znowu za niem przemawiają:—wynajdywane małe miseczki obok urn w grobowiskach— Obrzędy „Dziadów“ na Litwie—Zwyczaje Ukraińskie i naszych Rusinów. Przebija on się również w podaniach ludu, nawet w powinowactwie ważności i poszanowania jaką lud do chleba a nawet dzierzy przywiązuje, używając

---

[56]) Andr. Schmidi Dissertatio de Eucharistia mortuis collata. Co do tego zwyczaju oraz czasu jego zarzucenia czytaj: Concil. Antissiod: c. 12. Carthag. 3 c. 6. Trull c. 83 Chrisost. hom. 40—I Cor. nadto w Hierolexiconie D. Macri, Sig. Jac. Baumgartena starożytności etc. etc.

ich dotąd w wielu miejscach przy weselnych obrzędach. Skoro widzieliśmy tu na początku iż dotąd w okolicach Leżajska lud przechował obyczaj dawać pieniądz jako „odprawę“ umarłym — łatwo więc przypuścić a nawet z pewnością prawie da się zatwierdzić, że ściśle zpowinowacony z niemi zwyczaj dawania posiłku na drogę wieczności — w odległych od nas wiekach — musiał tu bydź w pełném używaniu.

Pomimo jednak całego materyalizmu wieków pogaństwa, myliłby się wielce w mniemaniu ktoby sądził — że dawanie owego posiłku zmarłym odbywało się w dosłowném jego znaczeniu, a zatem, iż taki posiłek dawano zmarłym w obfitości. W najpierwszych tego obrzędu początkach może wreszcie tak było. Z postępem atoli czasu, z coraz większém uduchowianiem się myśli ludzkiéj, obrzęd ten sam z siebie musiał także się stawać co raz mniéj materyalnym i powoli przechodzić w sferę symboliki tak obfitéj w starożytności. Dowód twierdzenia tego znajdujemy znowu w owych małych glinianych miseczkach — raz większych, to znowu mniejszych wynajdywanych zwykle z urnami po grobowiskach, a które do niczego innego służyć nie mogły jak do takiéj grobowéj zastawy stołu, bo nawet „caetera *vascula* utensilia partim defuncti patroni partim etiam *receptacula alimentorum* fuisse“ powiada o nich Stief [57]) w swojem dziele o urnach. Gdy więc z postępem rzeczy obrząd ten stawał się coraz więcéj symbolicznym, i naczynia zapewne na owe pogrzebowe potrawy do coraz mniejszych schodziły rozmiarów, przybierając na się symboliczne kształty.

Jeżeli znowu do takiego wywodu dodamy: rozwój przemysłu ludzkiego, i większą już umiejętność obcho-

---

[57]) Stiefii Epistola de Urnis Lignicensis i t. d.

dzenia się z metalami, połączoną z dążnością wyrażenia pewnéj już stałéj myśli przez symbolikę — to niezawodnie najlepiéj owa symbolika, mieszcząca w sobie myśl podania na drogę wieczności pokarmów nieboszczykowi przez *koszyczki* wyraziéby się mogła. Wszak w koszyku nosimy i przesyłamy najwygodniéj rozmaite rzeczy. Z koszykiem wybieramy się w drogę. W koszyku lud na robotę jadło przynosi. Koszyk najstósowniejszy do podobnego użytku.

Opierając więc zdanie nasze na tem wszystkiem cośmy dopiero wypowiedzieli — uważamy owe sześć koszyczków żelaznych znalezionych w wykopaliskach Leżajskich jako naczynia symboliczne religijno-obrzędowe, mogące posługiwać naszym praojcom Słowianom do podawania zmarłym ostatniego pokarmu na drogę wieczności, a twierdzenie nasze przyjmując, mamy w owych koszyczkach nową zdobycz na polu symboliki staro-słowiańskiéj.

Zdanie to popieramy jeszcze i wyrażeniem u Pliniusa które poprzednio przywiedliśmy, kładąc na nie swój nacisk: iż w Rzymie w świątyni Marsa Ultora znajdowały się owe „scyphos“ to jest kubki a raczéj naczynia obrzędowe żelazne. Użycie zaś *podobnych naczyń* (żelaznych) zwłaszcza przy pogrzebach wojowników [58]) mogło być przyniesione w strony nasze ze staréj Romy, tém więcéj po bezpośredniem zetknięciu się z Rzymianami.

Takie jest zdanie nasze co do owych koszyczków. Czyliśmy się nie pomylili i dość znaleźli trafności w odszukaniu właściwego onych znaczenia? Niewiemy. Je-

---

[58]) Mówimy: *zwłaszcza przy pogrzebach wojowników*— bo Mars był bogiem wojny, żelazo zaś wyrażało hart, męstwo i używane było do boju.

żeli kto będzie od nas szczęśliwszy a zechce poprawić i objaśnić to zdanie — przyjmujemy z chęcią.

Szkło jako wytwór łatwemu podlegający stłuczeniu, rzadko bardzo a tém więcéj w całości, znachodzi się w wykopaliskach. Z tego to powodu mało o niém wspominają archeologowie, chociaż zasługuje również na właściwą uwagę badaczów.

Historya odnosi wynalazek szkła do bardzo odległych czasów przyznając go Fenicyanom. Nie wyliczamy tu po szczególe kolei jakie wynalazek ten przechodzić miał odsyłając ciekawych do dzieł w tym przedmiocie obszernie rozpowiadających [59]). Wspominamy tylko: że Egipcyanie znali dawno jego użytek, a ozdobami ze szkła są przybrane mumie w Memfis i Tebach. Teofrast na 370 lat przed Chryst. mówi już o hutach szklanych. A Rzymianie najmniéj na 200 lat przed Chrys. używali szkła, które do największych kosztowności liczono, za cesarza zaś Nerona założono hutę szklaną w Rzymie. W Pompei wynajdują stare szkła a Plinius rozpisuje się obszernie o szkle, i mówi że rżnięto już na niem gemmy. W ogóle jednak był to towar rzadki i wielce kosztowny u starożytnych. Założenie dopiero wyrobu tego na większą skalę w Wenecyi a zwłaszcza w XII wieku na wyspie Murano, upowszechniło szkło. Sięgają wszakże zakłady Weneckie pierwszych niemal miasta początków. —

Nasi archeologowie a zwłaszcza hr. Tyszkiewicz, przywodzą w swoich dziełach paciorki szklane, ten ostatni nawet kulki, mieniąc je wraz z W. Syrokomlą

---

[59]) Dr. Hein. Leng's vollständige Handbuch der Glasfabrikation nach allen ihren Haupt und Nebenzweigen itd. bearbeitet von Dr. Ch. H. Schmidt Weimar 1854 i nieznanego nam „Ueber die Anfertigung und die Nutzanwendung der färbigen Gläser bei den Alten von H. K. Minutoli — Berlin 1836.

(Gaz. Warsz. z r. 1854 Nr. 159) łzawnicami, którą to rzecz w swoim czasie wyświecił i należycie sprostował J. Łepkowski w Gazecie Warszawskiéj (Nr. 196 z r. 1854).

W wykopaliskach Leżajskich napotykamy paciorki i inne odłamy szklane. Paciorka Nr. 55 jest mocno ciemnego koloru podobna kształtem do zamieszczonéj przez hr. Tyszkiewicza w dziele „Rzut oka" na Tabl. II. Nr. 11. Nr. 56 jest ciemno fioletowego koloru podłużna i spłaszczona — kształt podobien do przywiedzionéj u hr. Tyszkiewicza na Tabl. II. Nr. 25. Takich samych znaleziono sztuk sześć które posiadam. Oprócz paciorków przedstawiam wzory odłamów szklannych Leżajskich. Nr. 57. są dwa kawałki do jednéj zdające się z koloru należące sztuki. Kolor ich jest jakby zdymionego topazu. Podobnéj farby szkła widzieć można pochodzące z Pompei. — Nr. 58 znów dwa inne, jednéj całości, koloru zielonkowatego (aquamarina).

Znajdują się i inne inaczej zafarbowane, lecz wszystkich niepodobna stale oznaczyć jaką całość stanowiły pierwotnie, i do jakiego czasu odnieść je przynależy.

Na tym przeglądzie kończymy rzecz o znalezionych przedmiotach w wykopaliskach Leżajskich przechodząc z niemi na pole historyi. Jeżeli może cokolwiek za długo i za obszernie rozwodziliśmy się nad temi przedmiotami kreśląc historyą a niemal i zasługę każdego z nich, to czyniliśmy w chęci oswojenia większości z archeologią, aby podając przystępnie wiadomości główne o wynajdywanych przedmiotach i materyale z którego pochodzą, zwrócić na nie baczniejsze oko ogółu — a tém samem ochronić wiele rzeczy od zatraty przez nieznajomość. —

(Dokończenie nastąpi).

Karol Rogawski.

USTĘP

Z WYCIECZKI PO OKOLICY PODGÓRSKIÉJ.

.....Ledwo kilka godzin temu, jak spieczonego czerwcowém słońcem i rozpalonym brukiem, zaduszonego kurzawą i swędem węglanym, uniósł pociąg kolei żelaznéj obdarzając równie niemiłym piskiem lokomotywy, dymem węgla, zaduchą wagonu i niezajmującą rozmową podróżnych. Byłem niby na świeżém powietrzu, ale powietrza nie było; niby na polu, łące, na wsi, pod opieką szerokiego błękitu zasianego gwiazdami,— ale tego wszystkiego nie było w tém zasklepioném pudle,— tylko mdławy błysk lampy oświecający te same ludzkie twarze, które codzień spotykam na ulicach... Oddałem się w ręce cywilizującéj pary i pieszczącego komfortu, więc się mną opiekują jak głodnym lekarze gdy weń wmawiają że chory.... Ale dość już tego! pociąg się zatrzymał, a ja po chwili siedziałem na odkrytym wózku, który prędko rozstał się z nadwiślaną płaszczyzną, i wspinając się na coraz wyższe wzgórza, przeniósł mię

w to szafirowe pasmo gór tak malowniczo zamykające widokrąg dla tysiąca siół rozsianych po obu brzegach Wisły.

Już było dobrze z północy; *chłodek jeleni*, jak mówi śpiewak Mohorta, pociągał z wądołów nalanych mgłami; światło pełnego miesiąca oblewało każdy szczyt wyższy; głos ciszy pustynnéj panował nawet nad odzywającym się w zbożu chruścielem i przepiórką; jak znowu woń kwitnącego żyta i skoszonego siana panowała w powietrzu....

O jakżeś cudna świętojańska nocy!

powtarzałem w milczeniu, bo choć miałem obok towarzysza z którym mógłbym się dzielić każdém wrażeniem, jednakowoż takim uczuciom najlepiéj w schowaniu, podobnie jak fotograficznéj karcie: póki w skrzynce, słońce maluje ją barwami i złotem; wyjmiesz na jasność—zostają tylko cienie... a cóż są słowa? tylko cienie uczuć naszych....

Wtórując tedy milczeniem téj uroczystéj ciszy nocnéj, nie spuszczałem z oka odgrywającéj się sceny na niebie. Księżyc, jak król w monologu odziany złotogłowem sam jeden przechadza się wielkiemi krokami — gwiazdy, niby chór greckiéj trajedyi, coś mu tam dogadują pół trwożliwie, pół tajemniczo, a tymczasem jakaś postać świetlana, podsłuchująca, słania się za kulisami widokręgu. Czy to przeczucie zbliżającéj się katastrofy że bladość niezwykła powleka oblicze królewskie? — a chór, echo jego wrażeń, blednie jak on, i w głąb się usuwa? Chwila rozstrzygająca — Promienisty i rumiany młodzieniec wchodzi na scenę tryumfalnym krokiem spokoju, nawet miecza nie ma — za to każde spojrzenie jego jak miecz topi się w piersiach przywłaszczyciela— Egista, Klaudiusza, Makbeta... i wielu ich tam naliczysz umierających zawsze pod koniec piątego aktu.

Czemuż ci wszyscy mściciele, ten Orest, Odys, Hamlet, tacy ponurzy, tacy krwawi, lub tacy nieszczęśliwi? jednego Eumenidy zgrają wściekłych psów gonią, owego czarna melancholia, tego zapach krwi trapi ustawnie? Owoc najsprawiedliwszéj zemsty zawsze nosi w sobie gorycz, lub truciznę występku... I w starożytnych i nowożytnych trajedyach znajduję jeden i ten sam sens moralny, a tu codzień od stworzenia świata powtarza się dramat spokojnego, poważnego i wielkiego zwycięstwa światła nad ciemnością, prawdy nad ułudą, prawa nad przywłaszczeniem — a zwyciężający promień coraz silniejszym świeci blaskiem nieuczuwając zgryzoty wewnętrznéj że przywłaszczyciela pokonał.... Otoż i nowy temat do dramatu, choć dramat jak świat stary. Goniąc za archeologicznemi zdobyczami po ziemi naszéj, znalazłem go na tém niebie, téj najstarszéj archeologicznéj księdze, co ją pokrywa nieśmiertelnemi kartami.

Czytelnik tedy wybaczy ten ustęp, może zbyt rozmarzony do rzeczywistéj reszty, ależ nie mogąc czytać na ziemi pogrążonéj w ciemnościach, puściłem myśli na strop niebieski i to mi drogę skracało. Inaczéj bowiem, chcąc zawsze być dokładnym opowiadaczem, musiałbym podobnie, jak w bajkach powtarzać: jechałem, jechałem, jechałem......

Okazale świeciło słońce kiedyśmy wjeżdżali w uroczą dolinę Dunajca, wysłaną po obu brzegach szerokiemi łanami i łąkami, nad któremi rysowały się ciemne bukiety drzew otulających wieśniacze chaty; tu i owdzie wystrzelał podnioślejszy szczyt kościółka, lub bielał dworzec pański — a nad wszystko pięły się szafirowe góry w swoich malowniczych załamach, tworząc jakby olbrzymie ramy do zmieniającego się co chwila pejzażu. Widoki tu szérokie i nadzwyczaj dla malarza przyjazne; natura wszystko skończenie skomponowała, zupełnie jak nad Renem, z tą różnicą, że ani prozaiczne winnice nie

psują harmonii, ani regularność cywilizacyi nie zgładziła fantastycznych linii biegnących sobie samopas. — Poetyczność tych stron musi być niezmiernie wymowną, kiedy jednemu z dawnych naszych pisarzy wytrąciła pióro a włożyła pędzel; a wiemy przecież że nasi starzy nie lubili malować pejzaży dla pejzaży i to z natury — im dość było na tych konwencyonalnych drzewach, krzaczkach, zamkach rzuconych na mocno niebieskie tło, co się nazywało niebem, jak to widać w obrazach Rafaelicznych: Madona lub jaki Święty, głównym jest przedmiotem — pejzaż podrzędnym, niczém. Dla tego mocno mię zastanowiło kilka wierszy Zbylitowskiego, mieszkającego gdzieś tu w téj okolicy, bo czuję, jak sfotografował pisząc te słowa:

.....ano kołem
Stoją Tatry wysokie i długie Bieściady
I bory gałęziste i szczepione sady:
I u saméj wsi widać gaje jaworowe
I wesołe dąbrowy i drzewa bukowe,
I rzeka tuż pod górą, na któréj dwór leży
Szum wdzięczny po kamieniach czyniąc, bystro bieży;
A po niéj tratwy płyną i z zbożem komiegi,
I ciosane wańczosy tuż pod same brzegi!
Młyn na niéj....

Taka dokładność rysunku nie często się spotyka u dawnych pisarzy; dla tego téż ten widoczek i dziś podobny aż do gatunku drzew wymienionych przez Zbylitowskiego. Przy każdéj prawie wsi to samo się powtarza: biały dwór na wzgórzu, u stóp czysty jak łza Dunajec, lub mętna Biała, lub szemrząca Ropa, ale tylko jedne, pełniejsze i bystrzejsze dunajcowe wody spławiają drzewo powiązane w tratwy.

Nic jednakże nie da się porównać z widokiem odsła-

niającym się na lesistą, ostro ściętą górę, na któréj sterczą zwaliska Melsztyna podpasaną błękitną wstęgą Dunajca. Prawdziwe średniowieczne rycerskie gniazdo, zkąd można było urągać i samemu królowi, a przynajmniéj schować się przed jego gniewem, jak to Długosz uczynił. Kto tak wysoko usiadł, musiał i władać szeroko jak promień jego oka zasięgał. Nasza historya średniowieczna występuje tu w wyraźniejszych rysach niż po kronikach. Wzdłuż dunajcowego koryta biegnie zamek za zamkiem: Melsztyn, Czchów, Tropsztyn, Filipowice, Rożnów, Zbyszyce, Sącz, aż do Czorsztyna — to pas obronny od Węgier; konieczność bezpieczeństwa kazała stawić te warownie, gdy późniéj potrzeba wewnętrznego spokoju kazała je zburzyć; sterczą też na stromych wirchach kawały murów, reszty okrągłych baszt i szczerby strzelnic wiewając zielonemi sztandary, które pozatykał ostatni zdobywca — leśne pustkowie. Chociaż tyle wspomnień ciągnęło mię do zwiedzenia tych zabytków, choć obiecywałem sobie upoić się czarującemi widoki téj romantycznéj doliny, jednakowoż odłożyłem tę wycieczkę na późniéj, kiedy prawdziwe lato zawita w te góry, bo teraz jeszcze czerwcowy fawoni zanadto pachnie świeżością zasp śnieżnych.

Przeprawiwszy się przez Dunajec, tę starożytną *Drużynę*, od któréj idą herbowni, podobnie jak od Sreniawy — pożegnałem go z żalem, równie jak Melsztyn przeglądający się w jego ruchomém zwierciedle i zwróciłem się na Zakliczyn, ubogą mieścinę, ale używającą najpiękniejszych widoków, chociaż w gruncie wątpię ażeby osiadłe tam szewcy, dostarczający obówia na wszystkie jarmarki okoliczne, mieli czas unosić się nad malowniczą panoramą.

Resztę mniéj zajmującéj pod względem pamiątek i widoków drogi do Biecza, ożywiły na chwilę najbliższe Łucławice. Starych tu zwalisk ani murów nie widać:

za to stare lipy i dęby, jakieś szczątki tarasów czy okopów, każą ci się domyślać że tędy przesunęła się nie bez śladów historya. Sam dwór, choć odnawiany, powiada strukturą swoją że dawne czasy pamięta. Miałżeby to być, bodaj w części, ten sam dworzec, gdzie przemieszkiwali właściciele Łucławic, Stanisław Taszycki i Abraham Błoński, owi gorliwi różnowiercy, co tam założyli akademię aryańską? Gdzież ślady téj szkoły? Niewiem czy tradycya umiałaby miejsce pokazać, gdzie ją tak skrzętnie zacierano, że niedawnemi czasy nieprzepuszczono nawet półtrzeciowiecznemu głazowi na grobie Socyna i wrzucono go w nurty Dunajcâ. Dziwna gorliwość! Któż się mógł jeszcze obawiać niebezpieczeństwa z grobowego kamienia? Ziemia wyrozumialsza przytula kości aryanina, zapisanego na kartach naszych dziejów, niewchodzę czy źle czy dobrze, ale zapisanego; pomnik grobowy — to także kamienna karta historyi. Dziwić się tedy że nic nie pozostało z téj akademii aryańskiéj, która choć się przytuliła do wiejskiéj strzechy zamożnego szlachcica, niemogła ostać się długo jako wymysł przemijający, niezgodny z duchem i powołaniem narodu. Nieocaliła jéj nawet świetność kilkunastoletnia pod rządami różnowiercy Walentego Baumgartena z Memla; studya i dysputy teologiczne, metafizyczne, fizyczne i logiczne przebrzmiały, bo wspomnienia ich próżnobyś szukał w podaniu ludu; nawet głuchy szum drzew, tych może naocznych świadków, o czem innem rozpowiada niż o subtelnych dysputach, a dunajcowa woda, ta współaktorka heretyckich obrzędów pieści się wciąż z romantycznemi brzegi, wciąż odzwierciedla błękity i słońce, i nocne światła i ognie świętojańskiéj sobótki. A jednak Dunajec grał tu w obrzędach aryańskich niepospolitą rolę jak drugi Jordan w Starym i Nowym testamencie. Satyryczny wierszyk *Peregrynacya Dziadowska* przechował nam dokładny opis snać studiowany na miejscu:

Niemogę go pominąć, bo każda taka pamiątka, jak skoligacenie z wielkim domem uzacnia genealogiczne drzewo, tak i miejsce uzacnia gdzie stoi.

Posłuchajmyż co prawi dziad peregrynant o chrzcie aryańskim:

Więc pójdę do Łucławic, choć do aryanów,
Nieźle téż tam być musi, bo tam dosyć panów...
Mało téż tam od żydów coś trochę trzymają...
Mając i téj i owéj wiary po kawalcu,
Ale to najstraszniejsze że się chrzczą w Dunajcu.
Tak się chrzczą: kto przyjmuje wiarę u nich nową
Wrazi go pod Dunajec pospołu i z głową,
To go trochę potrzyma, aż modlitwy zmówi
A potem go za włosy porwie ku wierzchowi,
I tak mu będzie czynił do trzeciego razu;
Niema on tam agendy, ani też obrazu,
A co gorsza, kiedy się przytrafi chrzcić w zimie
I pół roku poleży nim go febra minie;
Odechrztu nic nie biorą, krzyżmo u nich tanie,
Chrzcielnica dobrze głębsza niżeli w Jordanie.
Post największy w Niedzielę, — w Piątek wszystko
jedzą i t. d.

Rozstawszy się z rozkosznemi dolinami, zacząłem powoli piąć się ku wyższym okolicom, jałowszym, dzikszym, miejscami smutnym, ale zawsze w wądołach przerzniętych potokiem, ubukieconych drzewami, wysłanych axamitem łąk, znajdowałem prawdziwie sielskie, zaciszne i malownicze widoki. Najmniéj ładna z tych wsi podgórskich, jeszcze była perłą w porównaniu z wioskami nizin, rzuconych bez żadnéj fantazyi na wydmie piasczystej, obrosłéj karłowatą sosną lub niebieską ostrą trawą. Roślinność nawet bujniejsza tu, ogrodowiny i zboża jak tylko życzyć można, ale to jedynie w pobli-

żu potoku; bo im wyżéj, tém grunt uboższy, kamienie tylko rodzi. Możnaby podług tego ułożyć skalę dobrych i złych gleb, któréj podziałkę stanowiłyby węższe lub szersze doliny. Gdzie wąziutki strumyk wieś przerzyna tam i niewiele rodzajnéj ziemi; gdzie szersza rzeka, tam i rozłożytsza dolina, tam i obfitość mieszka i gospodarstwo o wiele łatwiejsze. Zabudowania wieśniacze wszędzie świadczą o dostatku budulcu, lubo góry mocno ogołocone z borów, co w wielu miejscach odjęło im najpiękniejszą ozdobę; kształty ich bowiem są po większéj części przysiadłe, prawdziwe garby, gdzie niegdzie tylko w pasmie ciągnących się wzgórzy podnosi się szczyt okazalszy, jak Liwocz w okolicy Ołpin, lub Cergowa nad Duklą. — Zresztą za każdem pasmem które przejedziesz, wyrasta drugie; a za tém znowu błękitnieje trzecie, a wszystko Beskidy. Mogłem téż wołać z poetą:

Beskidzie zielony, w trzy rzędy sadzony!

Niektóre miejsca, gdzie droga prowadzona samym grzbietem, czyli jak tam mówią wirchami, miałyby coś podobieństwa z falistym gruntem Podola; ale taki równy obszar niedługo łudzi oko, bo naraz się odkrywają po jednéj i po drugiéj stronie przepaściste wądoły zarośnięte jedliną i świerczyną wijące się w najfantastyczniejszych zawrotach pomiędzy piętrzącemi się górami. Taki widok ma coś nadzwyczaj uroczystego; zdaje ci się żeś postawiony na pograniczu dwóch światów, abyś mógł zaglądać w ich tajemnice i porównywać ze sobą. Coby to było! — pomyślałem — gdyby jeden z tych pejzaży został przy swojéj zimnéj, trochę szorstkiéj, ale zawsze wspaniałéj naturze północnéj, a drugi odział się w barwy, kształty, roślinność i słońce południa! Taki kontrast — żeby go gdzie spotkać w jednym rzucie

oka — należałby niezawodnie do najszczytniejszych wrażeń na kuli ziemskiéj; ale na nieszczęście! oba pejzaże i prawy i lewy tak tu do siebie podobne, jakby dwie doskonałe kopie. Taka już natura nasza że zawsze czegoś więcéj pragnie jak to, co ma, zwłaszcza że to co ma, niejedenby nam zazdrościł.

Ponieważ krajobraz bez stafażu mniéj więcéj kuso wygląda, tak i ja nie chciałbym wśród obfitości widoków zapomnieć o ich mieszkańcu. Wieśniak tu niema żadnych prawie cech różniących go od powiślan. Choć w górach, jeszcze to nie góral. Sukmany białe, kapelusze czarne, albo te wełniane obrzydliwe czapki, które widziałem jak fabrykują Tynieczanie zupełnie kształtu maźnicy długo używanéj — u kobiet kolorowe gorsety, pstre spódnice i biała chusta okrywająca głowę i wyższą część ciała, — oto strój cały. Wprawdzie w kroju guni białéj u mężczyzn, jest odmiana, bo z ramion spada niewielki czworograniasty kołnierz coś niby z węgierska — tę gunię nazywają *czuwą*, podobnie jak kobiety, płótno okrywające je: *łochtuszką*. — Co do moralnych przymiotów, chłop leniwy jak wszędzie, ale już poczyna uczuwać potrzebę ulepszeń we własnym domu, zwłaszcza że mu nakazują od władzy wyprowadzać kominy, aby się w dymie nie wędził, wstawiać większe okna, a jeżeli ma budować nową chałupę, to już musi się do przepisanego stósować planu. Niemożna powiedzieć żeby teraz nieobudziła się w chłopach chęć nabrania oświaty; niektórzy ciągną się z ostatniego aby tylko synów utrzymywać w szkołach publicznych lub na nauce rzemiosła; gdzie zaś los nadarzy gorliwego plebana lub wikarego umiejącego dobrze prowadzić szkołę, tam pilnie uczęszcza dziatwa, i robi zadziwiające postępy. Szkoda, że takie przypadki nieczęsto się znachodzą, a jak się znajdą, to lada kaprys wszystko popsuje, co stanęło mozołem.

Niewątpię że przyjaciele pieśni ludowych niegniewaliby się gdybym im przytoczył jaką piosenkę posłyszaną przy robocie, kiedy to gromadka z pola zchodzi, lub tę, co śpiewają pastuszki przy bydle, lub wesołą przy tańcu — wyznaję że lubię takie poezye sielskie; jednakowoż mimo najlepszéj chęci, niemogę służyć. Lud przestał śpiewać! Nie jest to tylko zdanie moje, ale wszystkich, co bliżéj nań patrzą. Zjawisko tego rodzaju można by tem wytłumaczyć że śpiew, który wyrażał ich tęsknoty za lepszością, ich smutki i cierpienia, stał się niepotrzebnym, odkąd przeszli w byt niezawiślejszy niż dawniéj. *Pieśniami pocieszali się w niedoli*, powiada Tacyt o Germanach — przyczyna niedoli przeszła, a z nią i przyczyna śpiewu ustała. Niezewszystkiem zgodziłbym się na to zdanie; czemuż Bretończyk, Fińczyk Prowensal, Serb, Tyrol, nieprzestali śpiewać choć na swobodzie żyją? — Z resztą śpiew wieśniaka z okolic podgórskich nigdy niebył melancholijny ani tęskniący; rubaszna, wesoła piosnka jak przedtem tak i teraz mogłaby towarzyszyć jego zatrudnieniom gospodarskim, jego zabawom, i wieczornym schadzkom. Daleko prędzéj widziałbym w téj zmianie skłonność do pozbycia się dotychczasowych tradycyonalnych wyobrażeń i obyczajów. Chłop nasz wyswobodzony nagle z patryarchalnego stosunku zawisłości od dziedzica, wyobraża sobie, że powinien wyswobodzić się i z swoich obyczajów, zwyczajów, przesądów, nawyknień tradycyonalnych, i formować się na jakiegoś bezbarwnego racyonalistę, co to niema jeszcze dojrzałości rozumu, a już wstydzi się swojéj dziecięcéj prostoty. Symptomat ten, zbyt świeży, aby miał czas stać się powszechnym, zaczyna się objawiać niemal wszędzie. Poetyczna strona pieśni, legendy, obrzędu, najpierwéj się ulatnia; przesąd trzyma się dłużéj, a nawet ile wnoszę, niebędzie go ubywać, ale owszem przybywać w postaci potwornéj i śmieszn'éj. Uważałem

to na ludnościach najbardziéj zracyonalizowanych i zmateryalizowanych, że się kochają w najgrubszych i najniedorzeczniejszych zabobonach. Chłop podgórski w liczbie wielu innych ma także swój zabobon, jakiego niespotkałem w innych częściach naszéj ziemi. Przejeżdżając uderzyło mię, że na polach blizko drogi, a mianowicie na nizinach, gdzie sadzą kapusty, stały wybornie wykonterfektowane strachy; tu jakiś żołnierz pali fajkę, tam ogromny chłop potrząsa pałką, owdzie szlachcic w kapocie podartéj wziął się pod boki, i inne podobne lalki postrojone i ustawione najdziwaczniéj.

— Przecież to nie na wróble? spytałem, wskazując świeżo zasadzoną rozsadę— dając do zrozumienia, że wróble kapusty nie jedzą.

— Jużci nie na ptaki, ale na uroki — odpowiedziano mi.

— Na czyje uroki?

— Na ludzkie, — żeby złe oko nieurzekło kapusty, musi się pierwéj zwrócić na tego dziwoląga, i już potem urokliwe wejrzenie nie szkodzi.

— Rozumiem— to konduktor uroków!

Możnaby dowieść opierając się na tém, że lud nasz pierwéj wynalazł konduktory niż Franklin, tylko niechciał ich zastósować do piorunu. Zawsze za pomysł mógłby się upomnieć o *brevet d'invention*, gdyby go za niezastósowane pomysły dawano.

Rozmowa w tym sensie prowadzona, niepozwalała mi zrazu uważać, na najnieznośniejszą drogę pod słońcem, dopiero gdyśmy się na łeb spuszczali z góry, skacząc jak kaskada po sterczących kamieniach, przyszła mi uwaga, że więcéj do drogi niż do téj kapusty przydałyby się konduktory. Na co mój towarzysz obywatel tych stron pocieszył mię tylko, że po ulewnych deszczach jesiennych bywa gorzéj.

Nieprzeczę, lecz to wiem że dawno już niemiałem przyjemności jechać tak fantastyczną drogą jak ta, co prowadzi do Biecza od strony Rozenbarku. Tędy zapewne musiał przed trzystą laty, jeździć z Krakowa poczciwy ksiądz Płaza, kromerowski *fac-totum*, kiedy narzeka na trzydniową ciężką podróż, po takiéj drodze, że mało niezbył żywota.

Bez szwanku jednak spuściliśmy się z przepaścistéj góry wynagrodzeni więcéj niż sowicie widokiem, jaki niespodzianie powitał nas u jéj podnóża.

O paręset kroków, na wzgórku, pokazał się kościół farny Biecki, szkarpiasty, z ostrzystą facyatą gotycką, z wysoką obok stojącą wieżą, wszystko z czerwonéj cegły pomięszanéj z polewaną, która gdzieniegdzie szła w kostkę, gdzieniegdzie w kraciaste lub ząbkowate wzory; kilka starych lip, mur wyszczerbiony obronny strzelnicami, a daléj nieco baszta okrągła przypierająca kiedyś do bramy wjazdowéj i jakiś gmach niedzisiejszéj struktury — wszystko, w gęstéj zieleni sadów przedstawiało pejzaż skończonéj piękności, a tak odrębny od dzisiejszych widoków, że mi serce zabiło mocniéj jak bije kiedy szukając po księgach bibliotek natrafisz na jaki rys nieznany z naszéj przeszłości, lub rzucający większe na nią światło. Wiek Jagiełły i obu Zygmuntów przesłał mi słowo pozdrowienia. Zdawało mi się że z gotyckich drzwi kościoła wychodzi niewieścia postać i rozdaje jałmużnę ubóstwu cisnącemu się do stóp swojéj królowéj;— tam znowu z okna mieszczańskiego domu wygląda chłopię i przypatrując się cudnéj dolinie Ropy i tym opasującym ją szczytom błękitnawych Bieskidów, czerpie w młodą pierś miłość do téj ziemi, któréj bogactwa i dzieje miało kiedyś opisać. Jadwiga i Kromer, dwa niepożyte imiona, dwie gwiazdy świecące nad Bieczem: miłosierdziem i sławą.

Pomijając *praetium affectionis* jakie można mieć dla Biecza ze względu na pamiątki, sama fizionomia i charakter tych murów co na przylądku usiadły aby patrzeć na szemrzącą górską rzéką skaczącą po zielonéj, nieprzejrzanéj dolinie, wzdłuż któréj wieszają się szafirowe Bieskidy — ma tyle malowniczości, że się dziwię dla czego w Bieczu nierodzą się sami malarze? Możeby późniéj jaki Salvator Rosa mówił z przekąsem: *Tutto il mondo e pittore;* ale przynajmniéj zjawisko to możnaby sobie przez miejscowość wytłumaczyć. Co do mnie, przyznaję się, gdybym miał wtedy pędzel i farby, niezawodnie zostałbym autorem pejzażu, tak mi się łatwem zdawało przenieść te cuda na papier lub płótno. Na szczęście niemiałem nawet ołówka, na czem świat artystowski niewiele stracił, równie jak czytelnicy niewiele zyskali gdy słowami silę się malować pejzaże. Niewdzięczna praca! zupełnie podobna do tych widoczków układanych z zasuszonych listków, mchu, kory brzozowéj i folgi mającéj udawać wodę.

Jeżeli rzut oka ogólny tyle miał powabu, niewątpiłem że oglądanie szczegółów przyniesie równą pociechę. Niegdyś, gdzie teraz murowany gościniec idzie pomiędzy cmentarzem farnym a ową okrągłą basztą, musiała być wjazdowa brama z fosą i mostem zwodzonym — gród to bowiem był warowny tak dla bezpieczeństwa od sąsiednich Węgier, jak i od łotrzyków, którzy zawsze tu grasowali. Dziś jeszcze pokazują na pagórku miejsce przeznaczone na tracenie góralskich hultai tego pokolenia Biesów, jak utrzymują niektórzy wywodzący od nich nazwę Bieskidów. Egzekucye podobne odbywać się musiały na wielką skalę, kiedy w r. 1614 stracono tu na jeden raz 120. Ztąd i rzemiosło katowskie miało w Bieczu, że tak powiem, swoją główną szkołę; niewiem czy wykładano teoryę, ale to pewna, że na praktyce niebrakło.

Z owéj bramy, która zamykała miasto od strony Sącza, zaraz na wstępie znalazłem oparty o ścianę domu pięknie rzeźbiony kamień z herbami Półkozic, Trąby i Leliwa, należącemi do Mikołaja Ligęzy, który w r. 1570 własnym sumptem wystawił i ozdobił tę bramę. Był to jeden z tych starostów bieckich co się przyczynili najwięcéj do upiększenia miasta; imie jego i herby spotyka się tu często.

Stare kościoły nasze są to prawdziwe muzea rozrzucone po kraju; dotąd niebardzośmy umieli je szanować i cenić, dla tego tyle najciekawszych zabytków marnie zniszczało. Z trwogą wchodziłem do kościoła wątpiąc czy rzeczywistość odpowie oczekiwaniu. Na szczęście znalazłem więcéj niżelim się spodziewał. Jeden rzut oka na wnętrze téj gotyckiéj świątyni przekonał mię, że tak pięknego egzemplarza średniowiecznéj architektury nieznajdzie u nas, nawet w samym Krakowie. Po cztery smukłych, ośmiogrannych kolumn biegnie dwoma rzędami środkiem nawy a ostrołuki tryskające z ich nagłówków krzyżując się i wiążąc w węzły, lekko unoszą sklepienie. Taka w rozmiarach panuje symetrya i harmonia, tyle lotności w sklepieniach że się oderwać od całości niepodobna; — szczytna prostota! mająca powinowactwo z ową harmonijną i spokojną architekturą helleńską. W katedrach północnych Niemiec, Flandryi, Francyi, W. Brytanii spotykasz misterne ozdoby: te niże z posągami świętych, te koronkowe rozety, te symboliczne gzymsy i kroksztyny, które sztuka chrześciańska mająca kamień na zawołanie tak hojnie rozsiała — u nas, o jedynym ceglanym budulcu mogły tylko udawać się świątynie pełne prostoty i harmonijnego ogółu — co właśnie jest główném architekta zadaniem; — ozdoby więcej do rzeźbiarza należą.

Upojony wrażeniem jakie na mnie zrobiło wnętrze kościoła, po chwili dopiero postrzegłem jak niewłaściwie

kamiennego koloru bielidłem posmarowano całe wnętrze; — wydaje się to schludnie i świeżo; ależ właśnie ta świeżość wiele ujęła efektu, starła piętno dawności nielicząc ile delikatnych wyżłobień i kanciastych gzymsów zginęło pod grubą warstwą bielidła i tynku. Dzisiaj kiedy po obwodach ustanowieni są konserwatorowie, nienależałoby robić podobnych odświeżań budynków, obrazów i innych zabytków, bez odwołania się o radę jak sobie w danym przypadku postąpić. Niewinny ten, domowy wandalizm, stokroć więcéj poniszczył niż wandalizm historycznych najeźdźców. —

Po wrażeniu jakie na mnie sprawił styl architektury, doznałem innego równejże mocy, a to zbliżywszy się do wielkiego ółtarza, gdzie ujrzałem obraz wyobrażający Chrystusa przed złożeniem go do grobu. — Józef z Arymatei i Nikodem trzymając w ramionach boskie zwłoki chcą je owinąć w cienkie i drogie prześcieradło — Marya Magdalena, Marya Jakóbowa, Salomea i inne pobożne niewiasty klęczą u stóp gotowe do téj posługi, z wyrazem żalu i boleści że niemają więcéj olejków i wonności aby ukochanego mistrza namaścić niemi. Uroczysty ten moment przemawia z obrazu; wszystkie osoby otaczające Chrystusa tak są przejęte boleścią, a tak zajęte aktem pogrzebu, że jako widz, czujesz się wciągnionym w to koło, i radbyś także pełnić ostatnią usługę u ciała Zbawiciela. Niewiem kto ten prześliczny obraz malował, lecz ile wnoszę po charakterze niemylnym, jest on szkoły włoskiéj i to z dobrego czasu. Wprawdzie zbyt zazielenione tło jak w wielu obrazach Tycyana naprowadzałoby na tego mistrza, lecz z drugiéj strony więcéj tu miękkości w pędzlu, a wdzięku tyle co w utworach Corregia. — Nieznając się dość na obcych malowaniach, abym na rzut oka poznał czyjego pędzla jest obraz — badałem raczéj samą estetyczność utworu. — Ciało Chrystusa — martwe — studiowane ana-

tomicznie, a przecież wyraz ludzkiego cierpienia i boskiego poświęcenia się z miłości dla ludzi, niezniknął pod usiłowaniem sztuki — artysta ten wiele musiał umieć, a czuć tyleż, jeśli nie więcéj. W głowach niewiast, szczególniéj w podeszłéj matronie z błękitną obsłoną, przebija smutek starości; smutek, co się już nie spodziewa niczego na ziemi, — młodsze niewiasty spłakane i pogrążone w żałobie — ale dla nich życie ma jeszcze uśmiechy.... Ugrupowanie tak szczęśliwe, że czytasz od razu całą myśl — nic tu niepotrzebuje tłumaczenia — bo tu wszystko mówi: od wyrazu twarzy, do najdrobniejszego fałdu draperyi rzuconéj bez najmniéjszéj pretensyi i z wielkim rozumem. Jest to jedném słowem obraz, z rzędu tych rzadkich, w których zakochać się można, tyle w nim sympatycznéj pięknoty; — obraz, któremu dość napatrzyć się niemożna — tyle w nim mistrzowskiéj sztuki.] — Oglądając go ile mogłem najbliżéj, przekonałem się o potrzebie prędkiéj i bardzo umiejętnéj restauracyi; poprzecierany bowiem tak mocno, że w jedném miejscu znać szeroką pręgę świecącą gołemi nićmi. Tylko jaki z sławnych rzymskich restauratorów, między innemi nasz Nowotny co sobie zyskał niepośledną w tym zawodzie sławę, mógłby temu obrazowi dawną świetność przywrócić. — Pewnéj wiadomości o historyi tego obrazu nieznalazłem; są tylko szczegóły, pozwalające się domyślać że pochodzi z fundacyi Wielopolskich, którzy będąc starostami bieckimi do połowy 17go wieku, mieli tu swoją kaplicę, gdzie ten obraz był umieszczony, póki go do głównego nieprzeniesiono ółtarza. Jeśli tak jest, dał go zapewne Jan Wielopolski woj. krak., pan możny, fundator klasztoru Reformatów w Bieczu — Portrety trzech Wielopolskich w całéj postaci, zdobią jeszcze ściany farnego kościoła; zawieszone zbyt wysoko, niepozwalają widzieć czy są przy nich jakie napisy, lub nie.

Po lewéj ręce od wielkiego ółtarza wisi portret Kromera w stroju biskupim; oblicze zamyślone, nawet pochmurne, ocienia gęsta czarna broda. Mierne to malowanie, a prędzéj zła kopia lepszego oryginału, nieodpowiada wyobrażeniu jakie możnaby mieć o tym bogobojnym kapłanie, niepoślednim pisarzu dziejów i statyście. Drugą po nim pamiątką jest nagrobek jaki rodzicom swoim położyć kazał w kaplicy krawieckiéj z lewéj strony od chóru. Brzmi on w tych słowach: *Bartolomeo Cromero avo et Gregorio Cromero patri viris consularibus et sacelli hujus Conditoribus. Annae Binaroviae aviae et Agneti Czermnensciae Matri. Matronis nobilibus et honestis — Martinius Cromerus. Doc. Crac. et Varm. Can. Secr. Reg. pos. anno 1557.* O tym napisie wspomina i X. Płaza w swoich listach do Kromera: „Slę W. M. *Epitaphium* dla tego iżby W. M. poprawił jeśli potrzeba. Racz mi też W. M. oznajmić, jeśli herb z tablicą mam dać gotować albo poczekać?“

Jeżeli tu mowa o tym nagrobku, tedy herbu niema na nim żadnego. Zdaje się, że chociaż Kromer wspominać lubił o szlachectwie swoich rodziców wywodząc po ojcu herb Pierzchała i Ośmioróg, a po matce herb Ramułt i Jastrzębiec — z tem wszystkiem nieodważyłby się położyć go na tablicy. Wtenczas niebyła to łatwa sprawa podszywać się pod klejnot szlachecki; każdy szlachcic miał prawo upomnieć się o to, jak o rzecz niesłusznie przywłaszczoną. — Sam Kromer własną zasługą uzyskał dla siebie herb którym się mógł przecie pochlubić. Zygmunt August dał mu pół orła uwieńczonego laurem w wyższéj połowie tarczy; niższą zapełnił bindą austryacką cesarz rzymski Ferdynand. Pierwszy zjednała mu historya którą napisał, drugi siedmioletni urząd poselski. Niektórzy sądząc podług dzisiejszych wyobrażeń przymawiają mu radzi: czemu będąc mężem nauki i biegłości w rzeczach publicznych, tyle się o te

herby kłopotał? Właśnie też dla téj przyczyny że tak wystrzelił zasługą, nie mógł się ostać bez klejnotu, niechcąc zapewne spotykać obelg i poniżeń, jak wtedy, gdy posłował do cesarza Ferdynanda z Mikołajem Czarnym Radziwiłem, a ten rozsiadłszy się sam jeden na ławie gdzie było miejsca na dwóch, dał mu do poznania: nie równyś mi, stój sobie! Postrzegł Kromerowską konfuzyję Cesarz doskonały polityk, umiejący zawsze kaptować przyjaźń sekretarzów królewskich i rzekł: *Sedeat uterque cum et in legatione uterque contineatur*. To się działo kiedy niebył jeszcze nobilitowanym, ani koadjutorem warmińskim, ani głośnéj sławy dziejopisem; a późniéj, kiedy te wszystkie zaszczyty spłynęły na niego, jakież miał słone kołacze nietylko z kapitułą Warmińską niechcącą go przyjąć, ale ze stanami świeckiemi które namiętnie przeciw niemu protestowały. Między innemi znalazłem ciekawy liścik pisany przez X. Kuczborskiego z Krakowa 1572 r. w którym przesyła Kromerowi wypis z 19 artykułu Sejmiku Opatowskiego.

„O biskupstwo Elsberskie (Heilsbergskie czyli Warmińskie) aby szlachcicowi było dawano y ta Coadjutoria aby była cassowana o Cromera, y na potim aby niebyła bo to expectativa. A iżby ten sam niebył tim biskupem, o czo się mocznie opanowacz y króla Jmci prosicz dla niebezpieczeństwa którebi stąd na koronę przyiszcz mogło i t. d.“—

Ksiądz Kuczborski za całą uwagę dołożył tylko te wyrazy: *Chłopi szaleni*! — Krzyki te jak u nas zwykle dotykające najzasłużeńszych, uciszyła dopiero energia Batorego. Toż samo powtórzyło się kiedy po śmierci Hozyusza przyszła nań koléj zostać biskupem Warmińskim — Grzegórz XIII i Batory znowu zmuszeni byli wystąpić z groźnym nakazem do kapituły i do stanów pruskich aby go za pasterza przyjęły, reflektując że jeżeli dawniéj mógł siedzieć na stolicy Warmińskiéj Her-

man z Pragi i Jan z Miśni, dla czegoż niemoże siedzieć Kromer Polak? — Argument bardzo loiczny, ale nie dla zapamiętałych i zawistnych. —

Jeżeli wyniesienie się Kromera na tak wysokie dostojeństwo duchowne w Rzeczpospolitéj kłuło w oczy starą szlachtę nielubiącą ludzi nowych, tem bardziéj pobudzało przeciw niemu stany pruskie skwapliwie lgnące do heretyckich błędów, które on dzielnie zbijał piórem, godny zastępca i następca Hozyusza, a niemniéj i władzą swoją trzymał w rygorze. Do tych kłopotów i walk nieustających, przybywały jeszcze familijne umartwienia. Wprawdzie dwóch swoich rodzonych braci pokierował świetnie: Andrzéj odznaczył się jako łaciński rymopis, a choć wcześnie odumarł bo jeszcze w r. 1538, zostawił po sobie zaszczytną pamięć; Mikołaj poparty względami jakie Kromerowi cesarz Ferdynand świadczył, otrzymał dochodne Opactwo Welehradzkie — trzeci tylko Bartosz, co był piwowarem w Bieczu, wiódł żywot ladaco, i nieraz zapewne dawał pole niechętnym, do urągań z biskupiego pochodzenia. Wyobrażam sobie ile poczciwi Bieczanie musieli się namartwić postępkami Bartosza: jeden brat powiernik Monarchów, xiążę kościoła, rzuca blask na rodzinne gniazdo, upiększa je, opatrza funduszami, wyrabia dlań przywileje i różne dogodności — drugi jak dzień boży łazi po szynkach i zapija się z kompanami, tłukąc na rachunek xiędza biskupa kufle i szyby a na całe gardło przechwalając się braterskiemi zaszczyty i bogactwy. — W listach K. Tomasza Płazy proboszcza Ś. Szczepana w Krakowie pisanych do Kromera, napotykać można częste wzmianki o tym braciszku. W jedném miejscu najlepiéj go odmalował:

„*Venio ad expeditionem fratris.* Pan Bóg świadkiem iżbym się był odkupił téj drogi bieckiéj, częścią z strony zdrowia, częścią obawiając się trudności ze strony

pana Bartosza dziwaka, bez których nie mogło być i bez nakładów na jego utraty. Prędzejby Etiop zmienił farbę swéj skóry, niż on swe naganne obyczaje. Jest to skaranie boskie iż W. M. dał takiego brata marnotrawcę i niewdzięcznego... —

.... Nie czczą tu pana Bartosza, ale on o to niedba. Trzebaby mu jednego, coby za nim chodził z worem pieniędzy, a ze dzbanem wina. Mówili mu to w oczy, iż skoro z Biecza odjedzie, będzie tańsze wino i mięso...."

Późniéj, może dla tego, że nadużywano jego kieszeni, trudniejszym był Kromer w opatrywaniu swojéj rodziny, pozostałéj w Bieczu, bo w liście z r. 1572 X. Płaza upomina się za nimi: „począłeś W. M. dobrze dzieciom czynić, przy których się ojciec z matką dobrze ma; już racz czynić do końca". —

Ile mogłem zauważać ze wzmianek w tych listach rozsianych, skończyło się na tém, że Kromer sprowadził pana Bartosza do Warmii. — Co się z nim potem stało? nikogo nieobchodzi — i tutaj jeżlim tę pospolitą figurę wprowadził, to jedynie dla antitezy, aby i z téj strony uwydatnić postać naszego historyka, a przytem odświeżyć miejscowe wspomnienie. —

Innych zabytków łączących się z pamięcią Kromera, niema w kościele farnym — ale jest tuż przy kościele kamieniczka piątrowa, z grubemi murami, sklepionemi izbami i z jedną obszerniejszą komnatą na wyższem piętrze, przechowującą jeszcze szczątki ozdób w odrzwiach, oknach, gzymsach. Wszedłszy tam chciałem wyobraźnią odtworzyć sobie siedzibę mieszczańskiéj zamożnéj rodziny w początku szesnastego wieku; odgadywać kącik Marcinka gdzie sypiał, i okno gdzie stawał chłopięciem i marzył patrząc na góry, lub ślęczał nad książką... Duch takich istót wybrańszych powinien przecież napełniać miejsca kędy zbudził się do życia. Na

nieszczęście zbyt prozaiczna rzeczywistość płoszyła wyobraźnię; — a tą rzeczywistością była kancellarya jakiegoś urzędu: symetryczne półki i stosy zakurzonych papierów rozsiadły się w gnieździe naszego historyka. Trzech królów: Zygmunt August, Batory i Zygmunt III nadali przecież domowi gdzie się Kromer urodził przywilej własną podpisany ręką uwalniający posiadaczy onegoż na wieki wieków od wszelkich powinności i czynszów. — Przyznam się, że nieciekawy już byłem pytać w czyjem dziś posiadaniu; najpewniéj obcy to ktoś rodzinie Kromerów. —

Dobrodziejstwa jakie Kromer świadczył rodzinnemu miastu, były zapewne rozliczne: wyjednać komu łaskę u króla którego był sekretarzem, wstawić się u starosty za czyją krzywdą; dać bieczanowi rekomendacyę do dworu jakiego pana — tego się nie liczy, bo to są zazwyczaj obowiązki przywiązane do klienteli czepiającéj się każdéj znakomitości tytułem zażyłości od dzieciństwa, w imię współobywatelstwa powiatowego lub miastowego. Obok tych drobnych usług nie wątpię że musiał mieć na uwadze handel i upiekszenie miasta. Z listów X. Płazy widać że się przyczynił do zbudowania ratusznéj wieży, którą w kraju podgórskim liczono do wyższych, jak Żywiecką i Sądecką. Wzmiankuje o tém Płaza: „domurowaliby byli wieże tego roku, ale się muru miejskiego obaliło więcéj 50 łokci, ten tedy zaraz oprawują“. — Niewątpliwie nakładał na to Kromer, kiedy znowu Płaza mówi: „Z herbem i blachą nic się nie mieszka, bo i królewskiego (herbu) nie wprawią, aż wieże dokończą, co nie będzie tego roku“. Widać że Historyk nasz miał zamiar ozdobić ją swoim herbem, do czego tytułem fundatora mógł sobie rościć prawo. Dzisiaj niema śladu kromerowskiéj tarczy, najpewniéj nie było jéj, bo mogła przecież tak samo się utrzymać, jak herby i napisy co dotąd się dochowały w połowie wieży.

Jest to wiersz łaciński na pochwałę orła z przyrównaniem do Zyg. Augusta, położony r. 1570 — pod nim orzeł — niżéj ośla głowa Ligenzów, napis *Nicolaus Ligenza de Bobrek Castellanus* — a pod tym znowu łacińska apostrofa do oślej głowy.

Większą pamiątkę zostawił Kromer robiąc fundusz na studentów bieckich, biorących nauki w Krakowie, którego opiekunem postanowił Płazę. Czytałem ten zapis z wszelkiemi formalnościami i zastrzeżeniami dokonany pod r. 1569 — kiedy się pisał jeszcze Doktorem oboj. praw, kustoszem sandomirskim, kanonikiem krakowskim i warmińskim, oraz sekretarzem J. K. Mości.

Najciekawszy dokument, o którym mylnie wspomniano jako o kromerowskim testamencie, jest spis pozostałości po nim w pieniądzach, ruchomościach i krestencyi — lubo przy wyliczeniu téj spuścizny znajdują się wzmiankowane kościoły i osoby którym biskup warmiński porobił legata, jednakowoż nie jest to właściwy testament nieboszczyka, ale tylko tabelaryczny wyciąg z niego. Ogromna sukcessya wynosząca do 60 tysięcy mark w gotówce — a na zamkach biskupich do 80 łasztów żyta, 22 pszenicy, 58 owsa, krom srebrnych i złotych naczyń— dostała się w podziale na krewnych, a najwięcéj na kościoły w Frauenburgu, Krakowie, Bieczu, Wiślicy i Kielcach. Tak więc choć Kromer skąpił w podeszłych leciech, zebrane mienie zwrócił na uposażenie tych beneficyów któremi zawiadował. Cały ten dokument, nieznany jeszcze, dołączam w przypisku, aby mógł posłużyć temu, co się zajmie skreśleniem Kromerowego żywota *).

---

*) Obrachowanie gotowych pieniędzy pozostałych po nieboszczyku Jmci X. Biskupie Cromerze z uczynionej executiei testamentu jego, tudziesz z inssych rozmaitych a potrzebnych spraw.

	marc.	gr.	den.
Gotowych pieniędzy wyłącznie y we srebrze . .	43,859	5	3

Patrząc na portret Kromera w kościele farnym zawieszony, rozgadałem się i za wiele i za mało o tym mężu; za wiele, ze względu na drobnostkowość podanych

---

	marc.	gr.	den.
Item z czynszów y innych pieniędzy za zboze winy i z inszych dochodów ze wszystkich urzędów podług regestrów ekonomicznych uczyni	13,865	2	11
Item od ockonoma za czarne futro angielskie, które było od żałoby	85	15	0
Item R. D. Sigismundo z pieniędzy, które miał za nieboszczyka na wydawanie eleemozyn	880	12	6
Item ab eodem za niektóre przedane mszały . .	17	12	
Item za niektóre breviarze Jego Mości z roskazania Jego Mości nieboszczyka y wielebnéj Capituły w Frankborku rosprzedane	41	16	
Za niektóre konie które Jego Mość X. Cardynał jako podłe niechciał przyjącz w biskupi Inwentarz które są przedane haeredibus ku liepszemu . . .	73	10	
Item dwa podłe podjezdki na 15 marc. szacowane dane są Pankraczowi za jego posługi długie y żałobę			
Summa wszystkich pieniędzy gotowych . .	58,823	13	

Wydatku z tych pieniędzy gotowych po nieboszczyku Jemość X. Cromerse pozostałych:

Za hiedwabną materyą, sukno, płótno, świécze lane y insze rzeczy ku pogrzebowi należącze; krawczom za robothę podług rachunku oeconoma y innych urzędników	3,800	8	9
Item pro solario urzędnikom y inszéj czeladzi w zamku Hertoberskim w folwarku y indziéj około z odprawą tych samych podług testamentu . . .	4,831	9	
Itt pro solario urzędnikom, y odprawę czeladzi w inszych biskupskich zamkach, w folwarkach, secundum ratione oeconomica	269	12	12
Itt collegio et seminario Brausbergae pro rata mensae Eppalis	5,790	6	9
Itt Na odprawę rzemięszników y rozmaitych wydatków w zamkach we wszystkich urzędach biskupich	5,790	6	
Summa pomienionych wydatków	14,405	3	6

szczegółów, za mało, ze względu na ważność téj historycznéj postaci. Co do obojga powinno mię usprawiedliwić, że będąc w Bieczu miałem głównie na myśli

---

Rozmaite wydatki od pomienionego dziedzicztwa nieboszczyka Jo Mości X. Cromera biskupa podług testamentu y inszych dokazałych długów:

	marc.	gr.	den.
Na odprawę wszelakich legatów i liegowanych pieniędzy, jałmużny, podarki, ną wino y jedwabne rzeczy	5,155	14	9
Itt Na odłożenie niektórych pieniędzy należących się do stołu Biskupiego	2,300	—	—
Itt na wypełnienie deffektów koni Biskupiego Inwentarza, ręką właszną nieboszczyka podpissanego ku temu na nagrodę zniszczałych szath, obiczia y inssych rzeczy do tego Inwentarza nalezączych .			
Itt na budowanie formy zygarowey koscioła Fraunborskiego podług J[o] mosci nieboszczyka obietnicę ziego częsczi nalezączey, tudziez na poprawe Zamków pokażonych y dworu Braunborszkiego .	2,330	11	6
Summa variarum Expensarum	15,411	5	15
Summa Summarum wssystkich już mianowanych wydatków podług Testamentu długów pokazanych y rachunków Oeconomą	29,816	9	3
Ktorą summę odiąwssy od pomienioney gotowizny restant Marcce	29,007	3	15
Od thakey summy powinnym przyjdzie	14,503	11	16½
Koscziołowi Fraunborskiemu	4,834	10	4
Koscziołowi Krakowszkiemu	3,625	17	17½
Koscziołowi do Biecza	2,417	5	5½
Koscziołowi Wisliczkiemu, Sędomierskiemu y w Kielczach każdemu	1,208	17	8.

Rachunek zboza pozostałego ad hæreditatem nalieżączego

Zytha

Ze wszystkich Biskupich folwarków, różnych sum podług obrachowania Oeconoma po odprawach wsselkich w Testamenczie legowanych zostało: zyta łaszt 79 mod 53. Od ktorych communi Consilio Iltrimi Cardinalis et venerabilis Capli deputowane szą ad Inventarium Castro Helzbergae łast 10. Itt Conventowi Braunsber-

tylko to, co go z tém miastem łączyło bliżéj. Żałuję jednak żem więcéj nie umiał zdobyć.

Starowolski w swojém dziele: *Monumenta Sarmatarum*

---

skiemu secundum Testamentum łast 2. Ornyckiemu Conventowi łast 1. Itt Eisdem Conventibus to victualium in Testamento legatorum ktorych na ten czas niebyło mod 24. Itt thego wssyczkiego co na wsselakich mieisczach w odmierzaniu odeszło ,także czo robacztwo pokaziło nayduje się około 36 mod.

Od thego czo zostało tho iest łast 65 korcy 53 przyjdą hæredibus propinguis natis połowicze łast 32 mod 56½ ktore mają odebracz w Heyslbergu łast 10, w Ryszlu łast 16, w Walembergu łast 4 w Braunsbergu łast, a ostatek w Gustaczie mod 56½.

Od drugiey połowicze Kosczziołowi Fraunsborskiemu przyidą na iego trzecią częscz łast 11 ktore mają bydz odebrane w Ornycze Kosczziołowi Krakowskiemu na jego czwartą częscz łast 8 mod 14 Kosczziołowi w Bieczu na iego szóstą częscz łast 5 mod. 29. Drugiem trzem kosczziołom: Wysliczkiemu Sędomierskiemu w Kielczach kazdemu łast 2 mod 44.

Thym piącziom kosczziołom odjętho nieczo na wielkie expensa ktore się podeymowały około Testamentowi. The tedy kosczziołowie w Polscze odebracz mają szwą czescz w Ornycze łast 8 mod 24 w Braunsborgu łast 2 w Gustacie łast 7 mod 53 w Ryszlu łast 4. A w Watembergu mod 7.

Pssenicza,

Pssenicze zostało na wssytkich zamkach Biskupich łast 22 mod 40.

Z ktorych przyidzie propinquis hæredibus łast 11 mod 20 w Helberku mają odebracz łast 9 mod 3 w Ryszku mod 45 w Gustacie łast 1 mod 24 w Wathęmberku mod 8.

Kosczziołowi Fraunborskiemu ną iego trzecią czescz przyidzie łast 3 mod 45 w Braunsberku odebracz,

Kosczziołowi Krakowskiemu na iego częscz czwartą łast 2 mod 50.

Kosczziołowi Bieczkiemu na iego częscz szostą łast 1 mod 53.

Trzem kosczziołom Wisliczkiemu, Sędomierskiemu y w Kielczach każdemu łast 1 mod 52 w Braunsberku odebracz łast 3 mod 7 w Ornycze mod 37 w Wathęmborku łast 1 mod 51.

Owiesz.

Owsza wssytkiego zostało w Heilsberku łast 56 w Wathęmborku łast 2. Summa łast 58.

25*

podaje wiele nagrobków u fary bieckiéj, których dziś nie znalazłem. Najciekawszy ze wszystkich, a jeszcze ich wiele, jest na prawéj ręce, alabastrowy nagrobek

---

Od którego Communi Consilio Illirimi Cardin. et vnabilis Capli deputhowane szą ad Inventarium Zamku Heisberskiego łast 10.

Na konie Nunciorum Venerabilis Capituli dwa krocz przyiezdzaiączym wyszło łast 1 mod 12.

Zostało in hæreditate łast 46 mod 48 od których hæredibus propinquis defuncti Rmdi na ich połowiczę przyidzie z Watemberku łast 2 z Helberku łast 21 mod 24.

Z drugiey połowicze koscziołowi Fraunsborskiemu na iego trzecią częscz łast 7 mod 48. w Heysberku odebracz.

Koscziołowi Krakowszkiemu na iego czwartą częscz łast 5 mod 31.

Koscziołowi w Bieczu na iego szostą częscz łast 3 mod 54.

Trzem koscziołom Wiszliczkiemu, Sędomierskiemu, w Kielcach kazdemu łast 1 mod 57.

Jęczmień.

Jęczmienia zostało łast 6 mod 17 — Alie poniewaz thęn Jęczmień wssytek bez mała na dwór Illrimi Cardinalis y insse potrzeby iest zwarzon y strawion Communis Consilio hæredum wyięthy iest ex Rationibus Hæreditati in gratiam Illirimi Cardinalis.

Spissek pozostałego złota i srebra czynionego należącego ad Hæreditatem. Szrybra pozłoczestego wielkich kubków y inszego naczynia naliazło się podług wązenia kilka krocz przez wiadomego złotnika marc 55 scot 25 $1/_2$.

Od którego haeredibus propinquis Rudi deffuncti na ich połowicze przyidzie M. 28 g. 3 od drugiéj połowicze kościołowi Fraunsborskiemu na ich trzecią częszcz przyszło Marc 9 Scot 8 g. 1.

Krakowskiemu kościołowi Mąrc. 7 scot 22 g. $1/_4$.

Kościołowi do Biecza na jego szostą częscz Marc 4 scot 16.

Innym trzem kościołom do Wiszlicze, Sędomierza y w Kielczach każdemu Marc. 1 scot 8. Scot p. 10 gr. wendity.

Srebro białe.

Białego srebra, misz, talerzów, łyzek y rozmaithego naczynia naliazło się Marc 101 scot 3 $1/_2$ od którego haeredibus propinquis na ich połowicze przydzie Marc 50 scot 1 g. 3.

Kościołowi Franciszkańskiemu na jego trzecią częscz z drugiéj połowicze M. 16 scot 16 $1/_3$.

Mikołaja Ligęzy z Bobrku, kasztelana wiślickiego, bieckiego, żydaczowskiego Starosty — który to Ligęza, jak brzmi polski napis: na śmiertelność swą pomniąc i nie-

---

Kościołowi krakowskiemu na jego czwartą częscz M. 12 schot 15 $^1/_4$.

Kościołowi do Biecza na jego szóstą częscz Marc. 8 scet 10 $^1/_6$.

Innym trzem kościołom Sędomierskiemu, Wisliczkiemu y w Kielczach kążdemu na ich częszcz Mar. 4, scht 10. Scot. p. 8 gr. vendity.

Obrachowanie Szath y innych materyi jedwabnych.

Szaty jedwabne kosztowniejsze y podbite są y tam y szam legowane podług testamentu.

Insze tak jedwabne jako i futra już znoszone szą przez godne wiary y wiadome krawcze y kusnierza szacowane y przez lossy dzielone. Alie połowicza która kościołom przypadła poniewasz dla znossenia bez skody kościołom nie mogła się długo chowacz, rozprzedana wedle szacunku, któréj summa secundum Inventarium czyni Mar. 188|31. Od któréj summéj 3 stronéj 24 uł. tholetu zleżałego po dwie Mar. thudziesz 4 uła. Adamaszku czarnego per. gr. 30 szaczowenych haeraedibus propinquis na ich połowicze należy Mar. 27. A z drugiéj summy tak szatt jako i czyny i naczynia mossiądzowego y płutna kościołowi Fraunsborskiemu przyidzie ną trzecią częszcz u Mar. 62 gr. 14 d. 3.

Kościołowi krakowskiemu Mar. 47 den 13.

Kościołowi do Biecza na jego szostą czeszcz Mar. 31 gr. 8. den 31. —

Kościołom do Sędomierza, Wislicza, Kielcz każdemu Mar. 16 gr. 2.

Johannes Creczmer
Dec. et Can. Warm. execut. Text.

Henricus Sampłowski.
Cust. et Canc.

Michael Herman.
Execut. Test.

Sigis. Gemiczki.
Canc. Apost. et execat. Test.

pewnéj godziny pewien będąc, wczas sobie za żywota postawić kazał R. Pań. 1578, wieku wtenczas jego 49. Taki wiersz polski umieszczony na tym grobowcu:

Iż każdy który się tu na świat człowiek rodzi
Z rąk pańskich w tę tu niskość pielgrzymować chodzi
Podobien w tém synowi który ojca swego
Opuści, z okazania ku dobremu jego;
Za ojcem, gdyż mu kazał, sobie go wzywając;—
Téj drogi dobrodziejstwa hojnie wspominając,
A siadłszy za żywota na tym swoim grobie
Wszystkie dary co mi dał, wyliczałem sobie;
Naprzód mię urodziwszy w domu starożytnym
Opatrował i szczęściem, tak mogę rzec zbytnym,
Na dworze Królów świetnych, naprzód z pacholęty
Byłem chowan. Potemum do dworzan przyjęty,
W rychłym czasie chorąstwo nadworne mi dano
Starostwo Zydaczowskie zarazem przysłano,
Czechowskie państwo, w kilka lat starostwo Biéckie
A przytém Zawichowskie państwo. To mi wszyckie
Fortuny za lat młodych wieku dzisiejszego
Kiedym usiadł na stolcu państwa Wiślickiego
Przyszła mi śmierć przed oczy. I tak się jéj zdało,
Aby pod tym albastrem schowano me ciało. —

Starowolski w swoich *Monumentach* podaje łaciński nagrobek tegoż Ligęzy, a o tym nie wzmiankuje; tymczasem dziś łacińskiego niéma, chociaż z treści powyższego napisu przekonywamy się, że mauzoleum to było gotowe od r. 1578, Ligęza zaś skończył swój żywot w r. 1603. Postać rycerza leżąca na grobowcu, musiała być modelowaną kiedy zmarły był w sile wieku, a nie starcem 74-letnim. Znać to po twarzy wyobrażającéj średniego wieku mężczyznę. Leży on ręką wspiérając głowę, z nogą zgiętą w kolanie. — Jest to zwykły chara-

kter owoczesnych pomników. Wszyscy ci kamienni rycerze mają taki wyraz, jakby kładli się w grób z tą niespokojną myślą: co to po nich osierociała Rzeczpospolita pocznie?, czy sobie da radę, czy znajdzie obrońców? Bo gdyby prawych synów niestało, oni zawsze gotowi stanąć przy niéj z kamiennemi tarczami i buzdyganami.—Charakter pomników odmieniał się z wiekiem. Na najdawniejszych, z 12go, 13go i 14go wieku, widać lekko wyżłobiony kontur, wyobrażający postać na wznak leżącą ze złożonemi rękoma—ziemskiéj myśli tu niéma; kontur—to tyle co cień, co słabe przypomnienie życia. W 15 wieku ten sam układ postaci wyciągnionéj na wznak jak w trumnie, ten sam wyraz wiecznego spoczynku w twarzy, z różnicą, że dłuto nie żłobiło konturu, ale plastyczny rzeźbiło posąg z mieczem u boku, lub przed sobą. W 16tym dopiero wieku zaczynają się te śpiące rycerze, co pół duszy oddali niebu, pół ziemi ojczystéj — i takich najwięcéj przechowało się po kościołach. Najbardziéj zajął mię w grobowcu Ligęzy wyrzeźbiony na płycie, pod wyżéj przytoczonemi wierszami koń z zarzuconą uzdą na szyję, z siodłem wyrobioném z całą drobiazgowością ówczesnego okulbaczenia aż do najmniejszego rzemyka i sprzączki — u siodła upięta trąba kształtu naszych rogów myśliwskich... Koń ten niewielki zapełnia ledwo w czwartéj części szerokie pole płyty kamiennéj i każe wnosić, że miejsce czy na inne płaskorzeźby, czy na napis zostawiono. Nie mogłem sobie wytłumaczyć znaczenia tego rumaka, chyba że to był ulubiony towarzysz bojów Ligęzy, którego on wykonterfektować kazał.—W saméj górze nad tym nagrobkiem jest mniejszy, z tymże złączony i mieszczący dwa napisy: Mikołaj Spytek Ligęza z Bobrku, Dziedzic na Rzeszowie, kaszt. Czechowski—i Jan Ligęza z Bobrku, Dworzanin Królewicza polskiego 1591.—Są to synowie Mikołaja, których miał z Elżbiety Jordanówny

wdowéj po Stanisławie Bonarze. Paprocki sławi wielką miłość ku ojczyźnie, jakiéj Mikołaj złożył dowody pod pięcią królami; a Niesiecki powiada o nim: *Tota vita a vino abstemius.*

Po lewéj stronie, w ścianie załamującéj się ku prezbiteryum, jest drugi podobny nagrobek z wyobrażeniem rycerza w pełnéj zbroi. Gruba warstwa bielidła zarównała napis, jeżeli jaki był; a róg ołtarza zakrył część ornamentów, a może i napisy, dla tego niepodobna wiedzieć czyj to nagrobek. Myślałem czy nie Jana z Wielopola Wielopolskiego, lub Andrzeja Jemielnickiego, o których Starowolski wspomina — lecz na mieczu wyryty herb *Strzemie*, nie był klejnotem żadnego z dwóch wymienionych. Szukałem w Niesieckim wszystkich Strzemieńczyków, w nadziei że znajdę między nimi jakiego kasztelana lub starostę bieckiego, lecz były to po większéj części rody nie piastujące znaczniejszych urzędów w Rzeczypospolitéj. Jeden tylko Piotr Sułowski sędzia grodzki biecki, posłujący na sejm r. 1569, jest najznakomitszą figurą z rodu Strzemieńczyków, którzy cośkolwiek mogli mieć wspólnego z Bieczem. Poczciwy Długosz, gdym do jego herbarza zaglądnął, dał objaśnienie przez zapisanie staréj tradycyi; powiada on, że za udział w zabójstwie Św. Stanisława, nigdy żaden używający klejnotu Strzemię, nie piastował jakiegobądź wyższego urzędu, ani się odznaczał czémkolwiek. Poszukując, możeby się dał zrobić jaki wyjątek, lecz wszystkie nasze herbarze nie dostarczyły mi przeciwnego dowodu, chociaż o trzysta lat od Długoszowego późniejsze.

Dość wysoko na ścianach i kolumnach kościoła, wiele jeszcze spotyka się nagrobków zazwyczaj małego rozmiaru, lecz interesujących z powodu że pod krzyżem, lub wyobrażeniem jakiego patrona, klęczą wymalowane bądź pojedyncze osoby, bądź grona złożone z kilkunastu figur. Pod względem strojów, szczególniéj mieszczań-

skich z 16go wieku, są one ciekawe. Strój to czarny niekiedy długi, zupełnie jak ten co żydzi nasi przechowali, niekiedy kusy. W kolorowe kapoty i pasy stroiło się mieszczaństwo małych miasteczek i to późniéj.

Żeby już nic nie pominąć godnego uwagi, wspomnę o tych formach, czyli stallach mocno zrujnowanych, co stoją pod wielkim chórem. Ściany ich, a raczéj wezgłowie okrywa bardzo ładna rzeźba nakładana kolorami. Tyle w tych esach floresach dobrego smaku i taka obfitość kompozycyi niepowtarzającéj się, że zabytek ten z początków 16go wieku zasługiwałby na staranną naprawę. Stalle przy wielkim ołtarzu, chociaż bogatsze w ozdoby rzeźbione i malowania, lubo również grożą upadkiem, nie mogą jednak porównać się z temi, skazanemi już na zapomnienie. Gdzie indziéj, niż u nas, dawnoby zdjęty z nich rysunek figurował w jakiém piśmie poświęconém zabytkom staréj sztuki.

Po obejrzeniu fary, poszedłem oglądać miasto. Wąska ulica prowadzi od kościoła w rynek dość obszerny z ratuszem i wieżą pośrodku. Wieża o któréj napisach i herbach wspomniałem przy wspomnieniach o Kromerze, zachowała jeszcze ten charakter dawnéj architektury podobający się zawsze; u dołu szkarpy, wyżéj ośmiokątne piętra wznoszą się jedne nad drugiemi; sam szczyt tylko dobudowany późniéj na zniżonéj wieży. Co się zaś tycze ratusza, z dawnego, ani śladu, bo na tém miejscu stoi kamienica w tym obrzydłym stylu w jakim pobudowano różne gmachy publiczne od lat kilkudziesięciu. Prawdziwy styl koszarniany. — Samo miasteczko schludne i ciche. Głęboko w ziemię zapadłe domy murowane, gęste żelazne drzwi w facyatach bez okien, świadczą, że tu niegdyś były składy i sklepy; a tu owdzie odłam gzymsu rzeźbionego, lub kamiennych odrzwi; sklepione sienie z szerokiemi wychodzonemi wschodami rozpowiadają o zamożności dawnych czasów. W jednym

z narożnych domów oglądałem dość obszerną izbę zawaloną żydowskiemi rupieciami, któréj ściany nie straciły do szczętu dawnych ozdób; w około jakieś resztki pilastrów, jakieś niby girlandy i medaliony, jedne z próżném polem, w innych znalazłem popiersie w płaskorzeźbie Zygmunta Augusta. Co więcéj, utrzymała się poprzeczna belka ze starym napisem:

Boże! prowadź do skutku intent twego sługi
By żyjącym w tym domu był wiek czerstwy, długi.—

Ponieważ niedaleko znalazłem wyrażoną datę r. 1757, jako odnowienia tego domu, więc wnosić można, że przy reparacyi odmieniła się fizyonomia téj izby.

Jeszcze jedna droga pamiątka pozostała mi do zwiedzenia: dom szpitalny, fundacyi królowej Jadwigi. Stał tu obok kościołek Ś. Ducha przy którym był szpital — ale z kościoła ani śladu, jak ani śladu z dwóch zamków bieckich i z tylu innych gmachów; pobożna tylko fundacya przetrwała wszystkie burze i zmiany. Ze wzruszeniem patrzałem na ten domek o piąterku, z którego wyglądała jakaś schorzała kobieta: grube poczerniałe jego mury, okna głębokie, od wchodu wschodki prowadzące na zbutwiały ganeczek — takie to wszystko nędzne, takie zapomniane, takie rozsypujące się, a jednak stoi za łaską bożą, jak każdy gmach zbudowany miłością. Opieka dobréj Jadwigi czuwa nad tym przytułkiem cierpienia i sieroctwa, jakby świadczyła, że dzieło zaczęte na tym świecie, nie kończy się na tamtym. Lubiła ona Biecz i nieraz w nim przesiadywać lubiła z mężem swoim Jagiełłą, który go także lubił i często w nim załatwiał sprawy koronne. Tutaj bowiem odbywały się jego zaręczyny przez wyznaczonych panów rady z Anną hrabianką Cylijską, wnuczką Kazimierza W. Tutaj go, choć może szukał wytchnienia w zwierzynnych borach

i cudnéj okolicy, dochodziły i kłopotliwe sprawy, jak wtedy gdy Wasyl krasny przybył z oświadczeniem, że Swidrygiełło nietylko nie wróci Łucka i innych grodów podolskich, ale nadto domaga się ustąpienia Kamieńca. Wmięszał się i pośrednik do tych zatargów bratnich, komandor Toruński wysłany od Mistrza Rusdorfa z ofiarą na pośrednictwo. — W takich stosunkach musiało się miasto podnosić, tém bardziéj że i późniejsze postanowienia królów nakazywały, aby wszelkie towary prowadzone z Węgier, nie na Nowy Sącz, ale na Biecz obierały drogę. Handel przewozowy i składowy przyczyniał się wielce do dobrego bytu mieszkańców; wznosiły się domy, ruch się utrzymywał, i przyszedł czas że Biecz otrzymał miano: *parva Cracovia.*

Nie mogłem wyśledzić kiedy miasto to dostało starostę grodzkiego, i kiedy utworzoną została kasztelania mniejsza. Być może, że to przypadnie na czasy Kazimierza W., który jak wiadomo, tyle robił dla polepszenia stanu miast. Przedtém bowiem Biecz z okolicznemi włościami należał do kapituły krakowskiéj, która się zamieniała z Wacławem Czeskim za dobra Kamienicą zwane. W skutek zaś intryg Muskaty, mających na celu odsunięcie od tronu Łokietka, odebrane zostało państwo Bieckie i przyłączone do dóbr stołowych królewskich.

Tyle do dawnéj jego historyi — a teraz zakończmy jeszcze całość obejrzeniem reszty miasta. Wysokie wzgórze na którego ściętym szczycie leży Biecz niegdyś opasany obronnym baszciastym murem, zamkniony bramami, łączyło się dawniéj zapewne mostem lub krytą drogą z pobliskim wyższym nieco pagórkiem, na którym dziś stoi klasztor OO. Reformatów. Na tém miejscu stał dawniéj zamek — rodzaj cytadelli, starszéj może niż samo miasto. Jan Wielopolski Starosta Biecki uzyskał pozwolenie na Sejmie znieść ten zamek, zapewne grożący ruiną, i natomiast wystawić klasztór. Było to w r. 1642.—

Wszakże zamek i gród przeniesiony został do miasta; starzy ludzie zapamiętali jeszcze ten gmach, z którego nie wiem nawet czy te folwarki i gospodarskie budynki powstały, co dziś nikczemną swoją strukturą szpecą pamiętne miejsca. Położenie dawnego zamku, wnosząc z tego jak się teraz konwent Reformatów przedstawia, musiało być okazałe, przypominam to sobie ze starego widoku Biecza, zdjętego w 16 wieku, a zdobiącego jakiś atlas w rodzaju tych, jakie w Antwerpii wychodziły. Kilkanaście starych drzew w gęstwi swojéj pokazuje biały mur klasztorny. Pamiątek godnych osobliwéj uwagi nie znalazłem w kościele; jest tylko kilka nagrobków; jakiegoś Wawrzyńca Piotrowica ucznia akademii krakowskiéj *veri Musarum Cultoris* — nie wiem czy nawet X. Juszyński co tylu poetów nazbiérał, wiedział co o płodach jego muzy. Drugi nagrobek świeższy: Stanisława z Łętowa na Bobowéj Łętowskiego, Podczaszego i Wielkorządzcy Krak. Regimentarza partyi Małopolskiéj Rotmistrza znaku hussarskiego, zmarłego r. 1775.—

Oprócz klasztoru OO. Reformatów znajdowały się inne jeszcze dwa kościoły ś. Barbary i ś. Piotra; pierwszy niewiem nawet gdzie stał, drugi był za miastem na wzgórzu, lecz niedawno rozebrany został, i na tem miejscu zbudowano kaplicę. Tak tedy miasto co wydało Kromera, co pięć kościołów miało, i taką wieżę ratuszną, i takie zamki, i najpiękniejszą okolicę o jakiéj pomyśleć można, niepochlebiało sobie biorąc przydomek: *parva Cracovia.*

Złe gospodarstwo, wielowieczne klęski krajowe, upadek handlu przez zmianę gościńców handlowych, a zapewne i nierządni starostowie ci najwięksi niszczyciele, przyczynili się do upadku starożytnego grodu, który nie był i od innych klęsk wolnym jak to wyczytuję w liście ks. Płazy pisanym w r. 1573; powida on, że w przeszłym roku zmarło w Bieczu na powietrze prze-

szło 1800 ludzi; jest tam domów pustych kilkanaście, i jeszczeby zapłacono komu żeby w nich mieszkał. W czasie zaś moru tak się wyludniło, iż brony niemiał kto zamykać, a na rynku trawa urosła. Ostatnia klęska jaka Biecz dotknęła trafiła się w r. 1770 podczas konfederacyi Barskiéj, trzymającéj się długo w okolicznych górach pod wodzą Kazimierza Pułaskiego ucierającego się z Drewiczem. Lubo wspomnienie konfederatów dziś się już zatarło, jednakowóż dowiedziałem się o szczególe zachowanym przez starca górala, który był świadkiem téj wojny. Powtarzał on wiersze jakie Drewicz miał przesłać Pułaskiemu stojącemu obozem pod Tyliczem:

Od Tylicza aż do Biecza
Wszędzie pełno Derewicza.

Na którą to groźbę odpowiedział Pułaski:

Między Bieczem, a Tyliczem
Koniec będzie z Derewiczem.

Widać że Drewicz musiał nauczyć Suwarowa rymowanych raportów. Ostatnia groźba nieziściła się, Pułaski poniósł klęskę pod wsią Izbami na pograniczu węgierskiem, gdzie jeszcze widzieć można na ścianie w cerkwi wymalowaną tę bitwę, jak wzywa pomocy N. Panny Izbiańskiéj, a za wsią okopy konfederackie. Fara biecka posiada dokument świadczący o wszystkich okropnościach jakich to miasto doznało w r. 1770 przez napad oddziału Rossyjskiego. Z obszernego opisu wyjmuję samą treść ważniejszą.

Było to d. 5 kwietnia pomienionego roku, o godzinie dziesiątéj rano kiedy oddział karabinierów i kozaków moskiewskich liczący około 400 ludzi wpadł do miasta w pogoni za konfederatami, których na wzwiady wyprawił Pułaski stojący pod Gorlicami. Rossyanami do-

wodził podpółkownik Iliczanin, garstką zaś konfederatów Kirkor. Gdy ci ostatni cofnęli się przed przemagającą siłą, nieprzyjaciel rzucił się na Biecz rabując naprzód będący mu na drodze konwent Reformatów, gdzie się pastwił nad zakonnikami, zabierając sprzęty i aparaty kościelne i depozyty szlacheckie. Tymczasem większa siła robiła to samo w mieście; szczególniéj farny kościół stał się widownią excesów nietolerowanych w żadnéj porządnéj wojnie. Niedość że zrabowano zakrystyję i skarbiec, ale nadto odbito Cyboryum, wysypano konsekrowane do spowiedzi Wielkanocnéj kommunikanty, które ze wzgardą wiary ś. jedne przylepiali po drzwiach, drugimi ludzi karmili, a zresztą zajechali aż do Jarosławia, gdzie pokupowane od obywateli kielichy, wracały potem na miejsce zkąd były porwane. Swawola ta trwająca od południa do wieczora i przez całą noc, powtarzała się na różnych punktach. Podczas kiedy część Moskali grasowała w kościele, inna wpadła na probostwo. Znajdujący się tam z czterema wikaryuszami, a niewiedzący co się dzieje u fary, ks. Bętkowski oficiał i proboszcz biecki, doznał równie okrutnego obejścia się; nietylko że go bito i potrącano ale i mierzono doń z pistoletów. Rabujące zaś kozactwo, co chwila przyskakując i grożąc, wrzeszczało: *Dawaj dieńgi!*

Po takim traktamencie, jak się wyraża ks. Bętkowski w swojéj potestacyi, nastąpiło pożałowanie. Jakby na pośmiewisko przysłał do niego Iliczanin, oświadczając, że będzie u niego jadł obiad, z wszystkimi oficerami; na który też niebawem nadszedł. Gdy się przed nim skarżył ks. oficyał na okrucieństwo kozaków, pokazując znaki bicia i poranienia, Iliczanin wskazał na portret księcia Sołtyka bisk. krak. wiszący na ścianie i rzekł: Wszystkiemu ten winien; na niego narzekajcie!

— Ależ książe biskup w Kałudze — odparł któryś z księży śmielszéj fantazyi.

— Nic nieznaczy — on wam dał buntowniczego ducha.....

— Będąc duchownymi, niemożemy być bez ducha — jednakże broni niemamy, a wy nas zabijacie.

— Oto masz szablę, broń się, ofuknął Iliczanin.

Ksiądz się cofnął ze wstrętem; a on mówił już nieco łagodniéj: Mieliście mury i bramy — było się zamknąć i niepuszczać. A poznacie tych kozaków co was pobili?

Na to ksiądz oficyał: Zapewne że poznamy.

— I cóż z tego? Na to niema rady; gdzie potyczka, tam rabunek. Jednakże żeby was jaka napaść niespotkała, zostawię wam oficera na noc, śpijcie zdrowi! —

Gdy odszedł Iliczanin, zebrali się księża i w towarzystwie oficera poszli do fary. Można sobie wyobrazić ich przerażenie i smutek na widok zbezczeszczonéj świątyni pańskiéj. Niebyło jednéj rzeczy, któréjby z miejsca nieruszono i niezrujnowano, aż do grobów, z których powyrzucano ciała. Tknęło to widać owego oficera, bo zaraz nic niemówiąc pobiegł do Iliczanina opowiedzieć co widział; pospieszył za nim i ksiądz oficyał w komży i stule, jak był ubrany, do ceremonii pozbierania ze czcią i nabożeństwem porozrzucanych Hostyj — ale warta stojąca przed Iliczaninem rozkwaterowanym w kapelanii Wielopolskich, odpędziła go kolbami, że z niczem powrócił.....

Tak się skończył ten sądny dzień dla Bieczan — nazajutrz o czwartéj zrana oddział moskiewski wymaszerował do Gorlic, unosząc w pieniądzach i ruchomościach grabież, wartującą do miliona. Był to ostatni, ale najcięższy cios dla tego Jagiellońskiego miasta. Bliskie zmiany, znoszące kasztelanię, i starostwo grodowe, oddały Biecz w prywatne ręce, i tak zamknęły kartę jego historycznego znaczenia.

Wracając do protestacyi ks. Bętkowskiego oficyała i proboszcza bieckiego, uderzył mię w niéj szczegół dość

zabawny. Wyliczając on wszelkiego rodzaju excesa i szkody poczynione przez moskali, mówi między innemi: „A co najżałośniejsza! Akta tak Grodzkie jako i Miejskie, przywileje, erekcye kościelne i t. d. jedne darli, drugie na ładunki obracali. W Erekcye pargaminowe, pieczenie obwijali, z których jednę w Krosnie porzucili, a tę OO. kapucyni, z podpisem świadectwa swojego do Biecza odesłali."

Prawdziwie dziwnym trafem widziałem na własne oczy ten erekcyjny pergamin, ze śladami sosu pieczeni którą obwijał, ztwierdzony podpisem OO. kapucynów krośnieńskich i objaśniony tą uwagą, że u nich w Refektarzu zajadali kozacy pieczeń, obwiniętą w ten perkagamin. Dnia niezanotowałem, lecz na świadectwie kapucyńskiem stał wyraźnie r. 1772. Gdy zaś na protestacyi ks. Bętkowskiego stoi r. 1770 i jest wzmianka o tem zdarzeniu, tedy wnosić by można że dopiero w dwa lata zdobył się na odwagę ksiądz officyał wnieść ten akt, do konsystorza Bieckiego — aby jak mówi: potomne wieki, i nasi sukcesorowie wiedzieli, wierzyli i dziwili się.....

Podobny gwałt dokonany na świętościach kościołów i na majątkach prywatnych zasługiwał przecież na głośniejsze wołanie o sprawiedliwość, bodaj o cień sprawiedliwości, niż żeby miał uwięznąć w niewczesnéj protestacyi, która w lat kilkadziesiąt i to przypadkiem na jaw wychodzi....

Smutne czasy! gdzie się wszystko na protestacyach kończyło.....

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

TRZY MELODYE GRECKIE

WACŁAWA RZEWUSKIEGO *).

Starzec na mogile Achillesa.

W głębokiej przyrodzenie utopione ciszy:
Noc czarna, milczą wiatry a posępne niebo
Skrapia moją tęsknotę z kielicha goryczy.
Okrytą szronem wieków, pochyloną głowę,
Sił zwątlonych ostatki i życia ciężary
Złożyłem zmordowany na grobie Achilla,
Tak często już przezemnie odwiedzanym w smutku.
Ileż razy w tém miejscu, straconéj ojczyzny

*) Czytelnicy którym nie obcą podróż M. Manna na Wschód, przypomną sobie z jaką przyjemnością musieli czytać w trzecim tomie cztery *Melodye Arabskie* z pozostałych pism po Wacławie Rzewuskim. Z tegoż samego źródła pozwolono nam wyjąć parę *Melodyj Greckich*. W zbiorze tym poezyj znajdują się: 1sze *Melodye Arabskie* jako to: Pustynia Neżdu, Hymn ranny Beduinów Wehabitów, Wojna Wehabitów czyli Emir Taag el Faher Abd-el Niszan

Snuł się obraz żałobny, przyodziany kirem.
Okrutna wyobraźni! wspomnienia zgryźliwe!
Będziecież ciągle dręczyć uczuciem niedoli
Zwiędłego życia duszę i niezbędną czułość?
Ileż razy z téj śmierci poważnéj świątyni
Odzywał się ponury głos syna Peleja,
Badający me żale wątpliwym wyrazem:
„Czyż kwitnie moja sława na łonie wolności?“....

Oby poznał Achilles gnębiące koleje
Niewolniczych potomków Argolu wolnego!
Oby ujrzał Achilles bohaterów plemie
Wstydliwego łańcucha ogniwem okute!
Oby słyszał Achilles głębokie westchnienie
Lękających się wnuków tchnąć duchem wolności!
. . . .
Achillesie zbyt wielki, by ogrom twéj sławy
Dźwigała na swém łonie wzgardzona ojczyzna
Znieważonego Greka w tem obliczu świata....
Achillesie powracaj w nieczułość popiołów:
Przestań wieki mordować hańbiącem pytaniem!

O wy Helleńskiéj sławy wieńce nieśmiertelne,
Wy pogromcy tyranów, Maratonu miecze,
Wy dusze niestrwożone zwycięskich falangów,
I serca pałające wolności płomieniem,

(Rzewuski) do Beduinów; Neżdi Kohejlany (konie); — 2re *Melodye Greckie*, jako to: Starzec na mogile Achillesa. Dziewica Lesbu; Niewolnik Olimpu, Bobolina do dziewic Grecyi; Odysseusz do Greków; Śpiew Greków; — 3ie. *Wiersze różne* jako to: Przeszłość stracona poemat; Treny itp. Wszystko to tworzy tomik własną ręką Wacława Rzewuskiego pisany, z dodatkiem licznych objaśnień i uwag tyczących się miarowości wiersza. (P. R.)

Wieszcze niepodległości, arfy zapomniane,
Przebóg! czyż was na zawsze niezbłagane nieba
W bezdeń nocy wieczystéj strąciły straszliwą?

Jakimże przyrodzenie przebudza się głosem?
Już piorun za piorunem, za gromem grom bije,
Już z rozszarpanéj chmury szalone potoki,
Uzuchwalone buntem powietrznéj przestrzeni,
Szumem przerażającym tocząc się gwałtownie,
Od niebios rozgniewanych unoszą świat cały.
Już wiatrem rozpętanym rozchełzane burze,
Niezwyczajnéj wściekłości ogłosiły wojnę.
Już państwa podziemnego wydęte sklepienia
Groźnych wulkanów hasłem ryknęły straszliwie.
Od wrzącego dna morza fale wytrącone,
Wyprężonym bałwanem szturmują w obłoki.

Ileż wstrząśnień żywiołów do zrodzenia iskry
Drogiéj mężnym narodom dźwiganéj wolności!
Ileż gwałtu, bezprawia do wskrzeszenia życia,
Ciężkim wieków letargiem uśpionéj nadziei!

Są nurty utajone, co rwącym potokiem
Burząc wnętrzności ziemi w milczeniu gotują
Upadek wspaniałości niebotycznéj skały.
I zmarłych bohatyrów łez gniewnych strumienie,
Państwa ciemnego śmierci przerzynają łono;
A sącząc kroplą cichą w niecierpliwość ludów *)

*) Grecy przez kilka wieków męczeni przez Turków gotowali się do powstania; szczególnie od lat 87 spisek dzielnie postępował. Siedlisko powstania było na wyspach Archipelagu. Duchowni byli dzielną sprężyną, a Patryarcha naczelnikiem. (P. A.)

Obalają głaz straszny olbrzymiéj potęgi.
Tak kiedyś i Islamu zgruchotana wielkość,
Będzie w głębi nicestwa tonęła z przeklęstwem.

Występujcie walecznych mężów z grobu cienie:
Po raz drugi stawajcie w oczach dziejów świata
Z zapaloną pochodnią wskrzeszonéj wolności.
Budźcie struny zuchwałej te powstańcze dźwięki,
Grotem kopij sławionych, mieczem niepodległym
Budźcie zwłoki oziębłe wieszcza ziemi greckiéj,
Niezrównanych cnot waszych boskiego śpiewaka.
Liczne szyki młodzieńców, grona dziewic pięknych,
Na ten odgłos rycerski powstawajcie razem.
Niech pęka jarzmo wstydu, niech rwie się Osmanom
Zbrodniczego zbyt szczęścia krwawożercze pasmo. *)

Bobolina do dziewic Grecyi.

Dziewice ziemi greckiéj, dziewice urodne
Ognisk waszych rzucajcie siedliska niepewne.
Oto z płynącéj twierdzy okrętu wolności,
Mężna was Bobolina imieniem ojczyzny
Wzywa na szumne wody Egejskiego morza.

Kwitną na waszych licach róże w pół rozwite,
W żywem oku spoczywa miłości potęga,
Bije w śnieżystem łonie serce niewinności,
Na ojczyznę spuszczony tkliwy oczów promień,
Wróży synom Helleńskim, godną ich nagrodę.

---

*) Wyrządzane gwałty Grekom. (P. A.)

Niech z rąk dziewiczych kądziel wylatując szparko,
Mieczom ciężkim ustąpi dotąd słabej dłoni.
Niech laur mężnie nabyty wieńczy wasze czoła
Spuszczajcie się, Niebianki, na skrzydłach wierności,
W grzmiących ziober objęcia bohatyrskiéj łodzi.

Swobód miękich rzucajcie niebezpieczne jarzmo,
I niemowlęce grona kochanéj rodziny.
Rwijcie ponętnych włosów pieszczone warkocze,
Niech z rąk waszych uwita lina nader droga,
Zapuści w serca wasze kotwicę nadziei!

Jak orzeł rozbójniczy, okręt upragniony,
Lotu bystrego żagle rozpina zuchwale,
Rozwinięta z pogardą na sprzeczności losów,
Flaga helleńskiéj sławy dumnie zawieszona
Na kopii Achilla kołysze się gniewna.

Patrzcie—patrzcie Dziewice jak Nieba sprzyjają,
Jak wolność zmartwychwstałą przyrodzenie wita,
Już wiatr ten wam powiewa co powiewał niegdyś
Niosąc łódź Artemizy w Salamińskie brzegi
Gdy pogrążeniem Persów, miał wieńczyć ich wody.

Patrzcie—patrzcie Dziewice, jak morza błękity
W lekko wzruszonéj fali igrając powabnie,
Zapraszają w żeglugę bohatyrek grono!
Jak ląd zniecierpliwiony błogosławi łodzi,
I żąda snuć się pędem w oczach córek greckich.

Odysseusz do Greków.

Witam Cię święta Ziemio! Wolnych niegdyś Greków
Ojczyzno starożytna! Witam cię powietrze

Tchnące Synów Helleńskich bohatyrską sławą!
O Maratonu pola! Salaminy wody!
Wy skały Termopylu i posłuszne echa,
Harmonijnéj dźwięk struny Iliady wieszcza
Powtarzać nauczone! Wam pierwsze westchnienie,
Na rodzinnéj krainy przybywając łono,
Czułem sercem poświęcam w męztwo uzbrojony.

Ah! czyż losy za sobą w nieprzyjaznym pędzie
Długo dla nas wlec mają kajdany wstydliwe?
Czyż żelaza sułtanom przemysł upodlony
Do ujarzmienia Greków ciągle dawać będzie?
Nielitościwym młotem dręczone kowadła,
Będąż ochydnym jękiem wtorować rozpaczy
Uciśnionych Hellenów i wzgardzonéj cnocie?
Nie pęknąż hucznych miechów wyprężone piersi?
Nie wzdrygnież się żelazo wydawać łańcuchy,
Kiedy w łonie swém chowa niepodległość miecza?

Ni wieków niezliczonych olbrzymie ciężary,
Ni kajdan grubo kutych ogniwa brzęczące
Przytłumić niezdołały popędu do sławy.
Wstępują dawnych Greków zmartwychwstałe cienie,
W mężne walecznych wnuków odrodzone serca.
Wolność zapala dzieci niegdyś Ojców wolnych!
Na polu świetnych dziejów, pod zwycięzkim mieczem,
Utraconéj wolności pamiątka szanowna,
Z przyszłéj niepodległości kwitnącą nadzieją,
Łączy się na ołtarzu zemszczonéj Hellady.
Tak z obecnym ubiegłe skojarzone wieki
Sercom naszym poważne zwiastują wesele.

Szczękła struna wolności, zaryczała trąba,
Harmonijne jak strzała wyleciały tony,
Z napiętéj na śpiew buntu bohatyrskiéj liry.
Warknął już w sercu Greków mściwy łuk rozpaczy:
Lwim rykiem wstrząsł ich piersi gromem buchające.
Czarnéj chmurze wydarte pożercze pioruny,
Hartownego żeleźca zamieszkały pola.
Śmierć do ostrza przykuwszy, z gęstéj błyskawicy
Biją z groźnym łoskotem po karkach Osmanów.
Burza stała się niemą, — gniew niebios bez ognia,
Drży ziemia — świat się zajął — Odysseusz z wami,
A Homer sławy głosem wywołany z grobu,
Śpiącéj wieków trzydzieści, zbudził liry brzmienie.

KAPITAN PROFESSOR.

Obrazek z wspomnień szkolnych.

Niech tam co chcą mówią wszyscy filozofowie, ja jednak powiadam, że młodość jest najpiękniejszą kartą z całéj księgi ludzkiego żywota. Ale nie ta młodość broń Boże, gdy człowiek jeść, spać, i płakać umie; — nie — ja tu chcę mówić o tym czasie nauki, gdy to patrzy się na świat różowo, gdzie swobodny umysł chłopaka co lekcyi się wyuczył, drwi sobie z całego świata, bo nie obchodzą go troski rodziców, niestraszy głód i niedostatek, żadne nieszczęście nie zapuszcza się głębiéj do duszy — wszystko przechodzi niepostrzeżenie i znika tak szybko, jak drobne marszczki na czystym wód krysztale. Dla tego téż może, owe lata najgłębiéj sadowią się w naszéj pamięci, dla tego zawsze ich wspomnienie odświeża umysł już myślącego poważnie człowieka, i nęci ku sobie jakąś serdeczną błogością nawet starca stojącego nad grobem.

Wszystkie choć najdrobniejsze odcienia z tego wieku stoją żywo przed duszą, gdy zechcemy poruszyć ową bogatą minę przeszłości; każden rys twarzy professorów i współkollegów, tak świeżo i jasno staje przed naszą wyobraźnią, jakbyśmy przed chwilą dopiero na nich patrzeli; — głos zdaje się brzmieć w uszach z całą mocą i dźwiękiem, choć to panie obejrzawszy się za siebie, jak obszył czterdzieści lat zleciało. Tak, tak, najtrwalsze to wspomnienie! — Nawet owe przykrości i nieszczęścia studenckie, tak błache dzisiaj w swém znaczeniu, rodzą i teraz pewną bojaźń; dawna niechęć ku professorom, choć na ówczesném pojęciu oparta, nie da się jakoś prędko wyrugować, nie z serca już lecz z pamięci naszéj.

Czterdzieści to lat pono, a jeszcze ciarki przechodzą po skórze, gdy człek wspomni srogiego Masłowskiego professora łaciny, kiedy sztywny, ponury, w białéj chustce, z ogromnemi kołnierzami, wchodził do klassy, szukając oczyma kogo ma wezwać do lekcyi. Jakże to biło serce gdy wyrwał z litery *D* tak bliskiéj *K* a zwłaszcza gdy konjugacye nie najlepiéj siedziały w pamięci. Niezawodna piątka czekała za piecem, i jaka jeszcze? bo sam professor nie żałował ręki trzymając się owéj staréj zasady:

„Różczka popędza rozumu do głowy,
Uczy łaciny a broni złej mowy“.

Nieubłagany jak Brutus, zimny jak marmur, nie słyszał błagań, nie widział łez, nie czuł najmniéjszéj litości — a rżnął piątkę za piątką nie mrugnąwszy okiem, ot tak sobie zwyczajnie, jakby najlepsze śniadanie zajadał. Czasem, gdy który zazbyt natrętnie narzucał się prośbami, wyrzekał powoli bez uniesienia, pamiętne słowa: „choćbyś tylemi łzami płakał“ — mówił pokazu-

jąc łokieć na ręce, — choćby twój rodzony ojciec z grobu powstał, nie daruję!“

Lecz za to jeografia panie, jeografia, wynagradzała łacinę. Pan Solecki kapitan professor, (bo go wszyscy tak nazywali) miał się do niego jak niebo do ziemi. Choć to ze krwi już powinien być srogi jako nieustraszony wojak, jednakże wcale inaczéj rzecz się miała: poczciwy za dwóch, łagodny, choć do rany przyłóż, słodziutki jak cukier, miękki jak bawełna, zdawał się być więcéj ojcem niż zwierzchnikiem. Nie zbyt wysoki, dobréj tuszy z twarzą opaloną i lasem faworytów po obu policzkach, trzymał się zawsze prosto, składnie, szedł śmiało z głową do góry podniesioną i podpartą dobrze szerokim halsztukiem; wiecznie uśmiechnięty, lubiał przedewszystkiem zgrabne ruchy, zwinność, śmiałość; każdego ucznia nim zaczął lekcyę, sam prostował, układał na sposób wojskowy, i przestrzegał by taką postawę ciągle zachowywał.

Po skończonéj kampanii 1813 r. wyleczony z ran, gdy okazał się niezdatnym do dalszéj służby wojskowéj, za staraniem przyjaciół otrzymał miejsce professora jeografii w ówczesnéj szkole Pińczowskiéj. Ksiądz rektor instalując nowo przybyłego, zalecił największe uszanowanie i posłuszeństwo dla niego, dodając: że to wojskowa sztuka, to trzeba mu się dobrze uczyć i nieswawolić, bo srogo karać będzie. Lecz wkróce okazała się zawczesną ta przestroga: — pan kapitan Solecki, a z musu professor, od razu łagodnie zaczął z nami postępować, — chłopcy powoli oswoili się z jego marsowatą twarzą, poznali wrodzoną mu słabość do musztry, i w miarę tego, z zadziwiającą przebiegłością umieli sobie zjednać professora. Gdy wchodził do klassy pięćdziesiąt rąk prezentowało przed nim linie na znak uszanowania, — pięćdziesiąt piskliwych głosików krzyknęło hura! — a pan Solecki uśmiechał się zadowolniony i brał

się z przyzwyczajenia za wąsy, choć już od dawna musiał je zgolić. Z tego już można sobie wyobrazić, jak to tam szła jeografia, bo pan Solecki znając najlepiéj miejsca batalij Napoleońskich zaczął naukę od kampanii włoskiej przeszedł do Egiptu, choć wykład Afryki do naszéj klasy nie należał — następnie przebiegł Prussy i Austryą, a w końcu zapoznał nas z całą linią pochodu wojsk francuzkich w r. 1812 od Paryża do saméj Moskwy. Wagram, Austerlic, Jena, Marengo i t. d. były u niego pierwsze — Berlin, Wiedeń, to podrzędne miasta. Przy wykładzie lekcyi rozpowiadał zaraz o bataliach, rysował na tablicy stanowiska armij, strzelał kropkami z kredy, bombardował, palił, przypuszczał szturm do fortec z taką żywością, że nam aż zimno robiło się na sercu, słysząc ten huk, brzęk, szczęk, jęk, który z całą gwałtownością wydobywał się z piersi szanownego professora.

Ale powoli, powoli, zahartowały się dusze, umysł ochrostał się z wojną, że pod zimę już wszyscy mogliśmy śmiało rezonować o każdem poruszeniu wojska, i kontrować plany najlepszych wodzów. Zbyteczném byłoby nadmieniać, że często gęsto pokazał się i kapitan Sołecki na scenie, że jeszcze częściéj wydarło się professorowi ciężkie westchnienie na niesprawieliwość losu, który go zmusił do bakalarki przecinając ową nić awansów, wyciągniętą w jego umyśle do nieskończoności.

Trafiło się raz, że wyzwawszy mię szanowny kapitan do lekcyi, nieznacznie ze Szwecyi zeszedł na artyleryą. Moje uwagi trafne co do rzucania granatów, tak dalece zwróciły jego uwagę, iż odezwał się z uniesieniem:

— Ty Kostecki jak widzę nie źle byś dowodził artylleryą; oko jest, rozum nie lada, tylko trzebaby nauki, nauki, a mianowicie obrotów.

— O! proszę pana professora, ja mam wielką ochotę

do wojska, rąbałbym się dzień cały lecz nie ma kto wyuczyć.

— Słuchaj — mówił po chwili namysłu pan Solecki, przynieśno linijkę jaką dobrą na przyszłą lekcyą, to ja ci pokażę główne cięcia.

Więcéj nie było trzeba dla nas, co to nieminęliśmy żadnéj sposobności aby uwolnić się od lekcyi; to téż na drugi dzień, zamiast jednéj trzydzieści było linij; jeografia poszła na bok, a miejsce jéj zajęła musztra.— Oh pamiętam, szastaliśmy nogami, wywijali improwizowaną szablą tak śmiało, że nie jeden z guzem potężnym powrócił do domu.

Tymczasem ksiądz rektor dowiedział się o naszéj nauce, zgromił sekretnie pana professora: w skutek téj perory posmutniał kapitan a my z nim, i znowu wrócił dawny porządek jeograficzny zaczynając od Marengo. Krucho było z nami, professor jak skała nie da się zmiękczyć niczém: ani Ratysbona ani Lipsk, już wpływu na niego nie wywiera, i tylko czasem gdy wchodzi do klasy poważnie, a spostrzeże nie dobrze trzymaną linię przy prezentacyi, wyrzeknie z udaną flegmą hamując uniesienie:

— Franuś prościéj rękę — Lipski! głowę do góry! Slaski, nie garb się! — i na tém koniec; daléj ani rusz.

Upłynął tym sposobem miesiąc, kończył się już i drugi — nastała zima, a pan professor ani pomyśli o mustrze; głuchy na pokusy, dyktuje, egzaminuje, i przy każdéj wzmiance o wojnie spogląda z trwogą na drzwi czy go rektor nie słyszy.

Ciężko to było jakoś chłopcom, że minęły tak błogie chwile zabawy, suszyli płodne w figle muzgownice nad sposobem rozruszania professora, lecz nic skutecznego wynaleść nie mogli. Mnie to może najbardziéj zajmowało, bo jakoś żal mi było owéj rozkosznéj musztry,

która więcéj mi się podobała niż wyliczanie kilkudziesięciu księstw niemieckich, od którego język łamał się tak, jak źle zahartowane żelazo, gdy go zanadto zgiąć usiłujemy.

Pamiętam dobrze było to w sobotę, jeografia przypadała na ostatnią godzinę po południu, a mieliśmy na lekcyą jak raz o Saksonii. Wybiła 3cia godzina, skończyła się arytmetyka i wszedł jak zwykle pan Solecki z tabakierką w jednéj ręce, z chustką czerwoną zarzuconą przez drugą rękę i małą laseczką czarno pomalowaną służącą do pokazywania na mapie. Stanął w katedrze, poprawił włosy spadające z łysiny, i zapuścił wzrok po całéj klasie, upatrując kogoby wyrwać. Ja mając ułożony zamiar i chcąc zwrócić jego uwagę, kryłem się trwożliwie za plecy kolegi, okazując pewien niepokój, i żarliwie czytałem z kajetu kiwając się jak żyd nad talmudem:

Dostrzegł to pan professor, uśmiechnął się radośnie zacierając ręce, i spoglądając po wszystkich mówił powoli:

— Powie mi, powie mi.... Kostecki! — kończy od niechcenia.

Wystąpiłem na środek, — ukłoniłem się nieśmiało i czekałem pytania.

— Co mamy dziś na lekcyą?

— O Saksonii — odpowiedziałem.

— Wyrysuj mappę i pokaż wszystkie miasta.

Porwałem kredę, starłem tablicę i w kilku śmiałych rysach, nakreśliłem Saksonią; potem odchrząknąwszy mocno, cieniutkim dyszkantem zacząłem od granic, rozległości, ludności, klimatu, płodów; przeszedłem na Drezno, a potem na Lipsk. — Lipsk — mówię — miasto handlowe, liczy trzydzieści księgarni, leży nad Elbą, pamiętne w dziejach świata olbrzymią bitwą, stoczoną

1813 r. gdzie tysiące armat siejąc śmierć i trwogę huczało przez 3 dni i nocy, gdzie.... stanąłem.

— Gdzie co? pytał zainteresowany professor.

— Gdzie pan Solecki kapitan artyleryi, dokazując w rejteradzie cudów waleczności, padł przeszyty czternastu kulami!...

— Fałsz malcze! kto ci o tem powiedział?! — wrzasnął zaiskrzony professor.

— Historya o tém mówi, historya tradycyi, a co krzyż legii honorowéj na jego piersiach błyszczący dowodzi — wyrzekłem poważnie wskazując na wstążeczkę zaczepioną w dziurce fraka szanownego professora.

— Przesadzasz malcze, przesadzasz, zkąd ci się wzięło 14; było ich w rzeczy saméj cztery.

— Mniejsza o to — odrzekłem, jakby lekcyą kontynując, — dość że waleczny kapitan upadł krwią zbroczony na wielką szkodę armii i jego, bo gdyby nie te rany, i konieczność przeleżenia roku jednego w szpitalu, — dziś byłby jenerałem albo marszałkiem; i kto wie jakiby obrót wzięła bitwa pod Waterloo?!

— Co ci się wyroiło mój Kostecki, kto ci to powiedział? bo niepodobna abyś to z siebie mówił, niepodobna, to nad wiek! — i stary professor pokiwał głową z uśmiechem zadowolenia.

— Proszę pana kapitana, ja to z siebie mówię, jak mamę kocham z siebie; i pewno się nie mylę....

— Ależ mój drogi — przerwał widocznie wzruszony professor, — zkąd ty wnosisz że jabym został marszałkiem?

— Bo kto potrafił tak dzielnie uformować karabatalion w rejteradzie i dotrzeć z nim do samego mostu, ten potrafiłby także całą armię zmienić w kare.

— No no — mówił do siebie professor kiwając głową — djabli wiedzą możeby i tak było, żeby nie ten

most na Elstrze, żeby nie ten most.... no no, a kto to wie, wszak Murat syn oberżysty....

— A pod Smoleńskiem — odezwał się Lipski — komu sam Cesarz krzyż przypiął?

— A pod Berezyną? — dorzucił Kowalski.

— Dość, dość, moi kochani — powtarzał pan Solecki zamyślony — dość tych pochwał; starsi nie ocenili,... co było, co było, to nie jest! Dawniéj się komenderowało, wojowało, a dziś, — człek wegietuje i jak.... a szkoda, szkoda... możeby i pułkownikowskie szlify świeciły tu — mówił wskazując tabakierką na ramię — szkoda.... o marszałkowstwie ani dudu, lecz do kroćset.... pułk bym uniósł przecie!

I poruszał głową chodząc po klasie szybkim krokiem, czasem przystanął, wyprężył się jak struna, podniósł na palcach, myśl marszałkowska snać dobrze trafiła do serca, bo i tabakę siał po podłodze, i chustka tylko koniuszkiem trzymała się na ręce, powiewając jak chorągiew bojowa, i siwe kosmyki opadły z wierzchu głowy formując szlify po ramionach; a pan professor chodził coraz szybciéj, — coraz żywiéj. Cisza zaległa salę, ja stojąc na środku, nie wiedziałem co daléj mówić, bo jakaś pomimowolna cześć owładnęła umysłami swawolników, że żaden z nas, nie śmiał przerwać podobnych marzeń professora. Nareszcie jeden odezwał się głośno:

— Kostecki! jakże to było pod Lipskiem?

— Widzisz jak Sasi przeszli na stronę sprzymierzonych — mówiłem zwracając mowę do pytającego — zaczęła się okropna i krwawa rejterada: pułkownik zginął, podpułkownik głowę stracił a pan kapitan jak krzyknie: „formuj kare!!!“ —

— Co to jest kare? przerwał Stalski.

— Ot, robi się trójkąt...

— Bredzisz malcze! Tfu kto widział tak mówić! za-

wołał pan Solecki, który odbywając swój spacer posali usłyszał ów wyraz „trójkąt“. — Nie wiesz to — mówił coraz żywiéj, stawając przedemną i pukając tabakierką po ramieniu — nie wiész to, że kare znaczy kwadrat!

— A jakże to się robi? zapytał któryś z uczni.

— Po prostu komenderuje się w prawo, w lewo formuj kare! i żołnierze zachodzą flankami w dwa szeregi, jedni naprzód drudzy w tył, inni na prawo, inni na lewo, i tak maszerują strzelając do nieprzyjaciela.

— Proszę pana professora, to ci co są w środku, postrzelają tych z brzegu?

— Ale gdzież znowu? odpowiedział robiąc kwaśną minę Solecki — w środku przecież mieści się artyllerya, sztab.

— Nierozumiem jak to bydź może?

— Och ciasna głowo! zaraz ci pokażę niech no tu wyjdzie kilku, na środek.

Lecz zamiast kilku, wybiegło kilkunastu skacząc przez wierzch ławek, i z hałasem zeskakując na podłogę.

— Po co was tylu, dosyć czterech; a cicho psotniki! jeszcze rektor usłyszy i znowu biéda będzie.

— Proszę pana professora, dziś sobota, ksiądz rektor zajęty tygodniową wypłatą.

— Ja widziałem jak spać poszedł — mówił jeden.

— Podobno chory na rękę — krzyczał drugi.

— Ma zastępstwo w czwartéj klasie na górze — dodał trzeci.

— No no! dosyć! tylko cicho przez Boga, pójdźcie już a nie przez ławki.

Wysunęło się ze dwudziestu na środek, — ex-kapitan ustawił ich we dwa szeregi, a że okazała się mała liczba, przywołał znowu czterech, i zaczął ich obracać, pokazując jak to potrzeba się skręcać, by utworzyć czworobok. Gdy wszyscy zdawali się doskonale już pojmo-

wać stojąc jak mur w szeregach, professor wsunął się do katedry, i wziąwszy w rękę ową pałeczkę do skazywania na mappie służącą, uroczyście zawołał: „formuj kare!!“

Chłopcy zrobili obrót; część udała się w prawo, część w lewo, mięszając bez porządku; bo niemogąc rozstawić się w cztery szeregi z powodu szczupłości miejsca, skupili się w jedną massę wcale niewyglądającą na kwadrat.

Ex-kapitan krzywił się i cmokał ustami z niezadowolenia, brał każdego za ramię, popychał w różne strony chcąc ułożyć czworobok, lecz widząc że zamiast porządku, coraz bardziéj się mięszają, machnął ręką syknąwszy:

— To na nic się nie zdało! widocznie ciasno; kiedyindziej wam pokażę — na miejsca chłopcy!

— Proszę pana kapitana zsuniemy ławki pod okna— zawołał jeden.

— Do czego znowu hałasy robić, dajcie pokój, usłyszą!

— Kto usłyszy panie Kapitanie? my cichutko zsuniemy!

I nieczekając pozwolenia professora, rzucili się do ławek, jeden za bok, drugi za wierzch, trzeci za środek, ten za podnóżek, rwali, szarpali, popychali; dość, że w minutę uprzątnięto salę, nakurzywszy porządnie, powalawszy się jeszcze lepiéj i zmęczywszy, bo to były dość grube i ciężkie ławki, może od lat dziesięciu nieruszane.

— Co robicie chłopcy! dajcie pokój! czy to potrzebne? a co to za nieposłuszni! — wołał professor stojąc w katedrze, i pocierając łysinę.

— Teraz panie kapitanie w czterdziestu!

— Po co tylu, po co, dość dwudziestu czterech, reszta do ławek!

Lecz oni już stanęli w dwa szeregi z linijami, i tak jakoś porządnie prościutko się ustawili, tak wołali „panie kapitanie!“ że pan professor miękczony co chwila tym kapitanem, już się i niesprzeciwiał, tylko wyszedłszy wolno z katedry, objaśniał zwroty wykręcając się na wszystkie strony i posuwając rękoma, tak jakby całe szeregi poruszał.

Pierwszy obrót się udał; uwijając się niezgrabnie, sklecili jednak czworobok, — lecz przy podobnéj krętaninie, dość hałasowali, krzycząc, popychając się i sztukając nogami. Wtem zaszeleściło coś na korytarzu, — któryś zawołał: „rektor“ i dziatwa jak spłoszone stado jeleni rzuciła się w największym nieładzie na miejsca, a pan Solecki jeszcze szybciéj zemknął do katedry.

Nastała chwila ciszy... wszyscy z natężoném uchem czekali co daléj nastąpi, — lecz szmer ustał, a jeden z odważniejszych uchylił drzwi, i przekonano się że nikogo nie było. Więc znowu wszystko sypie się na środek, ale przestraszony professor, już nie chce powtarzać nauki.

Dość, dość tego; sztukacie jak pułk kirasyerów, nie można, nie można! —

— Mój panie kapitanie, jeszcze raz! — wołały zewsząd piskliwe głosiki — już cichutko będziemy się sprawiać!

— Ale nie można — mówił zakłopotany professor — sztukacie butami....

— To zdejmiemy! zawołał któryś z grona.

— Tak zdejmiemy! — pówtórzyli chórem — i nieczekając przyzwolenia, gdzie który stał, siadał na podłodze operując nogi.

— Czyście poszaleli chłopaki!? do czego to podobne; na miejsca mi zaraz! — wołał półgniewno professor — a to koniec świata!

Lecz głos jego ginął wpośród pięćdziesięciu głosów; —

rozkaz nie trafił do przekonania; bo za chwilę już wszyscy z zaiskrzonym wzrokiem i twarzą pałającą radością, stanęli w szeregi bosemi nogami, prezentując improwizowane karabiny.

— A niechby też nadszedł rektor, — wymówił exkapitan, — śliczna by się wywiązała awantura.

— Nieprzyjdzie! nieprzyjdzie! wołali chłopcy.

— Niemożna moje dzieci, ubierzcie się natychmiast, bo i ja musiałbym pukać; moje buty jeszcze wojskowe całe podbite gwoździami....

Niech i pan kapitan zdejmie! — zawołał Lipski.

— I pan professor! — gruchnęła dziatwa klaskając w ręce.

— Sfiksowali! jak Boga kocham sfiksowali!

— Mój panie kapitanie! mój złoty! mój tysiączny! mój kochany! błagali wszyscy składając ręce i zbliżając się do katedry.

— A idźcież sobie z panem Bogiem! dajcie mi święty pokój! — wołał pan Solecki nie mogąc się opędzić malcom, którzy obstąpiwszy go do koła, całowali po rękach, po nogach, powtarzając prośby, gdy tymczasem żarliwsi, ciągnęli buty z całéj siły.

— Dajcież pokój szaleńcy! co robicie! — krzyczał szamocąc się na wszystkie strony — a rektor! rektor jak się dowie?

— Nie dowie się — nie powiemy — mój panie professorze, nikomu a nikomu.

— Ale ja chodzę po wojskowemu, moje szkarpetki są......

Lecz wszystkie nalegania, prośby, groźby, gniewy, były napróżno. Swawolnicy już ściągnęli buty, porwali między siebie, a wydzierając jeden drugiemu, zmykali po kątach. Kapitan zdesperowany, nie wiedział co robić z nogami: chował je biédny pod katedrę, zakrywał, zasłaniał chustką, dziennikiem, nawet połami od fraka,

wił się jak wąż w fotelu, a nieśmiał wystąpić z katedry dla odzyskania obuwia, snać wstydząc się pokazać uczniom wojskowe szkarpetki niepierwszéj całości i świeżości. Tymczasem młodzi rabusie, chcąc zapewne przysłużyć się panu professorowi, zanieśli z tryumfem owe buty do pieca, a że były mokre, otworzyli drzwiczki, i ustawili na gorących węglach dla osuszenia.

Wszystko to odbyło się w jednéj minucie. Pan Solecki już nie groził, lecz prawie błagał malców, aby się uspokoili i przynieśli mu wydarty zabór, lecz krzyki, śmiechy, sztukania, całusy, prośby; głuszyły i pochłaniały jego wyrazy. Zamięszanie doszło do najwyższego stopnia: już i o mustrze nie było mowy, bo w takim rozruchu pięćdziesięciu malców swawolnych, każdy po swojemu tańcował po sali, krzyczał co sił starczyło „spokojnie! spokojnie!“ — a tém samem jeszcze powiększał nieład. Naraz uderzyła czwarta, dzwonek odezwał się na korytarzu, i wszystko co żyło zmykając na miejsca, rzuciło się do ubierania. — Ma się rozumieć zapomniano tu o professorze; każdy rad jak najprędzéj wymknąć się do domu, szukał ten książek, ten czapki, ten butów, ten linii; a professor krzywiąc się najkomiczniéj, siedział jak przykuty w katedrze, czekając zmiłowania Bożego, gdyż niewiedział nawet co się z jego butami stać mogło.

Ale nie tu był koniec jego frasunków: — bo gdy już miano wychodzić, i gdy gromada malców z książkami pod pachą tłoczyła się ku drzwiom do wyjścia, i zdołała takowe otworzyć, ukazał się na progu sędziwy rektor, a wchodząc do klasy, wrócił wychodzących, i drzwi zamknął za sobą.

Wszyscy stanęli jak wryci, nieśmiejąc słowa przemówić; rektor czas niejaki popatrzył po sali, niemógł pojąć co znaczy taki nieporządek, co znaczą te ławki do

ścian pozsuwane; nareszcie zwróciwszy się do professora siedzącego wciąż w katedrze, groźno zapytał:

— Co się tu dzieje panie Solecki? kto te ławki pozsuwał?

— To, to, to...— bąkał czerwieniąc się professor— to panie rektorze.... jeografia!... — lecz nieruszył się z miejsca.

Ubodło to widać rektora iż professor zapomina dla niego winnego uszanowania i nie wstaje; zagniewało i to, że nie może się dowiedzieć powodu zamięszania, zbliża się więc szybko ku katedrze, bierze professora za rękę, a obracając się do potruchlałych uczni, mówi rozkazująco:

— Na miejsca! czekać! — a do Soleckiego ciszéj: Panie professorze, proszę ze mną! — i ciągnie go ku drzwiom za rękę.

Solecki pomięszany po najwyższego stopnia, trzyma się mocno drugą ręką poręczy krzesła, wsuwa jeszczè daléj nogi w zakryty róg katedry i odpowiada drżąco rektorowi:

— Daruj panie rektorze, ale ja wyjść nie mogę.

— Dla czego? — woła przelękniony staruszek — panie Solecki dla Boga co panu jest? czy pan zasłabłeś?....

— Nie, nie — odpowiada professor — ale wyjść nie mogę.

— Co się to ma znaczyć mój panie? krzyknął zaiskrzony rektor i szarpnął mocno za rękę professora.— Ten pociągnięty siłą, aby nie upaść z krzesłem, zerwał się na nogi, a rektor ze zgrozą wtedy zobaczył iż pan professor bez butów. —

— Pan bez butów chodzisz do klasy!! wrzasnął na całe gardło odskakując od niego.

— Nie, panie rektorze — odrzekł śmielej Solecki —

tylko mam ranę na nodze, która niepozwala mi siedzieć w butach.

— Co znowu, co znowu — mruczał rektor kiwając głową — kto widział panie, jak to można? — w końcu obrócił się do uczniów wołając:

— Do domu!

Malcy rzucili się ku drzwiom, jeden przez drugiego przytuliwszy uszy zmykał co tchu starczyło na ulicę, a ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, skupili się wszyscy przed szkołą, radząc niespokojni co z tego będzie.

— A jaki poczciwy pan kapitan; nie wydał nas.

— Prawda, prawda! powtórzyli wszyscy.

— Szkoda go, szkoda, biédak tak się zewstydził.

— Jak ty mówisz? wyda się to?

— Co się nie ma wydać?

— To będzie źle.

— Oj źle!

Te i tym podobne wykrzyki wyrywały się z gromadki potrwożonych malców, — gdy tymczasem pan rektor siedział wciąż w klasie z professorem, chodził po sali, krzyczał, rozkładał rękoma; jak donosili niektórzy, szpiegujący pod oknem.

— Czekajmy na niego! — zawołał jeden.

— Czekajmy! — powtórzyła reszta; i podsunąwszy się w boczną uliczkę wyglądali z za węgła domostwa, rychło professor się ukaże.

Wybiło pół, wybiła już piąta na wieży miejskiego kościoła, a professora jak niema, tak niema.

— Gotów go do kozy wsadzić rektor, — odezwał się jeden.

— Eh co znowu professora? — rzekł drugi.

— A cóż ty myślisz, taki złośliwy?! mówił trzeci.

— Wiecie co! — zawołał Lipski — źleśmy zrobili, będzie bieda; otóż niema innéj rady, tylko po mszy jutro wszyscy pójdziemy do klasy tak jak tu jesteśmy,

i będziemy siedzieć sobie w kozie do wieczora. Zgoda?

— Zgoda! zgoda! przyjdziemy jutro z książkami, — wołali pocieszeni studiosy; i rozbiegli się do domów.

Nazujutrz była już trzecia z południa, gdy w klasie trzeciéj zgromadzonych pięćdziesięciu uczniów siedziało jeszcze na swoich miejscach cichuteńko, tak jak makiem zasiał.

Lipski przy tablicy powtarzał półgłosem jeografią — wszyscy słuchali z zajęciem; — jeden odpowiedział, wychodził drugi i tak następnie. Żołądki malców kurczyły się z głodu, niektórym nawet i niedobrze się robiło, lecz żaden ani pomyślił o wyjściu. Tymczasem gospodynie po stancyach nie widząc przy stole swoich chłopców, a koledzy niewiedząc gdzie się podzieli, niepokoili się o nich; i już zamyślali donieść rektorowi o zniknięciu trzeciéj klasy, gdy poczciwy Solecki dowiedziawszy się o tém, przypomniał sobie że widział po mszy, jak jeden za drugim cichaczem wsuwali się do klasy; uśmiechnął się więc radośnie — zatarł ręce, poprawił łysinę — i pobiegł do rektora.

Właśnie ostatni z uczni już kończył powtarzanie jeografii, już zciemniać się na dworze zaczęło, gdy rektor wraz z panem Soleckim podeszli cicho podedrzwi, i wpadli niespodzianie do klasy.

— Co wy tu robicie? — krzyknął niby groźnie rektor.

— Proszę pana rektora, siedziemy w kozie.

— Kto wam kazał?

— Samiśmy sobie kazali — odpowiedział Lipski — bo zrobiliśmy źle proszę pana rektora, więc się też karzemy za to.

— A dawno tu już jesteście?

— Od dziewiątéj zrana.

— To za długo, za długo chłopcy; idźcie do domu, —

ja się wcale na was niegniewam, tylko przeproście serdecznie pana professora i nie róbcie głupstw więcéj! — Dobrze dzieci, dobrze — mówił po chwili rozrzewniony — tak lubię, tak lubię; poznaliście złe, samiście sobie wymierzyli karę; ale po cóż tak długo? No idźcie, idźcie!

Dopieroż jak sunie się dziatwa, jak zacznie przepraszać rektora, professora, całując po rękach, po nogach, wieszając im się po szyi; to, starcy do łez się rozczulili.

— Dobrzy to będą ludzie, — mówił drżący od wzruszenia rektor do pana Soleckiego wychodząc z klasy.

— A nie mówiłem panie rektorze? nie mówiłem; zaręczam, oni by sutannę z księdza rektora ściągnęli, a nicby im ksiądz rektor nie mówił, to istna pokusa.

— Prawda, prawda panie professorze! Ale już zmiłuj się zaprzestań mustry.

— Daję panu rektorowi kapitańskie słowo honoru,— odrzekł poczciwy Solecki.

— Wierzę, wierzę, mój panie szczególniéj temu kapitańskiemu. Dobra noc.

— Dobra noc! I rozeszli się obaj; kapitana professora wszyscy odprowadzili do domu z oznakami najszczerszéj radości. Przez całą drogę niemogli się nacieszyć z szanownym starcem; a gdy go już żegnali przed sienią, pan Solecki przemówił uroczyście:

— No moje dzieci, bądźcie zdrowi! idźcie do domów, tylko nie mówcie o tém przed nikim; i niewspominajcie nigdy w klasie o mustrze, bo jak was kocham serdecznie! musiałbym się pogniewać.

— Nie będziemy! nie! nie! zawołali jednozgodnie i wiernie tego dotrzymali, — bo jeografia szła odtąd jak najlepiéj, żaden ani pomyślał w klasie o mustrze — tylko co do tajemnicy, ta na drugi dzień zaraz roznio-

sła się po mieście, i pokazało się w końcu, że pan Solecki po owéj rozmowie z rektorem, nie mogąc znaleść butów w piecu będących, zmuszony był przesiedzieć w klasie do nocy, a wtedy pożyczywszy ogromnych sandałów od kalafaktora, sunął cichaczem do domu. —

WILCZYŃSKI.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Literatura każdego narodu gdy stanie na wyższym stopniu samodzielnego rozwinięcia się, gdy się we własnych poczuje siłach, zmuszoną jest szukać poza obrębem swoim, nowych że tak powiem sprzymierzeńców, wchodzić w stosunki między narodowe— aby tym sposobem wywalczyć sobie stanowisko światowe, powszechne, humanitarne.

Nie dzieje się to skutkiem postanowienia wziętego z góry, ale naturalnym pociągiem do łączenia sił drobniejszych z siłami ogromniejszemi, przez co wywięzuje się pewna wzajemność skłaniająca do uznawania zasług położonych na polu kultury powszechnéj.

Czynność ta przechodzi, jak wszystko, przez pewne koleje. Z razu coś się ludzie dowiadują o słynniejszym autorze, prawią ogólniki niewiele oświecające i to najczęściéj nie z pierwszego źródła brane; potem zaczyna się zbliżanie do źródła, wychodzą wierniejsze przekłady, ale punkta wielkich styczności jednych literatur między drugiemi, są jeszcze ciemne, niebadane. W ostatecznym dopiero końcu następuje bliskie poznajomienie się z li-

teraturą całego narodu, wielu narodów w połączeniu z ich historycznem życiem; a tak i literatura własna, splątana z historyą, która w odosobnieniu także niewiele znaczy, zyskuje sobie miejsce z którego jéj nic wyrugować niezdoła; bo w téj powszechnéj sieci wszystko się trzyma ze sobą, wzajemnie objaśnia i dopełnia, jak i o cząstkę swojéj dopomina się zasługi.

Godzi się ze wszech miar twierdzić, że i literatura nasza, bliższą jest, niż dalszą téj ostatniéj kolei. Narody przodkujące piśmiennictwem i oświatą, zaczynają zajmować się i więcéj i rzetelniéj płodami naszych pisarzy niż dawniéj, rozpatrują się w ich duchu, śledzą charakterystyczne różnice, szukają świeżości natchnień, formy uczuć, i nieraz mimowolnie podziwiać muszą te przymioty, jakie znachodzić się zwykły tylko w plemionach powołanych do odgrywania wielkiéj historycznéj roli. Żeby już nic innego, to ta jedna uwaga: jakim sposobem rzeczywistość tak mała, prawie żadna, zdolną jest do tak żywotnéj produkcyi? może więcéj objaśnić, niż wszelkie wywody i upominania się z jednéj, a wytykanie materyalnéj nicości z drugiéj strony. Bo cóż bardziéj miesza owe, nibyto historyczne pewniki, o narodach co żyją jak ludzie i umierają jak oni, o kończeniu się pewnych posłannictw, o nowym porządku spółecznym, zgoła wszystkie te materyalne widoki — kiedy siła produkcyi duchowéj nietylko niezgasła z niemi razem, ale owszem pali się jak lampa w rzymskim grobie. Ileż to musiało być żywotności organicznéj w tem co już przeszło, co nieistnieje w świecie widomym, dotykalnym, kiedy z tych szczątków duchowych poprzylepianych do ruin, wieje taka świeżość poranku, takie ciepło południa?... Osobliwy ten fenomen usiłował ktoś tłumaczyć przez analogię z literaturą rzymską długo utrzymującą się na powierzchni i to nawet z pozorami kwitnienia, chociaż siła wiary chrześciańskiéj podkopała

państwo w najgłębszych fundamentach. Téj analogii dostrzedz trudno — bo niewidzę ani starych pogan, ani nowego ducha chrystyanizmu przynajmniéj w tych, coby przeciw mniemanym występowali poganom. Został tylko szpetny paradox, tem dotkliwszy, że miał być bronią skuteczniejszą, niż zwykły miecz, którym jak na Kaulbacha kartonie Hunnowie siekli się z cieniami rzymskich legionów.

Z tego widzimy ilu trudnościom podlega uznanie jakiéj literatury w świecie powszechnym i przez obcych, jeżeli własny autor niewaha się zwrócić przeciw niéj ostrza paradoxalnego dowcipu, nie już w celu potrzebnéj często przestrogi lub nagany, ale z chęcią zaprzeczenia jéj warunków istnienia.

To nas też powinno pobudzać do zaznajomienia się z dziejami innych literatur świata, abyśmy poznali na jakim punkcie stoimy, w jakim zostajemy stosunku do tych utworów co zyskały powszechne obywatelstwo, i mocą których to warunków uzyskuje się takowe. Wszakże w nauce literatur powszechnych niemożna poprzestawać na samem li rozpatrywaniu się w arcydziełach należących do chwil złotych kultury, bo niemniéj ważném jest poznanie nawet tych epok, co poprzedzały wszelkie piśmienne objawy naszéj umysłowości; — jest to bowiem wątek tradycyjnie snujący się, którego niemożna pominąć bez wsnucia weń swojéj nitki.

Jeżeli więc jaka, to ogólna literatura wieków średnich, była u nas najmniéj znaną, i jest nią dotychczas. Wszędzie, nawet w literaturach bardzo wysoko stojących, niespieszono się zazierać w tę mgłami zasutą przeszłość ochrzczoną mianem barbarzyństwa i nieuctwa. Zazwyczaj wieki przejścia moralnego i politycznego to mają do siebie, że zacierają się w pamięci epok następnych, niechcących się nawet przyznać że miały z niemi co wspólnego, lub że dużo im winny. Lepiéj to pojmujący

nowocześni historycy niezmordowani w dochodzeniu wszelkich początków, zapuścili się w badaniach nad formą społeczeństwa, jego instytucyj, zwyczajów, wyśledzili walki staczane o godność i niepodległość myśli człowieczéj w tenczas, kiedy się zdawało że tylko zwierzęcość króluje i tak po kłębku doszli w odległą starożytność trącającą o lepiéj znaną przeszłość Rzymu lub Grecyi. Oprócz zaspokojenia potrzeb badawczego ducha inne jeszcze otworzyły się widoki. Wszyscy jak jesteśmy, narody nowożytne, wykluwamy się ze średnich wieków. Tam tkwią korzenie naszego języka, naszych praw, instytucyj, obyczajów, wiary. Zaznajomić się z niemi, jedno jest co lepiéj poznawać siebie, co nasze myśli, nasze dzisiejsze wyobrażenia, ujrzeć w pierwszym zawiązku i początkowym kształcie. Dla tego też na wieki średnie zwrócił się dziś kierunek badań, zajęto się niemi z gorącem zamiłowaniem, jakby chciano wynagrodzić kilkowiekowe względem nich uprzedzenie, i zapełnić tę przerwę w naturalnym toku zdarzeń i pojęć, jaką w dziejach ludzkości i kultury zrządziła epoka odrodzenia.

Bo czemże rzeczywiście są wieki średnie, jeźli nie zarodem naszego czasu? Jak dziś, tak i wtedy ten sam niepokój w głowach i sercach takież same rzucanie się na wszystko co tworzy węzły społeczne, takież pragnienie wiary, i takież lekceważenie jéj; i dziś, jak wtedy, ogrom umiętności wyczekuje dla siebie jutra, które przeczuwa, lecz niewie jak się objawi. Tego to rodzaju powinowactwem da się wytłumaczyć entuziazm dla średniowieczności w naszém przejściowem pokoleniu znoszącem cegiełki na gmach którego końca pewno nieujrzy, którego niezna ani w ogólnym zarysie, ani w harmonijnéj całości, z téj prostéj przyczyny, że mu brakuje średniowiecznego cymentu — żywéj wiary.

Gdyby i nie ten wyższy wzgląd, to zawsze wieki średnie górują własną wartością; niema jednéj gałęzi w umiętnościach i sztukach pięknych, żeby w nich niezostawiły wspaniałych pomników. Przez długi czas obiegało to przekonanie, teraz poznajęmy jak mylne, że umysł ludzki bezpłodnością zaklęty, w ugor przez 10 wieków puszczony, dopiero ocknął się nagle w szesnastym wieku, i wyskoczył z gotową mądrością. Tymczasem wiemy co o tem trzymać. W dziedzinie umysłowéj podobnie jak w cielesnéj wszystko musi iść stałym, porządnym trybem — toż i pomysły mają koléj swego rozwijania się i dojrzewania. Duch ludzki pracuje często w cichości, w zapomnieniu, nikt go niewidzi, nieotrębuje — ale przeto praca wciąż idzie. Podobnie i wieki średnie — powierzchownie widziane, zdają się być głuchą i jałową puszczą zarosłą chwastem. W istocie zaś były bujniejsze niż wysławiana teraźniejszość, bo tworzyły, bo umiały tworzyć z natchnienia. Wiek odrodzenia zastósował tylko do powszechnego i praktycznego użytku to, co się kryło w celach klasztorów, co śpiewał włóczący się po drogach i odpustach żongler lub dziad, co zgubiony w stowarzyszeniu cechowem rzemieślnik bez pretensyi wyrabiał.

Ponieważ dzieje oświaty naszéj głęboko wrzynają się w wieki średnie, oczywista więc nasuwa się konieczność poznania tych epok i ich ducha, który że był silny i głęboki, wybitne też piętno i ostry charakter, na wszystkich prawie indywidualnościach narodów wycisnął, co się najwierniéj odbiło w licznych zabytkach piśmiennych, tem twardszych i dzikszych, im mniéj je promień chrześciaństwa przenikał.

W całym obszarze dziejów średniowiecznych poczynających się od zamętu jaki nastąpił po upadku państwa Rzymskiego, świat ówczesny dwojaką ma fizyonomię: ludy południowe i zachodnie dzieląc się resztkami rzym-

skiéj cywilizacyi, noszą charakter więcéj łagodny i towarzyski — północne zaś, nie mając nic wspólnego z temi wyobrażeniami, przynoszą z sobą inne pojęcia religijne, inny obyczaj, inny język; u tamtych szczątki ogłady, tradycye, język nawet wzięty w spuściźnie od Rzymu; u tych wszystko inne, połączone z nieubłaganą krwi żądzą, powołaną na zgładzenie nawet cienia upadłéj Romy.

Obraz literatury południowych ludów skreśliło dla Francuzów wyborne pióro Villemaina. Z otwarciem swoich odczytów wręcz on oświadczył, że nie rozumiejąc ani znając ludów północnych, odstępuje połowę przedmiotu, aby zająć się drugą częścią któréj był panem. — Tę właśnie drugą część niezapełnioną, obrobił p. Eichhoff. O niéj więc powiem słów kilka tém bardziéj, że książka jego ukazała się w polskim przekładzie pani Seweryny z Żóchowskich Pruszakowéj pod napisem: *Obraz Literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców.* Gdy wszakże sam przekład tego dzieła nie byłby dla nas dostatecznym, przeto dobrą myśl powziął W. A. Maciejowski dopełnić go swoimi ustępami tyczącymi się Słowian, których p. Eichhoff zwyczajem cudzoziemców, a szczególniéj Francuzów, zbył w sposób nie mogący nas zaspokoić, bo z temi błędami które o nich popisał w dawniejszém swém dziele: *Parallèle des langues de l'Europe et de l'Inde.* Paris 1836. Od tego czasu nic w téj gałęzi badań nie postąpił francuzki profesor.

Główną myślą p. Eichhoffa w początkowych rozdziałach *Obrazu literatury* ludów północnych, jest wykazanie stosunków zachodzących między mitologiami i językami barbarzyńskich ludów powołanych do odrodzenia Europy i religii, z mitologią i językiem Hinduzkim. Naprzód występują tu Gotowie, najpotężniejsze z plemion Germańskich. Jeden tylko został po nich pomnik piśmienny

gdy siedzieli za Karpatami, a tym jest: przekład Biblii na gockie przez biskupa Ulfilasa. Autentyczny rękopis znany pod nazwą *Codex argenteus* znajduje się, jak wiadomo, w archiwach Upsalskich. Pomnik ten służy dziś za podstawę do badań filologicznych nad początkami języka niemieckiego.

Dobrze dawniéj, Gotowie powołani przez ludy północne uciśnione od Jotów fińskich, przeszli do Skandynawii. Kiedy przypada ten przechód? — niewiadomo. P. Eichhoff utrzymuje, że się to stało w epoce wygnania z Indyów wyznawców Budhy przez tryumfujący brahmanizm. Dość, że Gotowie gdzieś od Kaukazu przyciągnąwszy, przynieśli z sobą inne wyobrażenia religijne, które się nietylko po Skandynawii ale i po Germanii rozlały. Zabytek skandynawskiéj kosmogonii i mitologii zamknięty w *Eddzie* pozwolił wyśledzić cały ten stosunek jaki zachodził między przybyłemi Gotami a dawniejszymi mieszkańcami Skandynawii i Germanii. I tak: „W Alfach czyli jeniuszach napowietrznych, których Edda mieści w górnych sferach, rozpoznano Cymbrów z plemienia celtyckiego, pierwszych przybyszów na te zimne wybrzeża; w *Cwergach* czyli karłach, Lapończyków. Z większą jeszcze pewnością odkrywamy w Jotach czyli olbrzymach, Finnów stałych mieszkańców tych okolic; w ich zapaśnikach Wanach, Wendów, praojców tutejszych Słowian; w Manach czyli ludziach, poznajemy Normanów, Anglów i Sujonów Tacyta, Saxonów i Dancionów Ptolomeusza, którzy osiedli byli po nad brzegami Baltyku. Nakoniec Asowie, zwani także Godami czyli bogami, przedstawiają Osów i Gotów, o których ci dwaj pisarze wspominają, a z których Gotowie zwłaszcza, wywarli potężny wpływ na te kraje“. —

Pan Maciejowski, który historycznemi wywodami co do Słowian uzupełnił tę książkę, rzuca w ustępie o Celtach, Germanach i Słowianach, ciekawe światło na ludy

Germańskie, wspominane i opisywane przez Juliusza Cezara i Tacyta. Uwaga jego zatrzymuje się szczególniéj na Swewach, późniéj znanych pod nazwą Słowian, którzy zrobiwszy ze sobą związek, zespolili się z plemionami teutońskiemi i zasłynęli pod nazwą swewskiego związku. — „Leży to w charakterze Niemców — powiada p. Maciejowski — że nie lubiąc siedzieć na miejscu, chodzą po świecie za chlebem; przeciwnie Słowianie, nieopuszczają swéj ziemi, chyba w najgwałtowniejszéj potrzebie. Otóż skoro raz się wdali Słowianie, z północnymi rej w Germanii wiodącymi Niemcami, włóczyć się z nimi musieli ustawicznie po Gallii, Hiszpanii, Portugalii itd. Nigdy atoli nieopuszczał swych powiatów lud cały; część tylko szła na wychodztwo, reszta pozostawała. To téż uratowało lud ten od zupełnéj zguby; zatrzymał bowiem zajętą przez siebie od wieków w Germanii ziemię, lecz natomiast utracił znaczną część cech rodowych. Z tych najgłówniejszą był język — przywykły do słuchania mowy Niemców przewodzących nad nim, zapomniał własnéj. Następnie lud ten słabszy, pomiatany od właściwych Niemców, stał się dla nich przedmiotem urągowiska. Sław, Swaw, *Swab* (przez zamianę *w* na *b* według własności słowiańskiéj mowy) *Szwab*, stawszy się pośmiewiskiem, słuchał odtąd podobnéj, od Niemca opowiadanéj o sobie gadki, jakiéj się dosyć od Polaka nasłuchał Mazur, który upewniał o tém każdego, co mu chciał wierzyć: „że Szwabi się ślepo rodzą“. —

Ten wywód p. M. ma wiele trafności, tłumacząc objaśnieniem najdawniejszych wskazówek, stosunek jednego plemienia do drugiego, niezmieniający się, mimo tylowiekowych zmian.

Dotknąłem tych rodowodów dla pokazania w jaki sposób książka ta osnuta. Chcąc bowiem mówić o zabytkach języka, o mitologiach lub pierwotnych płodach wyobraźni, trzeba było pokazać zkąd się brały te różne

plemiona, jakie przynosiły ze sobą pojęcia, i jaki związek, czy plemienny czy historyczny zachodził pomiędzy niemi.

Dla większości czytelników jest to zbyt suche, ale zawsze nauczające, bo dość łatwo pozwala rozpatrzyć się w tym zamęcie, jaki zwykle towarzyszy początkom każdego narodu. Z resztą podobne dzieło dość usposabia do czytania innych prac w tym przedmiocie, prac, mnożących się z każdym dniem, a wyświecających mnóstwo nieznanych lub wątpliwych szczegółów i całe nawet epoki. Trzeba bowiem pamiętać, że początki literatur średniowiecznych, nie są tak ściśle określone, aby do nich zawsze co nowego nie przybyło; jest to kopalnia z któréj od czasu do czasu wydobywa się jaki zabytek, obalający częstokroć raz przyjęte zdanie, lub kreślący wyraziste rysy na tle mgławego domysłu.

Jeżeli zatém badania nad pochodzeniem i przesiedlaniem się ludów, wywody etymologiczne i mityczne, podlegają rozmaitym jeszcze przejściom i tłumaczeniom — to z drugiéj strony same zabytki piśmienne, rozpoznawane bliżéj w téj książce, stanowią grunt jéj właściwy, w nich bowiem mieszczą się i wyobrażenia tych ludów, i fizyonomia ich zewnętrzna, i żywot domowy, i początki samorodnéj sztuki uwięzionéj w języku zdolnym tylko do oddania najzmysłowszych pojęć i uczuć.

Edda skandynawska, ten skład kosmogonii i mitologii północnéj, ten zbiór bohatyrskich pieśni, ocalona jeszcze w 11tym i 13 wieku przez Svemunda i Sturlesona, pomimo że Lelewel dał o niéj pierwszą u nas wiadomość, nie znalazła w Eichhoffie dokładnego i zajmującego przedstawiciela. Przeczytawszy rozdziały poświęcone Eddzie (która mówiąc nawiasem wcale nie jest poematem, tak jak nie jest poematem Geneza Mojżeszowa) nie nabywa się wyobrażenia odpowiedniego, ani o tych pieśniach, ani o tych północnych ludziach u których podobne śpie-

wy bohatyrskie mogły być pieśniami ludowemi! Jakiżbo to był ród co wyobraźnią swoją podołać mógł tym zapasom olbrzymów! Ta surowa, granitna natura Eddy, ma coś tak imponującego, tak przywalającego ogromem, jak te Tatry co na to wspięły się jedne na drugie, aby cię straszyć runięciem — co bez wstępu, bez przygotowania odrazu wystrzelając nad poziom, wprowadzają cię w jądro działania. Wszędzie w nich przemawia sama potęga przedmiotu; ozdób tu niema. Wyrazy padają jak cięcie miecza, ciężkie, jak młot spadający na kowadło. Każdy wyraz, czynem. Nad potrzebę niema pół słówka, a niejedno musi dopełniać wyobraźnia; żadnych przytém opisów, żadnych lirycznych uniesień, ani śladu zadumy; czyn kroczy za czynem; brak nawet końca, bo się go domyślać można.—Oddając cześć tym zabytkom pod względem poetycznym, gdy je uważać będziemy jako wizerunek obyczajów swojego wieku, mimowolna ogarnia nas groza. Ani jednego niespotkać tu obrazka domowego, cichego szczęścia; ani jednego rysu dziecięcéj miłości ku rodzicom. Nigdzie przykładu przyjaźni zachwycającéj nas w Homerze; a jeszcze częściéj w starohinduzkich poematach i tak uroczo odbijającéj na tle morderczych walk. Nic z tego wszystkiego, krom surowych sił pędzonych w czyny żądzą łupu, zazdrością, lub nienasyconą zemstą!...

Z przytoczonych wyjątków możnaby najlepsze powziąść wyobrażenie; lecz polski ich przekład zbyt osłabł będąc trzeciém czy czwartém odbiciem się oryginału—

Lubo p. Eichhoff poprzestał na jednéj Eddzie, jednakowoż szkoda że pominął rozbiór innego dzieła wchodzącego koniecznie w obręb jego pracy. Rozumiem tu *Zwierciadło królewskie* (Konungs-Skuggsja), ciekawy niezmiernie traktat z końca 12go stólecia, opisujący obyczaje różnych stanów społeczeństwa skandynawskiego. Są to rady ojca dawane synowi jak się ma zachować

u dworu i w świecie ażeby dojść zaszczytów i znaczenia. Osobliwy w swoim rodzaju utwór, który o cztery wieki poprzedził Castigliona i naszego Górnickiego. Zwierciadło królewskie, pełne wybornych zdań moralnych, mogłoby jeszcze być porównane z pieśnią Eddy: *Havamal*, którą bardzo trafnie kładą na równi z Hezyodowemi: Pracami i dniami. Kilka wieków dzielących te utwory, pokazałoby różnicę w cywilizacyi na północy zrządzonéj wpływem wyobrażeń chrześciańskich.

W ustępie o Bardach Gallickich i Irlandzkich szkoda że za skąpe wyjątki z bardów Gallickich i Wallijskich jak i Talisien, Merlin i t. d.; są tam bowiem ogromne poetyckie skarby. O Ossyanie, podług nowszych poszukiwań, dałoby się coś więcéj powiedzieć jak o Macphersonowych amplifikacyach w sentymentalnym tonie. — Krytycy znający ducha pierwotnych pieśni ludów, mogli śmiało wątpić że istniał jaki Ossyan na świecie; a jednak z pieśni gallickich uzbieranych przez Ossyaniczne Towarzystwo w Irlandyi, z ich pilnych wieloletnich badań, pokazało się że Macpherson wiele sobie wprawdzie pozwolił, ale wszystkiego niezmyślił. Pierwszy owoc pracy tego Towarzystwa pojawił się w dziele: *Transactions of the Ossianic Society*, gdzie p. O'kearney wydał Bitwę Gabhra, co ma być dawniejsza: Temora. Sam Ossyan nosi tu nazwę: *Oïsin*. Pieśni te więcéj dzikie jak melancholijne mają wielkie powinowactwo z bretońskiemi i jak w tamtych tak i w tych przechodzenie dusz zdaje się być głównym fundamentem wiary. Między innemi znalazłem powieść o Tuanie Mac-Koireal co pamiętał przedpotopowe czasy z wszelkiemi szczegółami; którego dusza siedziała potém trzysta lat w jeleniu, trzysta w orle, trzysta w łososiu, aż go w téj ostatniéj postaci złowił rybak i zaniósł na stół królowéj irlandzkiéj. Zaledwo skosztowała kawałek téj ryby, natychmiast uczuła się przy nadziei, i wydała na świat sła-

wnego Tuana Mac-Koiréal, który gdy przyszedł do rozumu umiał opowiedzieć dzieje kolonizacyi Irlandyi gdzie się po dwakroć rodził. — Opowiadający zaś tę historyę dodaje w najlepszéj wierze: o prawdzie jego powieści nikt ani wątpił, albowiem sam był świadkiem tych zdarzeń które opisywał ze szczegółami. —

Zwróciłem uwagę na te wyobrażenia o przechodzeniu dusz, które tak wybitnie charakteryzują powinowate z sobą utwory bardów Gaillickich, Erskich, Wallijskich i Bretońskich. Z ostatnich, przełożona kiedyś przezemnie: *Wieszczba Gwenehlana*, zawiera wyraźny ślad metempsychosy — odróżnienie to potrzebne i wyświecające; pokazuje bowiem różnicę między plemionami keltyckiemi a normańskiemi; jakoż w Eddzie i w pieśniach bohatyrskich Norwegian, Duńczyków (Kämpewiser) wyobrażenie o przechodzeniu dusz napotyka się z rzadka, i niestanowi głównéj zasady religijnéj.

W przytoczonym także poemacie Anglo-Saxońskim: *Beowolf*, wyjętym przez p. Eichhoffa z Ozanama, poemacie zasługującym na obszerne studium, nieznachodzę téj dzikiej i szorstkiej oryginalności cechującéj ten starożytny utwór. Przekład z miękkiéj prozy francuzkiéj pozbawił go reszty charakteru. Zestawmy go tylko z przekładem bliższym textu — jakaż różnica!

„Powstaje dzielny bohater, a przysłonion tarczą, groźnym hełmem na głowie, cały okryty zbroją, idzie do podnoża skały, ufny w własnéj odwadze.“

Bliżéj textu tak brzmi:

„Zerwał się z brzegu sławny woj
Z szczytem, pod hełmem, w zbroicy,
Ku skałom; w własną ufny moc
Sam stoi za się; Zły niestanie tak!“ i t. d. *)

---

*) Wyrażenie się: *Zły niestanie tak!* Mieści w sobie to głębokie

Wspaniały to ustęp téj walki Beowolfa ze smokiem nakreślony szerokiém pociągiem pióra z ożywioną dramatycznością, z precyzyją nawet drobnych szczegółów, co go więcéj do homerycznych opisów zbliża, niż do twardéj dykcyi skandynawskiéj Eddy.

Żałować należy że tłumaczka podejmująca tę pracę robiła przekłady swoje podług przekładu Eichhoffa; jéj poetyczny talent mógłby się był zbliżyć do textów, gdyby się do nich był udał.

Przechodząc do Niemiec znajdujemy starą pieśń o Ludwiku, lecz pozbawioną pierwotnéj prostoty w tłumaczeniu, niemniéj legendę przytoczoną w całości o Świętym Anno arcybiskupie kolońskim; — daléj idą pieśni Minnesingerów i poetyczna walka na Wartburgu, w któréj palmę zwycięztwa przeciw Henrykowi Ofterdingen odniósł Wolfram Eszenbach. A jednak Henrykowi Ofterdingen przypisują utwór którym się pyszni literatura niemiecka; obadwaj Szleglowie przyznają mu Nibelungi. Poemat ten, ogłoszony dopiero przed laty kilkudziesiąt nie jest wszakże pochodzenia niemieckiego; albowiem w starych pieśniach Eddy zamyka się ta cała historyja; tradycya tylko doznała znaczniejszych odmian przenosząc się ze Skandynawii do Niemiec. Byłoby ciekawe zadanie zbadać, co jest tu własnością Niemców, a co Skandynawów, czyli poprostu porównać oba poemata. Szkoda że p. Eichhoff niezadał sobie téj pracy. Jeżeli mógł rozebrać osobno *Gudrunę*, a osobno Nibelungi, czemuż niezestawił ich z sobą? A byłoby mu łatwo poszło, gdy jak wiadomo, Simrok w tym przedmiocie ogłosił dobrze napisaną i uczoną książkę. Natomiast daleko lepiéjby wypadło gdyby wiele rzeczy nieznajdowało się

---

pojęcie moralne, że tylko czyste sumienie czyni prawdziwie mężnym. Ta piękność znikła w przekładzie francuzkim, a następnie w polskim.

w dziele Eichhoffa, które w części, i to bardzo słusznie opuszczone zostały w tłumaczeniu.

Dla nas niepośledni interes mogą mieć w téj książce rozdziały napisane przez Maciejowskiego, lubo niewidzę rozumnéj przyczyny, dlaczego w całym zakresie téj literatury średniowiecznéj, mielibyśmy przodek dawać ustępom traktującym o słowiańskiéj literaturze, bardzo jeszcze niebogatéj, i niewytrzymującéj porównania z zabytkami Skandynawów, Bretonów, Anglów, Niemców? Rękopis królodworski, i Wyprawa Igora — toć i wszystko, co może się mierzyć z najstarszemi pomnikami innych ludów północnych. Ogół, poznanie wzajemnych stosunków, analogie bliższe lub dalsze, wywody objaśniające historyję płodami umysłowemi, i płody umysłowe historyją, to zawsze będzie przeważać, i przeważać powinno w obrazie literatury średniowiecznéj ludów północnych. W téj myśli skreślił też i Maciejowski dzieje i piśmiennictwo Słowian w średnich wiekach dając nam, szczególniéj w wywodach o początkach, siedzibach, przemianach niektórych plemion, mianowicie Swewów, postrzeżenia będące owocem własnych jego badań. Strona historyczna znalazła w nim biegłego tłumacza. Uważałbym wszakże co do zestawienia zabytków piśmiennych różnych plemion słowiańskich, powtórzenie tylko rzeczy dość znanych i zamkniętych w nader szczupłym zakresie. Królodworski rękopis u Czechów, Igor na Rusi, to cały grubszy materyał, tłumaczący zapewne ducha owych czasów, z tem wszystkiem niemogący się obejść bez innych wskazówek, coby nam mogły wyjaśnić jeszcze pewne zamglone stosunki i powinowactwa duchowe do innych ludów, a przytem dały zajrzeć w ten świat wyobrażeń jaki choć ustąpić musiał chrześciaństwu, długo, ledwo nie do dziś pozostał wiernym pamięci gminu. Chcę tu mówić o tych klechdach i bajkach wierniejszych tradycyi niż sama pieśń, a tem samem odnoszą-

cych się do bardzo dawnych epok. Jak wiadomo, wieleby się w nich znalazło czasów poprzedzających świt chrześciaństwa; a chociaż jak Maciejowski słusznie mówi, podania te i klechdy mocno zostały popsute przez piszących kroniki po łacinie, jednakowoż zachowały się pewne niestarte rysy, dające rozpoznać ich pierwotny charakter. Szczególniéj byłoby to na miejscu w rozdziale: *O cywilizacyi Polaków, i o początkach ich poezyi*, gdzie miasto takiéj charakterystyki, natrafiamy na pieśń niemiecką opiewającą zdarzenia w Polsce pod Bolesławem Krzywoustym. — Nieprzeczę gdyby w jakim starym kodexie znalazła się choćby po niemiecku, pieśń z tych czasów, a pieśń malująca bohatyra naszego, lub zdarzenie historyczne — śmiało moglibyśmy ją policzyć do zabytków ściśle związanych z pierwotną literaturą polską. Lecz przypadek ten niema tu miejsca. Przytoczona pieśń *w oryginale* niemieckim o bojach Krzywoustego, jak M. powiada „pochodząca z Pomorza“ — niema nic a nic za sobą coby przemawiało że z jedynastego wieku pochodzi, bo ani duch jéj nieodpowiada epoce, ani zwroty myśli, a najmniéj sposób pisania i język. Jest to jakaś zapewne mistyfikacya, nawet bez wielkiego wysilenia dokonana; bo czytając tę pieśń zdaje ci się, sądząc po sentymencie, że ktoś ją napisał co się wczytał w Śpiewy historyczne Niemcewicza. Dla tego niepomału się zdziwiłem ujrzawszy ten *oryginał* niemiecki obok Eddy Beowolfów, Nibelungów i t. d.

Jeżeli niedoszły do nas historycznych pieśni ułamki, sięgające pierwotnych czasów, trudno na to poradzić, nawet narzekaniem na łacinę, która wyprzeć miała *kirylicę*, a z nią i pieśni naszych gęślarzy tym charakterem spisane — i być to wszystko mogło, i wierzę że było; bo piętno jednéj epoki wszystkim się ludom udziela w sposób często niedocieczony. Miały inne narody swoich Trubadurów, Minnezingerów, Bardów, i my

ich mieliśmy; w to wierzę; ale nie wierzę w *niemiecki oryginał* pieśni z Pomorza.

W rozdziale: *Ruś i poezya jéj najdawniejsza* spodziewaliśmy się czytać krom wyjątków z Igora, coś obszerniéj o tych starożytnych poematach pozbieranych przez Kirszę Daniłowa a opiewających wyprawy bohatyrów Włodzimierzowych. Przyczynek ten do obrazu ówczesnéj literatury niezmiernie byłby na miejscu, tém więcéj że się nastręczało piękne pole do porównawczych uwag. Przecież w tych skazkach pomimo wszelkich wielowiecznych naleciałości, tak wyraźnie odbija się duch zagi islandzkiéj! Te Dunaje, Popowicze, Dymitry znalazłyby może powinowatych w Sigfridach, Ginterach, Sigurdach.

Podobnież w rozdziale poświęconym Czechom więcejby się dało powiedzieć o ich literaturze. Utwory Tomasza z Szczitna i Smila z Pardubic, mianowicie ostatniego: *Nowa Rada* która zajmuje wcale niepoślednie miejsce w średniowiecznéj epopei zwierzęcéj, zasługiwały na bliższe omówienie, tem pilniéj, że te rzeczy mało są u nas znane. W 14 i 15 wieku Czesi wybornie w swoim ojczystym języku pisali, podczas kiedy u nas panowała tylko łacina.

Może niesłusznie wytaczam sprawę o to, czego brakuje w tém dziele; lecz słysząc już od dawna zapowiadany po dziennikach przekład Eichhoffa, a nadewszystko ważne dodatki p. Maciejowskiego o literaturach słowiańskich, cieszyłem się na owoce jego poszukiwań, na nowe poglądy, ciekawe zestawienia jednych zabytków z drugiemi — wszakże w oczekiwaniu mojem krom historycznych kilku wskazówek i objaśnień za które uczonemu mężowi podziękować należy, nieznalazłem żadnych nowych studiów — chyba ów *oryginał* pieśni przybyłéj z Pomorza.... Nieodbiera to jednak wartości tej pracy, która w niedostatku książek o literaturze śre-

dniowiecznéj, bardzo dobrze może przygotować chcącego się rzetelniej kształcić czytelnika.

Jeślim dotąd zatrzymał się nad niektórymi punktami i wykazywał w nich niedostatki mogące być zapełnionymi z łatwością, to z drugiéj strony nieprzychodziło mi zetrzeć się często z mylném zdaniem, lub fałszywém wyobrażeniem szczególniéj w ocenianiu płodów piśmiennych, z czego Eichhoff dość szczęśliwie wychodził. Niemogę jednakże pominąć uwagi wyrzeczonéj w rozdziale XXXVIII, mówiącym o pieśni ludowéj Słowian w stosunku do niemieckiéj, która brzmi: „Tak zwane ludowe zachodniéj Europy piosnki, są ludowemi o tyle tylko o ile od rymopisów lub wieszczów przeszły do ludu, o ile się jak mowimy, spopularyzowały, brzmiały w jego ustach, będąc przy odgłosie lutni, lub téż luźno powtarzane.“ — Powyżéj zaś, podniosłszy najwyżéj pieśń gminną słowiańską, powiada, że te wewnętrzne jéj przymioty postawiwszy ją w sprzeczności z poezyą reszty Europy, sprawiły że *nigdzie prócz u nas nie mogło być ludowych pieśni.*“

Takie zaprzeczenie przymiotów tworzenia pieśni gminnéj ludom zachodnim a przypisanie ich wyłącznie tylko Słowianom, pokazuje że szanowny historyk dotyka rzeczy, któréj dość może nie badał.

Weźmy tylko jedną Francyę z rozlicznemi jéj prowincyonalizmami, a przekonać się łatwo, że tam pieśń krąży dwojakiéj natury: — jedna w języku cywilizowanym, robiona przez takich rymopisów lub wieszczów, która spopularyzowawszy się, obiega z ust do ust — druga w narzeczu prowincyonalnym (patois) stworzona przez pierwszego lepszego parobka przy winobraniu lub na kiermaszu — słowo w słowo jak u Słowian. Dla tego nie pomału zdziwiło mię to zaprzeczenie, kiedy mi znane są bardzo dobrze piosnki w narzeczu Limuzyńskiém, Gaskońskiém, Pikardzkiém, Burgundzkiém, Baskij-

skiém. — Przymioty ich w pewnym względzie są te same, co naszych piosnek; są i rzewne, i rubaszne i tłuste, i hulackie, i szydebne, i obrzędowe, a nawet w balladycznym tonie. — Te ostatnie mogą być spuścizną po Truwerach, podobnie jak w Bretanii prześliczne pieśni opiewające jakąś dłuższą przygodę rycerską niezawodnie dostały się do gminu za pośrednictwem ich bardów i kloarków.... jak to sami często przypominać lubią; chociaż ci włóczący się śpiewacy, niczem się prawie nie różnili od gminu, podobni w tem do naszych ukraińskich lirników, lub serbskich gęślarzy. Z tego względu ośmieliłbym się utrzymywać, że nasze stare pieśni te, o których p. Maciejowski powiada że mogły być kirylicą pisane i dla tego zginęły — jeżeli tylko składane były przez gęślarzy uprzywilejowanych, niezawodnie przechowały się w uściech gminu i kto wie czy niedałyby się wydzielić od innych zwykłych płodów muzy sielskiéj — ton ich powieściowy, epiczny tak zwany balladyczny — stanowi tu wyraźną cechę. —

Czułem się w obowiązku wystąpić przeciw twierdzeniu które uważałem za mylne, chociaż niby pochlebiające plemiennéj dumie — ale mniejsza o ten zaszczyt spływający z piosneczki gminnéj, byle na żywotniejszych i droższych nieszwankować pamiątkach.

Lucyan Siemieński.

REFORMY

I POLITYKA EUROPEJSKA.

O'Donnell czy Espartero?.. Kwestya rządowa w Hiszpanii tak postawiona pierwszemi wypadkami w Madrycie, obudziła ogólne w Europie zajęcie. I nie dziw, bo zawsze rozprawa o siłę wywołuje powszechną uwagę, i tłumi chwilowo wszelkie inne uczucia. Kiedy idzie o to kto mocniejszy, ciekawość stawa zawsze w pierwszym rzędzie widzów, obok niéj a raczéj za nią dopiero chęć niesienia pomocy słabszemu, a na trzeciem dopiero miejscu pytanie: przy kim słuszność i prawo? Aby się o tém przekonać, dość wyjrzeć przez okno, kiedy dwóch ludzi bije się na ulicy. Natura ludzka nie zmienia się ze zmianą sfery wypadków, ani z wysokością stanowiska z jakiego im się przyglądać wypada.

Zajęcie to osłabło niebawem. O'Donnell utrzymał się w Madrycie. Dalsze wypadki przekonały wkrótce, że przedmiotem walki nie była wcale przewaga jednego lub drugiego ministra, ani nawet prawdę mówiąc prze-

waga jednego lub drugiego stronnictwa; ale że w gruncie rzeczy chodziło o przeprowadzenie reform społecznych w kierunku uważanym przez jednych za zbawienny, przez innych za zgubny.

I dla tegoż to miało ostygnąć w Europie zajęcie dla sprawy hiszpańskiéj? Czyliż ów wyraz „reforma“ owe godło czarodziejskie, które w r. 1848 tak ogólny ruch wywołało, miało już do tyla cały swój urok w opinii europejskiéj postradać, aby ta na widok zapasów gdzie idzie o reformy odwracać się miała? Czy reformy już nie obchodzą społeczności, lub téż czy systemat polityczny takowych przypuszczać niedozwala?

Przeciwnie; nigdy może więcéj, nawet we wspomnianym powyżéj roku nie było tyle słychać o reformach co obecnie. Przeprowadzają reformy na największą i najmniejszą skalę: polityczne i społeczne, handlowe i przemysłowe; wszystko się do nich liczy. Każdy dekret i postanowienie, zakłady i spekulacye, koleje żelazne i telegrafy, zgoła wszystko, każdy ruch, każdy rzec można krok rządów kładą na karb reform. Wszystko odbywa się pod tém hasłem. Cywilizacya podana jako główny kierunek dzisiejszéj społeczności, składa się z samych reform. Wojna prowadzona była w tym duchu, aby w Turcyi ustalić reformy; w tymże duchu zawarty i pokój paryzki.

Systemat polityczny europejski dzisiejszy, nietylko więc nie przeszkadza reformom, ale przeciwnie sprzyja im niezaprzeczenie. Oparty na idei państwa wymaga nawet reform równie radykalnych, może nawet ogólniejszych aniżeli teorye niektórych socyalistów. Jeden tylko kładzie im warunek, to jest: zgodność z ideą która jest jego podstawą. Reformy są przeto konieczne, widzimy więc że same rządy przeprowadzają je administracyjnie. Reformy społeczne idą z góry a nie z dołu, w kierunku naprzód wytkniętym i obrachowanym, o ile następstwa

reform społecznych obrachować się dadzą. Postępując w jednym kierunku, przybierają rozmaite barwy, używają rozlicznych sprężyn, występują w imieniu cywilizacyi, dobrego bytu, bogactwa krajowego, kredytu, ale w końcu zlewają się zawsze w idei państwa jakby w ognisku, dodając jéj ciągle nowych sił i żywiołów. Dowodów na to znajdzie każdy podostatkiem, ktokolwiek z tego stanowiska zwrócić zechce uwagę na politykę wewnętrzną i zewnętrzną mocarstw europejskich, nie tylko teraźniejszą ale nawet chwilową. Wszędzie ujrzy on państwa na drodze reform, dobrowolnych lub koniecznych, przedsięwziętych z własnego popędu lub okolicznościami nałożonych. Wszystkie prawie kwestye polityczne, trudności, spory które w téj chwili zatrudniają dyplomacyę, opierają się na reformach żądanych, obiecanych lub wymaganych. Mały przegląd w téj mierze posłuży za skazówkę i objaśni powyższe założenie.

O polityce francuzkiéj mówić zdaje się zbytecznem. Francya przewodniczyła zawsze reformom. Bonaparte przejął był całą spuściznę rewolucyi francuzkiéj, a Napoleon III wziął spuściznę cesarstwa i dodał reformy jakich rok 1848 po nim wymagać się zdawał. Dążenia ku równości zaspokoił centralizacyą jakiéj jeszcze Francya nie miała. Wybory powszechne wydobył z więzów teoryi, wprowadził na pole praktyki, lecz je uorganizował i zrobił narzędziem państwa. Nie starał on się bynajmniéj powstrzymać owego prądu społeczności ku stowarzyszeniom, prądu tak gwałtownego, że wywrócił jednym zamachem monarchię Ludwika Filipa, ale dając mu nowy popęd, nowy także nadał mu kierunek. Urządził stowarzyszenia na olbrzymią skalę, lecz na drodze spekulacyi i przemysłu. Bankiety które monarchia lipcowa zakazać chciała dozwolone są za cesarstwa, ale tylko kapitały zasiadać w nich mogą, wpra-

wdzie i najmniejsze przypuszczone są do udziału w biesiadzie, ale zawsze tylko kapitały. Ruch temi stowarzyszeniami wywołany opiera się na kredycie, a kredyt obsługuje państwo. Jakże ogromnych reform, i jak wiele takowych potrzeba było na dokonanie tego wszystkiego w przeciągu lat kilku! To też niema prawie żadnego dekretu cesarskiego, któryby nie miał na celu jakiéj reformy, nie kazał się takowéj domyślać, nie wiązał się do jakowéj lub nie był jéj uzupełnieniem. Każda mowa cesarska jest niemal reformą w polityce wewnętrznéj, lub zapowieścią reformy w polityce zewnętrznéj, i z tego też powodu tak ogromny zawsze w Europie znajduje rozgłos.

W Anglii widzieliśmy także często reformy, widzieliśmy ich kilka nawet w ostatnich trzydziestu latach, i to ważnych, ale nigdy na taką skalę i w takim kierunku, jak ta która się obecnie gotuje. Mądre reformy były cechą trwałości konstytucyi angielskiéj, przodkowanie w nich zasługą arystokracyi, a umiarkowanie w żądaniach chlubą narodu angielskiego. Reforma tak zwana administracyjna, która w ostatnich latach nieraz nad interesami wojny w parlamencie górę brała, dla któréj, aby tylko wykazać jéj potrzebę, dzienniki częstokroć poświęcały i honor kraju i sławę wojska, inne ma całkiem od reform poprzednich znamiona, inne też całkiem musiałaby mieć następstwa, gdyby do skutku przyszła. Kiedy tamte jakkolwiek nader ważne, jakoto przyjęcie katolików do parlamentu, reforma zbożowa, były zawsze jednak tylko wyjątkiem, poprawką lub dopełnieniem konstytucyi angielskiéj, albo zadość uczynieniem rzeczywistemu interesowi Anglii, reforma administracyjna uderza wprost na konstytucyę, tak iż pojąć trudno, jakby się takowa obok niéj ostać mogła. Kiedy w innych reformach arystokracya po dostateczném zgłębieniu opinii publicznéj brała zawsze inicyatywę choćby

nawet na swoją niekorzyść, tu uczynić tego nie może, bo w reformie administracyjnéj widzi swą zgubę i konieczny wraz z konstytucyą upadek. Broni się więc ta wiekowa instytucya przewidując następstwa, a stronnicy reformy na widok téj obrony obmyślają inny sposób na jéj przeprowadzenie. Radykaliści wzmacniają koronę aby osłabić arystokracyę, powstają na jéj przywileje, i aby dojść do celu poświęcają *self government* dla centralizacyi. Nie małą znajdują pomoc w przymierzach przez Anglią zawartych; wymagają od rządu aby wszędzie popierał reformy nibyto liberalne, ale w gruncie centralizacyjne, a tak wszelkie ich usiłowania w polityce wewnętrznéj i zewnętrznéj idą na korzyść idei państwa.

Reformy jakie Austrya w przeciągu ostatnich lat ośmiu dokonała, są tak widoczne, postępy jakie uczyniła we wszystkich gałęziach przemysłu, handlu, zakładów kredytowych są tak uderzające, że gdy Francya w bliższych podczas sprawy Wschodniéj z Austryą zostając stósunkach, rozpatrzeć się w nich większą miała sposobność, spostrzeżenia te napiętnowane były najwyższem zadziwieniem. Zdawać się mogło czytając dzienniki francuzkie że jakieś nowe zrobiono odkrycie. Rzuciły się ku Austryi spekulacye, pośpieszyły obce kapitały. Pomimo rozsądnéj tamy przez rząd stawianéj, wywiązał się ruch ogromny w dziedzinie kredytu i przedsięwzięć. Obok wewnętrznych reform, przymierza z Francyą i Anglią i sprawa Wschodnia sprawiły, że i polityka zewnętrzna Austryi wybitniejszą niż pierwéj w tym kierunku przybrała barwę. Dowodzi tego kwestya bieżąca o reformy w Neapolu i stanowisko jakie w niéj zajął gabinet wiedeński.

Wszakże co się tyczy ogólnéj dążności do reform, najlepszym może przykładem jest Rosya. Reformy wydają się w téj chwili tak nieodzowną w polityce ko-

niecznością, że lubo żadna jeszcze w tem państwie nienastąpiła, dość jest wymienić Rosyą dla większéj części Europy, aby natychmiast odpowiedziano wyrazem **reformy**. Zgon cesarza Mikołaja odbił się w całéj Europie wyrazem: reformy. Cesarz Aleksander od wstąpienia na tron uosobił nadzieję reformy. Od pierwszego manifestu oczekiwano zmiany: na kongresie paryzkim Rosya zasiadała z aureolą przewidywanych reform; od chwili wydania drugiego manifestu nikt już o takowych nie wątpił. W każdym kroku Monarchy rosyjskiego chciano upatrzyć spełnienie tych powszechnych dążności. Rozczarowania dotąd na nic się nie przydały. Reformy w Rosyi są ciągle na porządku dziennym; są przedmiotem ciągłych rozpraw dziennikarskich, a nieraz ciekawych dyskusyj.

Do najciekawszych policzyć można tę jaką niedawno odbyły dwa dzienniki, których sympatyom dla Rosyi zaprzeczyć nie można, które uchodzą nawet oba za organa rosyjskie: *Gazeta Nowopruska* tak zwana *Kreuzzeitung* i belgijski *Le Nord*. Gdy dwóch się kłóci korzystać może trzeci, mówi bajeczka Fedra, jako sens moralny. Nie od rzeczy więc może będzie idąc za bajeczką, przytoczyć artykuł z *Le Nord* reasumujący tę rozprawę aby korzyść w naukę zamienić. Owóż artykuł ten bez najmniejszéj zmiany brzmi jak następuje:

Gazeta Nowopruska w numerze z 3go sierpnia ogłasza korespondencyą datowaną przez nią z Petersburga, któréj dążność podnieść obowiązani jesteśmy. Sprawozdanie to tak się zaczyna:

Nadzieje naszych liberałów — a Bogu najlepiéj wiadomo czy trudno o egzemplarze tego ciekawego rodzaju ludzi nad brzegami Newy — nie ostygły jeszcze nawet po nauce jaką odebrały w Warszawie. Wołano gdy Cesarz zwiedzał Polskę, iż oczekiwać wypada reform politycznych radykalnych, że tam (to jest w Warszawie) ogłoszone zostaną wielkie zasady, według których przebudowany ma być no-

wy porządek rzeczy w Rosyi. Czekano więc na skutek tych szumnych obietnic, ale czekano napróżno. Dzisiaj znowu powtąrzają że to co się nie stało w Warszawie, stanie się niezawodnie w Moskwie i sprawi tém głośniejsze wrażenie. Korespondent wasz nie wierzy téj przepowiedni, tak jak nie wierzył pierwszéj.

Trudno pojąć jaki interes skłonić mógł dziennik o którego sympatyach dla Rosyi powątpiewać nie można, do podniesienia téj kwestyi, kwestyi w téj chwili przynajmniéj niewczesnéj. Sądzimy przeto że autor téj korespondencyi wstępem powyższym chciał niejako przystąpić do przedmiotu, aby następujące zamieścić ocenienie położenia rzeczy:

Rosya *nie może* zmienić swego systematu rządowego bez wywołania strasznych niebezpieczeństw dla swego bytu; ogół narodu *niechce* zmiany systematu, bo uznaje oczywistość tego niebezpieczeństwa. Nowa era w Rosyi będzie mogłą ulepszyć wiele rzeczy, zmienić, znieść, odnowić niektóre, nigdy atoli nie będzie w stanie zerwać zupełnie z tradycyą, z obecnym stanem państwa. Gdyby panowanie cesarza Mikołaja zamknęło się było w pośród tego uroku że potęga rosyjska jest niezwyciężoną, gdyby jego następca nie był odebrał dziedzictwa pełnego ciężarów i niebezpieczeństw, możeby wtedy, na wzór tego co się działo przy innych zmianach panowania, można było pomyśleć o ustąpieniach lub oktrojowaniu reform przechodzących nawet granice polityki prawdziwie zachowawczéj.

Któż to w Rosyi żąda lub życzy sobie zmiany systematu rządowego? Lecz co się tyczy reform stósownych do poskromienia nadużyć, wzrostu bogactwa, dobrego bytu materyalnego i moralnego w kraju, to rzecz całkiem inna. Cesarz Aleksander pierwszy żąda takowych i chce takowych; piękny jego manifest dostatecznie tego dowodzi. Czyż rząd nie może być zachowawczym chyba pod warunkiem aby nic w kraju nie ulepszał? I gdzież to korespondent *Gazety Nowopruskiéj* upatrzył ową sukcesyą pełną niebezpieczeństw do któréj powołany był Cesarz Aleksander? Jakimże z resztą przypadkiem, dziennik któremu rzeczywistéj wartości odmówić nie można, zdołał pomieścić w dwóch wierszach tyle

sprzeczności? Powiada „że nowa era będzie mogła ulepszyć wiele rzeczy, zmienić, znieść, odnowić i t. d.“, a daléj zaprzecza cesarzowi Aleksandrowi możności „oktrojowania reform“; mówi o potędze niezwyciężonéj rosyjskiéj za cesarza Mikołaja, a nieco daléj obwinia Rosyę „o dumne marzenia nad swą wyższością wojskową“.

Autor artykułu widocznie jest w niepewności, nie wié dobrze co powiedzieć może i powinien; wydaje się jakoby myśl jego wahała się między przeszłością ku któréj ma sympatye a teraźniejszością dla któréj ich niema. Wszakże nieco daléj, zamiary jego objawiają się bardzo jasno:

Inni panujący, dodaje on, przeszli ową szkołę przeciwności dopiero po kilku latach panowania. *Ale Cesarz Aleksander musiał przebyć te próby zaraz za pierwszém na tron wstąpieniem, a takowe doświadczenia obudzają przezorność.*

Podkreślamy ten ostatni okres, albowiem myśl w nim wyrażona wydaje nam się być równie podstępną jak bezzasadną. Nieprzeczymy że cesarz Aleksander miał do przebycia próby wstępując na tron; lecz próby te, jakkolwiek mogły być twarde w chwili w któréj je niebo zsyłało, pozostawiają wrażenia których doświadczyć nie każdemu panującemu jest dane. Wzmacniają one i upiększają całe panowanie. Cesarz Aleksander wstępując na tron, miał szczęście widzieć cały naród rosyjski cisnący się około siebie, aby walczyć i znosić to, co on sam znosił i o co sam walczył. W tym ścisłym związku, w tém uroczystém zetknięciu się, dusza panującego zlała się z duszą całego swego ludu; dla jednego i drugiego wypadła ztąd zobopólna sympatya, zaufanie bez granic i przywiązanie trwalsze nad wszelkie przeciwności.

Lecz nie dość na tém *Gazecie Nowopruskiéj*. Ciągnie ona daléj swą krytykę, i gani *Inwalida rosyjskiego* za to że ten dziennik „powtarza z zupełną swobodą krytyki „jakie sobie nawzajem przesyłają jenerałowie rossyjscy „co do działań podczas ostatniéj wojny“ i cytuje nazwiska tych jenerałów, którzy ogłosili w tym dzienniku artykuły tyczące bitwy nad Almą w któréj czynny wzięli udział. I cóż w tém wszystkiem dziwnego? Za-

rzucano dotąd rządowi rosyjskiemu iż obawia się usłyszeć prawdę i fałszuje historyę. Dzisiaj przeciwnie, rząd ten szuka prawdy, i to mu mają za zbrodnię? bo *Gazeta Nowopruska* sama pierwsza utrzymuje, że *Inwalid Rosyjski* „redagowany przez urzędników z wydziału „wojny, niebyłby ogłosił dyskusyi nad tak ważną kwe„styą, gdyby do tego niebył od cesarza upoważnionym." W bitwie nad Almą popełniono błędy, które pozwoliły sprzymierzeńcom postąpić w głąb kraju. Rosyanie pierwsi uznali te błędy; opinia publiczna w kraju mocnego doznała z tego powodu wzruszenia, i przez to samo wielkie zajęcie obudziły w Rosyi opowiadania różnych zdarzeń zaszłych w tym wielkim dramacie wojennym. Rząd aby zaspokoić tę słuszną ciekawość publiczności, zostawił wolne pole dyskusyom, aby się prawda przebiła a błędy przeszłości posłużyły za naukę na przyszłość. Cóż prostszego, cóż mędrszego? Ale *Gazeta Nowopruska* nie jest tego zdania; wyszydza ona w ten sposób „ową wojnę na pióra stoczoną *coram po„pulo* z powodu wojny rzeczywistéj:"

Ze starcia się opinij, pisze ona, wytryska prawda. Dalibóg zaczynamy już widzieć jasno, tak jasno, że aż oczy bolą. Jeźli tak daléj potrwa, — a mówią już o nowych broszurach w tym samym przedmiocie — to nasza prasa pomimo braku wolności, uposaży nas nierównie prędzéj aniżeli prasa zachodnia, prawdziwą historyą téj pamiętnéj kampanii.

Przyjdzie czas, gdzie i ja z kolei będę mógł opisać wam owe pasmo naszych nieszczęść, nieporozumień, okoliczności fatalnych które się na nas spiknęły. Zamierzam sobie atoli pracować gdy materyały uzupełnię i będę je miał pod ręką. Zbieraniem tych materyałów, czynnie się zajmują współpracownicy *Inwalida.*

No i cóż z tego? dowodziż to czego innego jak tylko, że korespondent zostający w błędzie, bo niechcemy wątpić o czystości zamiarów które go w przedsięwzięciu ożywiać będą, zabierze się wtedy do pracy z pomocą materyałów których mu przynajmniéj tym razem sama Rosya dostarczy? Może być spokojnym że się wtedy nie pomyli, tak jak się myli teraz i co do faktów i co do prawdziwego ducha jaki w Rosyi wszystkich ożywia, tak dobrze naród jak panującego.

Nie będziemy poszukiwać w jakim celu *Gazeta Nowopruska* ogłosiła tę korespondencyę; lecz oświadczyć się nie wahamy że opinie w niéj wyrażone sa fałszywe a dążność do pożałowania. *Gazeta Nowopruska* jest bezwątpienia dziennikiem zasługującym na szacunek, i poważamy ją téż wielce, ale zarazem jest ona organem stronnictwa, z czego wypada, że w ocenieniach jéj ludzi i rzeczy które jéj mniéj są znane, przebijają się obawy do jakich słusznie zapewnie względem swego kraju się poczuwa. Zdaje nam się jednakowoż, że dziennik ten doszedłby do wypadków nierównie pewniejszych i korzystniejszych dla sprawy porządku i pokoju, gdyby zamiast łamać sobie głowę nad sposobami straszenia rządów przez stawianie im przed oczy upiorów, które w Rosyi przynajmniéj są tylko widmami, wskazywał im przeciwnie błędy, które przez nich popełnione, mogą sprowadzić te niebezpieczeństwa, jak niemniéj środki za pomocą których można je uprzedzić lub odwrócić.

Szkoda zaprawdę że *Le Nord* niechciał „poszukiwać“ jaki cel mogła mieć *Kreuzzeitung* w zamieszczeniu owéj korespondencyi, którą jak się złośliwie wyraża „datowała z Petersburga“. Przez szczere odkrycie owego ukrytego zamiaru swéj koleżanki, dziennik belgijski byłby sobie oszczędził słabych rozumowań i wyjaśnił kwestyą. Słabem rozumowaniem wydają się być oskarżenia *Gazety Nowopruskiéj* o sprzeczność w jednym i tym samym artykule. Braku loiczności zarzucać jéj nie można; prędzéj grzeszy ona zbyteczną w polityce, a zwłaszcza w swych widokach politycznych konsekwencyą. Niema w tem sprzeczności żadnéj, gdy mówi że „Rosya systematu rządowego zmienić nie może“, a daléj „że może tu i owdzie ulepszać i zmieniać“. *Kreuzzeitung* wie dobrze, że zmian istotnych czyli reform niepodobna dokonać bez zmiany systematu, i można być w tém jej zdania. Ogłoszenia bardzo ograniczonéj amnestyi, przyzwolenia na obsadzenie kilku biskupstw oddawna osierociałych, upoważnie-

nia do budowania jednéj lub drugiéj kolei żelaznéj, to jeszcze nie są reformy w oczach berlińskiego dziennika, jakkolwiek za takie one dzisiaj powszechnie uchodzą, i jako takie zapewne zadawalniają *Le Nord* chociaż utrzymuje on, że kwestya o nich jest „niewczesna.“ Możnaby się zapytać: czemu? skoro taką ma pewność, że Rosya w reformach postępować zamierza.

Również słabem rozumowaniem wydaje się ze strony belgijsko-rosyjskiego organu owe zaprzeczenie postawione w obec twierdzenia *Gazety Nowopruskiéj* „że dziedzictwo odebrane przez cesarza Alexandra pełne jest ciężarów i niebezpieczeństw“ które utrudniają reformy; że „próby przebyte za pierwszem na tron wstąpieniem obudzają przezorność.“ *Kreuzzeitung* głęboko jest wtajemniczona w wewnętrzne sprawy rosyjskie, i wierzyć jéj można gdy mówi o trudnościach jakie nowy panujący miał do zwalczenia i wrażeniach jakie one na umyśle jego sprawiły. Wiadomo zresztą powszechnie, że nie wszystkie umysły w Rosyi były za prowadzeniem wojny, tak jak nie wszyscy może życzyli sobie zawarcia pokoju. I tego prawda dowodzić nie potrzeba, że naród rosyjski wytrwały jest w przeciwnościach i broni swéj ziemi mężnie i z poświęceniem. Ale w téj chwili nie o to tu chodzi, wie o tém dobrze *Le Nord*, a cóż przeciw twierdzeniu *Gazety Nowopruskiéj* przytacza? Oto że „cesarz Aleksander widział naród cisnący się około siebie aby walczyć i znosić to co on sam znosił i o co sam walczył;“ że stąd „ścisły wywiązał się związek między panującym a ludem“; i wnosi że „podobne próby wzmacniają i upiększają całe panowanie.“ Być to może, ale to pewna, że naród rosyjski już przez cesarza Mikołaja do obrony kraju był powołany i stawił się jak to zawsze czyni; że w rozprawie z *Gazety Nowopruskiéj* idzie o następstwa a nie o samą wojnę, o politykę a nie o uczu-

cia. Frazesy pompatyczne niczego nie dowodzą, a dowodów *Le Nord* nie dostarcza.

Owóż tych i tym podobnych rozumowań bez żadnéj doniosłości, byłby uniknął dziennik belgijski gdyby nie cofając się przed „poszukiwaniami“ ocenił był jak należało, stanowisko swego przeciwnika, a niedotknął go tylko mimochodem. *Kreuzzeitung* ma niezaprzecznie sympatye dla Rosyi ale jest przedewszystkiem organem stronnictwa krzyżowego. Polityka jéj jest zawsze pruska, ale w widokach tego stronnictwa. Utrzymuje ona stronę Rosyi, ale Rosyi takiéj jakiéj stronnictwo to potrzebuje, aby się na niéj opierać mogło; przeciwne reformom w Prusiech nie chce aby nawet przypuszczać można, że w Rosyi będą takowe. Dla tego też utrzymuje bezwzględnie „że nikt w Rosyi niechce zmiany systematu,“ to według niéj znaczy jedno co że nikt w Rosyi niechce reform. Uwagi jéj przeto jakkolwiek z wielu miar trafne, tracą na ważności o tyle, że nie pisze ona o Rosyi *jaką jest* ale *jaką chce żeby była*, że nie mówi o Rosyi w duchu rosyjskim, ale w duchu stronnictwa pruskiego. *Le Nord* atoli wyświecając ową słabą stronę *Gazety Nowopruskiéj* wystawiał się na odpowiedź, że i jego zdania o Rosyi nie są rosyjskie w prawdziwém znaczeniu, że są niemi może mniéj jeszcze, aniżeli zdania jego przeciwniczki. Przeznaczeniem belgijskiego dziennika jest przedstawiać Rosyę i jéj politykę, nie taką jaką jest w istocie ale taką jaką chce być na zachodzie przedstawianą. Uznaniu téj potrzeby przez Rosyę zawdzięcza *Le Nord* swe istnienie. Zachód spodziewa się reform po Rosyi, interesem jéj jest aby rachowano na spełnienie tego oczekiwania; *Gazeta Nowopruska* artykułem swoim osłabiała te nadzieje, bo jako organ rosyjski, wielkiego używa na Zachodzie wzięcia; *Le Nord* przeto wystąpić musiał *ex officio* — wystąpił jak mógł. Ale ani jeden ani drugi z tych dzienników nie

przemawiał o reformach w Rosyi w duchu rosyjskim, ani też z przekonania. Była to polityka rosyjska na zachodniem polu i według widoków stronnictwa krzyżowego.

Z tego przeto, że *Gazeta Nowopruska* niechce aby w Rosyi były reformy, a *Le Nord* stara się aby wierzono że takowe są i jeszcze większe będą, niewypada wnosić aby rząd rosyjski nie miał zamiaru pewnych zmian zaprowadzić. Dowodem tego najlepszym właśnie *Inwalid Rosyjski*. W postępowaniu tego dziennika upatruje *Kreuzzeitung* symptomat zamierzonych reform, i słusznie ją drażni wolność udzielona wyjątkowo temu pismu do przedstawiania błędów popełnionych w ostatniéj kampanii i doznanych niedostatków, którym nadal zaradzić należy. Błędy te i niedostatki na jaw wykryte przekonać mają naród rosyjski o potrzebie reform, raczéj niż służyć za naukę w przyszłości jak pisze *Le Nord*; przygotować go do znoszenia nowych ciężarów— bo reformy nawet korzystne w następstwach bez powiększenia chwilowego podatków nie obejdą się — raczéj aniżeli służyć za materyał do prawdziwéj historyi. *Kreuzzeitung* uderzając na ową politykę rządu rosyjskiego, waży na szali korzyści jakie państwo z przeczuwanych przez nią reform odnieść może, ze szkodą, która dla niego wyniknie przez osłabienie u ludu wiary, że Rosya jest niezwyciężoną a władza nieomylną. Wierna swoim zasadom, szkody nierównie większe jéj się wydają niż korzyści.

Lecz bądź co bądź, Rosya podobno nie zdoła uniknąć następstw, jakie ze sprawy wschodniéj i z odbytéj wojny dla niéj wypadają. Porwana prądem polityki dzisiejszéj, zmuszona będzie pójść w kierunku tak zwanym cywilizacyjnym i prędzéj czy późniéj przedsięwziąć reformy. Są one dla niéj nieodzowne, prawie konieczne, aby stanąć na równi z innemi państwami. Nie ma tu

mowy o takich reformach, któreby odrazu zmieniły system rządu, lubo niektóre z tych nawet jakie *Le Nord* przytoczył, jak naprzykład reforma w administracyi czyli wykorzenienie wiekowych nadużyć, niedałyby się bez zmiany systematu przeprowadzić, a przeprowadzone musiałyby w końcu do tego przywieść rezultatu; — ale o takich jakich wymaga udział w ogólnym ruchu europejskim. Rosya nie może pozostać obcą reformom wymaganym przez ducha przedsięwzięć, spekulacyi, przemysłu, handlu; jakich żąda napływ obcych kapitałów, koleje żelazne, telegrafy; słowem zezwolić będzie musiała na reformy aby nie stracić stanowiska przeważnego w systemacie politycznym dzisiejszym, w którym każdemu państwu wszystkie te żywioły za narzędzia służą. Skoro zaś raz wstąpi na drogę reform, nikt powiedzieć nie zdoła gdzie się zatrzyma.

Zresztą, w przypuszczeniu nawet najzupełniejszego wstrętu do reform w narodzie rosyjskim, o czém nie ma żadnéj pewności, w przypuszczeniu nawet oporu ze strony rządu; na co również trudno znaleźć dowodu, system polityki europejskiéj skłoniłby w końcu Rosyę do zaprowadzenia pewnych zmian odpowiednich ogólnéj harmonii między państwami. Nie dowodziż tego nacisku owe oczekiwanie przéz całą prawie Europę reform w państwie rosyjskiem? nie dowodziż tego ostatni manifest cesarski zapowiadający niejako ziszczenie tych ogólnych nadziei? Czemuż organ rosyjski na Zachodzie tak energicznie za reformami obstaje?...

Nikt zapewne posądzić nie zechce aby w tych wyrazach mieścić się miała myśl jakowa o interwencyi innych państw lub nawet o jakimkolwiek przymusie. Ostatni kongres państw odbyty w Paryżu zastąpił o ile się zdaje interwencyą w dzisiejszym systemacie, wspólnością zasad i solidarnością interesów. W imieniu téj zasady żądają dziś państwa jedne od drugich reform, któ-

re uważają za potrzebne, czyli które uznają być interesem europejskim. Wszystkie mniéj więcéj sprawy polityczne w téj chwili na tem toczą się polu.

Pominąć prawie przychodzi Turcyę, bo tu sfera reform żądanych tak ogromna, że dokładny rozbiór nowéj wymagałby rozprawy. Dotknąć tylko należy téj okoliczności, że wszystkie reformy żądane wychodzić mają od Sułtana; że największy nacisk doznają reformy które Turcyę w państwo zamienić mają. Turcya organizuje w Stambule żandarmeryę na wzór francuzkiéj, i już jest blizką ukończenia dzieła, gdy tymczasem wykononanie *hattihumajonu* jeszcze nie rozpoczęte.

Zajęcie Grecyi przez wojska sprzymierzone, ciągle trwające pomimo nawet urzędowego doniesienia w *Monitorze greckim*, że bandy rozbójnicze zupełnie zniesione zostały, pomimo uroczystego oświadczenia tamecznego rządu że ścisłą zachowa neutralność, i spokojność kraju utrzyma, każe się domyślać, że i ta sprawa zależy od pewnych reform, których państwa zachodnie od rządu greckiego oczekują. Skoro wszystkie te zaręczenia nie są dostateczne dla gabinetów zachodnich, jakiejże innéj domagaćby się mogły rękojmi, chyba reform przeprowadzonych przez rząd grecki w tym kierunku, iżby przytłumił ducha tradycyi sięgającego zbyt daleko, powściągnął dążności występujące zbyt śmiało, okiełznał namiętności nadużywające wolności osobistéj dotychczasowemi ustawami zapewnionéj na zaspokojenie wiekowéj nienawiści lub zemsty. Zmienić nie można położenia jeograficznego, ani pamiątek historycznych, ani nawet charakteru narodowego, ale wymagać można od rządu, aby trudności ztąd wypływające usuwał lub przynajmniéj miarkował za pomocą środków jakich mu dostarcza dzisiejsza polityka państw oparta na centralizacyi i cywilizacyi.

Wyraźniéj nierównie jeszcze ową stronę wymaganych

przez rządy reform przedstawia bieżąca sprawa neapolitańska. Tu już zdawać by cię mogło, że reformy to *alfa* i *omega* całego zadania, że w reformach cała kwestya włoska się mieści. W imieniu reform postawiła ją Francya na kongresie paryzkim. Reformy we Włoszech uznano być europejskim interesem; a lubo niezgodzono się jakich i od kogo żądać wypadnie, wszystkie nawet te które proponowała Sardynia, były w duchu państwa i centralizacyi. Nie wiadomo również jakich reform żądają dziś od króla Neapolitańskiego mocarstwa zachodnie wraz z Austryą, ale pewnym być można że nie w innym kierunku. Trudnoby nawet było pojąć upór króla Ferdynanda gdyby nie ta uwaga, że monarcha Obojga Sycylii ma może przekonanie, iż więcéj straci władza jego w oczach ludu przez ustąpienie parciu obcych mocarstw, aniżeli zyska państwo na reformach wzmacniających nawet jego podstawę.

Lecz nie tylko sprawy europejskie do polityki zewnętrznéj należące, ale wszystkie nawet prawie wewnętrzne w państwach spory na téj obracają się osi, to jest że wszędzie prawie idzie o reformy. I tak w Danii, nadano nową konstytucyę, liberalniejszą nierównie od dawniejszéj, ale w kierunku centralizacyjnym. Działając w duchu państwa rząd rozciąga ją do swych posiadłości niemieckich. Szlezwik i Holsztyn upierają się przy wyłączności prowincyonalnéj, niechcą przyjąć duńskiéj reformy, jakkolwiek w oczach rządu duńskiego wielkie im ona rokuje korzyści. W Niemczech co chwila głośno występuje kwestya o reformie Bundestagu, o powiększeniu liczby fortec związkowych, gdy tymczasem po cichu i zwolna wielka dokonywa się reforma. Coraz więcéj zlewają się małe księstwa udzielne niemieckie, których tyle zmedyatyzowanych od czasu Napoleona I; coraz bardziéj skupiają i wiążą się Niemcy to reformą celną, to monetarną. Dążność owa centralizacyjna jest

bardzo widoczna, i byłaby jeszcze nierównie bardziéj uderzającą, gdyby się mogła rozpościerać bez obawy jaką zawsze w mniejszych państwach niemieckich wzniecają Austrya i Prusy, jako mocarstwa pierwszego rzędu, zostające w ciągłym antagonizmie na polu przewagi w Niemczech.

Niepodobna przechodzić szczegółowo i rozpisywać się obszernie nad wszelkiemi zmianami politycznemi, socyalnemi i administracyjnemi jakie dzisiaj są w biegu w systemacie państw europejskich. Wreszcie nie ma tego potrzeby. To co się powiedziało, aż nadto podobno wystarcza na udowodnienie, że reformy stały się po prostu jedną z form administracyjnych, że przeto są rzeczą rządów a nie rządzonych, którzy w nich mają mniéj więcéj ale zawsze bierne stanowisko; że przeprowadzane bywają w jednym duchu to jest w duchu idei państwa, i w jednym kierunku to jest centralizacyjnym.

Hiszpania czyni w téj mierze wyjątek, a w obecnéj chwili może jedyny. Nie dla tego aby reformy żądane i popierane przez część członków gabinetu, a którym oparł się O'Donnell i tym oporem wypadki ostatnie jak niemniéj zmianę w rządzie wywołał, nie miały prowadzić w końcu do centralizacyi, ale głównie dla tego, że żądania roform szły z dołu, że inicyatywę w nich brały stronnictwa.

Ci którzy w postępowaniu O'Donnella zamach stanu upatrywali, przypominający zamachy stanu które w XIXstym wieku nad rewolucyami tryumf odniosły, i sądzili że reformy w Hiszpanii pójdą potem tą samą drogą co gdzieindziéj, omylili się bardzo. Spuścili z oka ważną okoliczność że Hiszpania nie jest bynajmniéj do takiego wypadku przygotowaną. Centralizacyi od razu zaprowadzić się nie da: przygotować ją musi despotyzm lub rewolucya. Hiszpania nie przeszła ani przez pierwsze ani przez drugie. Nie znała despotyzmu któryby

ją był przeprowadził przez politykę kardynała Richelieu lub Ludwika XIV, któryby był jéj Grandów w dworzanów zamienił; nie miała rewolucyi którаby była zniosła wszelkie naturalne w kraju przewagi, zniszczyła wszelkie przywileje i swobody w imieniu niepodobnéj równości. Hiszpania miała tylko wojnę cywilną — ale ją prowadziła za pomocą junt i pronucyamientów. Przechowała swobody prowincyonalne, konstytucyą nie pisaną ale tradycyonalną, opartą na wiekowych instytucyach, przechowała zasadę większéj własności i przywiązane koniecznie do niéj przywileje. Wszystkie te świetne resztki wielkiéj przeszłości są jeszcze dosyć silne aby się nagłéj centralizacyi oprzeć zdołały.

Zdaje się atoli, że Hiszpania właśnie teraz przez taką przechodzi rewolucyę; lecz nie jest to dziełem tak szybkiem aby je kilka zaburzeń i zmian ministeryalnych dokonać miało. Rozczłonkować na jednostki naród taki jak Hiszpański to zadanie lat wielu, a wtedy dopiero centralizacya przyjmie się ze skutkiem. Lecz dotąd samo istnienie stronnictw i ich przewaga jest dowodem, że grunt nie doprawny; nie ma przeto zbytniéj śmiałości w twierdzeniu, że dziś gwałtowne rządu w tym kierunku usiłowania doprowadziłyby tylko do anarchii a nie do porządku i spokojności. Rząd wszakże hiszpański nic podobno na czekaniu nie straci, bo stronnictwa domagające się reform zapomniały o ile wnosić można z dwóch lat ubiegłych, o owéj prawdzie którą de Maistre tak po prostu wyraził: „że reformy te tylko są „trwałemi i użytecznemi, które się odbywają pomału i „bez hałasu, jakby same z siebie, bo temi tylko rozum „a nie namiętność kieruje.“

I rzeczywiście, przypatrując się sprawom wewnętrznym Hiszpanii, przyznać trzeba że mają cechę tylko rewolucyjną, burzącą, że torują dopiero drogę nowemu systematowi, który ją połączy z systematem ogólnym

państw. Hiszpania dzisiaj jeszcze nie należy do niego, nie jest państwem i żadnéj też roli w polityce nie odgrywa. Dla tego to powiedzianem było na początku że zajęcie ogólne wypadkami hiszpańskiemi wywołane ustało, skoro się dowiedziano, iż się marszałek O' Donnell, utrzymał. Walka osób mogła zajmować opinię publiczną reformy hiszpańskie są dla niéj obojętne, bo nie mogą być w tym kierunku, któryby je w europejski interes zamieniał. Nie ma dotąd między Europą a Hiszpanią solidarności interesów, bo niema wspólności zasad. W dzisiejszéj społeczności te tylko reformy mają ważność i znaczenie, a w polityce te tylko udać się nawet mogą, które są oparte na téj podstawie. Inne należą do dziedziny teoryi: za takie przynajmniéj przez większość opinii publicznéj w Europie są uważane.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w sierpniu.

Nie błaha to rzecz usposobienie, w jakiém się znajduje piszący, kiedy z piórem za uchem zasiada przy stoliku, by — jak to po tylekroć powtórzono — „przelewać myśli swoje na papier“. Gdyby wszakże w téj „Kronice“ o swoje tylko szło myśli, wtedy czytelnik zmuszony byłby przyjąć to wszystko co się tylko piszącemu przez głowę przesnuło, czyby to było tak mądre jak systemat filozoficzny lub tak głupie jak książka osobiście nielubionego autora, czy wesołe jak pustota młodości lub smutne jak jéj wspomnienie, czy dowcipne jak odpowiedź niepowiedziana lecz późniéj opowiadana albo nudne jak sens moralny — wszystko to byłoby temu dozwolone, kto z góry zapowiedział, że swoje myśli przelewać będzie na papier.

Inna rzecz wszakże kiedy przychodzi zdawać sprawę nie z własnych swoich myśli, lecz z tego co otacza piszącego w jakowéj danéj chwili. Usiłuje on się wtedy wydobyć z pod wpływu własnych swoich stosunków, pragnie się otrząsnąć z wrażeń, że tak powiem, prywatnych, zapomnieć o sobie, a czuć, myśleć i pojmować za drugich, przemienić się w zwierciadło dagerotypu, w któremby świat zewnętrzny odbijając się odda-

wał potém na téj ćwiartce papieru wierną chociaż zmniejszoną kopię swoją. Daremne te jednak wszystkie usiłowania! W tém co się pisze o drugich, jest zawsze posmak tego co się samemu zakosztowało. Chcieć czy niechcieć, chwilowe usposobienie piszącego, dobry lub zły humor jego, charakter, temperament, stan nawet zdrowia wpływają mimowoli na sposób przedstawiania, przeciskać się będą pomiędzy wierszami, zdradzać w każdym toku mowy, w każdym choćby najzręczniéj i najsztuczniéj zbudowanym okresie. Bo téż inaczéj zapatruje się na świat i ocenia go zdrowy a inaczéj chory, inaczéj znów głodny a syty, trzeźwy a pijany, bogaty a ubogi, młody a stary, itp. A cóż do tego czytelnikowi, jakiego usposobienia jest piszący, skoro nie wymaga nic prócz prawdy? Tymczasem w skutku tych różnych właściwości jeden i ten sam przedmiot z jednéj nawet i téj saméj strony oglądany, inaczéj przedstawiać się będzie. Gdyby tę różnorodność poglądu sprowadzić do dwóch przynajmniéj ostateczności: pessymizmu i optymizmu, toby już łatwiéj było zdefiniować rzecz każdą dwustronnie. Starożytni uosobili już te dwa przeciwieństwa w postaciach Hilaryta i Demokryta, z których jeden nad wszystkiém obfite łzy ronił, a drugi drwił sobie ze wszystkiego. Ale dla dzisiejszych potrzeb te dwie definicye nie wystarczają; to co nie jest czarném nie koniecznie musi być jeszcze białém, i przeciwnie.

Otóż usposobienie piszącego nie małéj jest wagi, bo od usposobienia tego zależy koloryt całego obrazu. Z niego się naprzód usprawiedliwić potrzeba.

Ażeby ocenić należycie moje usposobienie, nie poprzestałem na ścisłém zastanowieniu się nad sobą, lecz zawezwałem rady głębokiego badacza i psychologa i poddałem się jego obserwacyom.

— Jesteś zdrów — rzekł do mnie, wziąwszy mię za puls i osłuchawszy mię stetoskopem — masz siły do pracy fizycznéj i umysłowéj, potrafisz znieść trudy jednéj i drugiéj, lecz długie próżnowanie i ospałość zrobiło cię leniwym i gnuśnym i odebrało ufność w zdolności dane ci od natury. Należy ci się jąć co żywo pracy, bo inaczéj nadmiar sił niezużytych sprowadzi chorobę nieuleczoną.

Uląkłem się téj smutnéj dyagnozy i zawezwałem zdania innego badacza.

Jesteś chory — rzekł mi smutno — niemasz siły do pracy, a natężasz się, potrzeba ci rozrywki. Powietrze miastowe bardzo szkodliwe do oddychania. Z trudnością téż przychodzi ci mówić. Brak wymowy który okazałeś na każdém zebraniu, gdzie głos winieneś był podnieść, pochodzi z dwóch przyczyn: naprzód że organ mowny nie jest u ciebie należycie wykształcony, powtóre, że myślenie nuży cię i w skutku tego nie możesz nad niczém zastanowić się głębiéj. Dla tego téż i do pracy umysłowéj nie należy ci się zabierać. Staraj się umysł rozrywać lekką lekturą nie obciążającą słabych twoich władz umysłowych, albo nawet nic nie czytaj. Staraj się żeby drudzy za ciebie pracowali, a używaj wiele wywczasu na pokrzepienie sił wątłych. Powierzchowność jest łudząca. Tymczasem jesteś nadzwyczaj drażliwych nerwów, każda okoliczność mocne lubo krótkotrwałe sprawia na tobie wrażenie; właśnie dowód osłabienia. Unikaj wstrząśnień gwałtownych, mogą cię one sparaliżować.

Chorobliwe to moje usposobienie przeraziło mię niewymownie. Porównałem je ze zdaniem poprzedniego lekarza i tego tylko byłem pewny, że albo ze zbytku sił albo z wycieńczenia umrzeć mogę. Trapiony temi sprzecznemi uczuciami usnąłem, i zdawało mi się, że się we mnie jednoczą dwa przeciwieństwa: byłem równocześnie zdrów i chory, miałem siłę olbrzyma i bezwładność niemowlęcia, zapał do pracy i brak odwagi do jéj rozpoczęcia, wymowę przekonania i nieśmiałość studencką, podniosłość myśli i brak wytrwałości, namiętność uczuć a mało rozwagi. Byłem głodny, lecz apetyt był fałszywy: chciałem pochłonąć wszystko, ale cokolwiek niosłem do ust, obmierzło mi. Byłem trzeźwy głową, a nogi podemną zataczały się i niemogłem był kroku postąpić na ścieżce obranéj. Byłem bogaty, lecz bogactwa moje leżały martwe, nie umiałem z nich bowiem najmniejszéj ciągnąć korzyści. Tak łączyły się wszystkie te we mnie sprzeczności i mnóstwo innych jeszcze, z których sobie dokładnego nie umiałem zdać rachunku.

Kiedym się ocknął i przyszło mi na pamięć, że mam zdać sprawę o Krakowie, poznałem że usposobienie

w jakiem się obecnie znajduję, stanie się jakby kalką obrazu miasta naszego. Któż mi zaręczy czy obraz ten będzie wiernym?

Rozpatrzyłem się po mieście, i wydało mi sie, że to wszystko com doznawał dopiero, wybijało się widocznie na sprawach mieszkańców. Nie mogę temu wierzyć aby tak było w rzeczywistości, ale nie moja w tem wina, jeźli zapatrując się na Kraków pod wpływem chwilowego usposobienia umysłu mego, biorę to za prawdę, co jest złudzeniem może rozstrojonéj wyobraźni.

— Jednego jeszcze rysu niedostawało sennemu usposobieniu twemu — rzekł mi przyjaciel którego się radziłem co zrobić z tą moją wstępną do kroniki krakowskiéj ramotą.

— A jakiego?

— Żeś nudny.

— Być może, ale w takim razie to i kronika z Krakowa nudną będzie.

— Masz słuszność; daj więc pokój i przestań na tem. Może na przyszły miesiąc inaczéj będziesz usposobionym.

Wiedeń w sierpniu.

Jak w przeszłym miesiącu skarżyłem się na zimno i słotę, tak teraz mógłbym się żalić na nieznośne upały i suszę, gdybym się nie obawiał zarzutu, że wszystkie listy moje zaczynam od kłótni z powietrzem. A wszakże cóż naturalniejszego? Czy każdego dnia, każdy z nas z rana wyzierając przez okno, nieszuka naprzód świeżego zasiłku w atmosferze? Czy nie stosuje potém do jéj stanu swych projektów dziennych, swych zatrudnień, swojego ubioru? Czy nie czuje mimowolnego wpływu deszczu lub pogody, upału lub zimna na umysł i serce? Cóż dopiero mówić o mieszkańcach wsi. Jeżeli w mieście stan powietrza wpływa na nasze zabawy, na zły lub dobry humor; na wsi jest to nieraz kwestyą dobrego lub złego zbioru w polu, pomyślnego lub straconego zasiewu, powiększonych lub zmniejszonych dochodów, jednėm słowem, kwestyą żywotną. Nie wiem co myślą w téj chwili gospodarze galicyjscy. Życzę

z duszy żeby nie mieli powodów do skarżenia się. Lecz widzę, że nie we wszystkich stronach Europy, rok ten pod względem rolniczym do dobrych policzyć można. Południowa Rosya, ten spichlerz Zachodu, będzie zapewne sama potrzebowała chleba; w Niemczech i w Austryi urodzaje dobre, lecz nienadzwyczajne; Francya zaledwie wystarczy swym potrzebom. Ludzie się bawią wprawdzie jak mogą: jeżdżą za granicę, piją rozmaite wody, kąpią się w rozmaitych zdrojach, leczą się jak się uda z trosków gospodarskich lub miastowéj nudy, lecz i po tych rozmaitych kąpielnych zebraniach, ileż to co dzień, co godzina, co chwila rozpraw z powietrzem! Przebaczcie więc i mojéj z niém kłótni, i sądźcie czy mam słuszne powody dawać taki obraz stolicy w téj chwili.

Chciałem rozpocząć opis z godziną w któréj Wiedeń zbudzony ze snu zaczyna się zwykle ruszać. Lecz wyjrzawszy na ulicę, sądziłem żem się omylił, lubo zegar wskazywał godzinę siódmą. Sklepy były już wprawdzie otwarte lub zaczynały się otwierać. Na ulicy atoli, ledwo tu i owdzie ciągnąca do domu przekupka lub spieszący do bióra urzędnik. Przesunął się nareszcie *omnibus* napełniony spragnionemi ochłody wodnéj wędrownikami. Termometr stał, jak od dni kilkunastu, na 25° Reaumura w cieniu. Wziąłem się do pióra, ale głowa i ręka odmówiły posługi. Wyszedłem do miasta z musu, i gdyby nie przystanie wysadzone jak oaza na pustyni, z drzew opylonych i popalonych, które się napotykają szczęściem przy każdéj kawiarni, nie wiem jakbym się dostał na plac św. Szczepana, gdyż ze zbliżającém się południem, upał na otwartych miejscach 30 stopni przechodził. Obok kawiarni francuzkiéj, i daléj w chińskich szałasach na *Graben* kupił się zadyszany tłum na lody. Kawiarnie Dauma, Denego i inne, przedstawiały ten sam widok. Na ulicach spostrzegałem dziwne stroje i dziwniejsze jeszcze figury. Kapelusze słomiane jak krobki, wachlarze i parasole lub parasolki osłaniały napróżno już poczernione lica. O godzinie obiadowéj spotkałem niektóre z nich w restauracyi hotelu Arcyksięcia Karola, w któréj, jak we wszystkich podobnych salach, złe i drogie potrawy jeść trzeba dusząc się od gorąca i od dymu cygar. Wieczór i noc były prześliczne, i ruch na ulicach zupełnie inny. Przyległe esplanady, ogrody

Volksgarten i *Paradies*, piękny ogród Schwarzenberga, Prater i inne przechadzki znalazłem przepełnione ludem. Taki tryb życia prowadzimy tu z resztą co dzień od początku tego miesiąca. Różnica w upałach i w sposobie bronienia się od nich, była małą i nieznaczną. Widziałem Anglików od stóp do głów w białym jedwabiu jakby wracających z Kalkutty. Wiedeńczycy przestają na czarnych tak nazwanych lastensack a kobiety na muślinach i bareżach. Wieczorem w dzień imienin N. Pana, przy rzęsistém oświetleniu do którego nie mało się przykładał wspaniały księżyc, w ogrodzie *Volksgarten* widzieć było można pod względem przezroczystości i kroju sukien, rzeczy nie do opisania. Pod tym względem tolerancya smaku tutejszego przechodzi nawet po dobrych salonach wszystko com widział w Paryżu po ogrodach publicznych.

Że z powyżéj skreślonego obrazu łatwo życie w stolicy, zwłaszcza na bruku, ogłosić za nudne i prawie nieznośne, to do przebaczenia. Dla tego wędrówka jeśli nie w dalekie strony ku wodom lub górom, to przynajmniéj w przyległe wiejskie okolice z każdym dniem się wzmaga. W święta i niedziele idzie z Wiednia do Baden, Vöslau, Gloggnitz i aż do Simmering, co godzina po kilkanaście i kilkadziesiąt wagonów. Wieczorem powrót z tych rozmaitych miejsc jest często prawie niepodobnym. W dni powszednie spotkać można niemało osób z klas wyższych, a szczególniéj zagranicznych, w przepysznym parku Laxenburgu i w rozkosznéj dolinie przy Brühl. Są to dwie najpiękniejsze okolice pod Wiedniem, na połowie drogi do Baden. Pozwólcie zatrzymać się w nich chwil kilka.

Laxenburg był od czasów Maryi Teresy ulubioną letnią siedzibą panujących w Austryi. Lecz nikomu na pierwszy rzut oka nie podobał się tyle co Cesarzowéj teraźniejszéj. Od dwóch lat przepędzają tam NN. Państwo prawie połowę lata. W tym roku, Laxenburg obchodził w swoich murach urodziny Arcyksiężniczki Gizeli. Pałac z powierzchowności skromny, lecz wewnątrz ubrany z przepychem, odpowiada zupełnie przeznaczeniu swemu, łącząc z wygodą zaciszę wiejskiego ustronia. NN. Państwo zajmują skrzydło lewe, którego okna wychodzą z jednéj strony na obszerny plac doty-

kający domów prywatnych, a z drugiego na park i przyległy kwiatowy ogród. W miesiącu maju i czerwcu ogród ten ubrany w przepyszne różnych farb róże, przypomina o tyle Trianon, o ile park przypomina podobny zakład w Wersalu. Wszakże rysunek parku w Laxenburgu i porozrzucane na różnych punktach budowy i pomniki, czynią go pod pewnym względem ogrodem angielskim. Obszar jest znaczny i na wszystkie strony otwarty. Sztuczne kanały przerzynają park w rozmaitych kierunkach, prowadząc ciekawych wędrowników za pomocą wygodnych łódek do rozmaitych widzenia godnych ustroni. Najpiękniejszą i najgodniejszą zwiedzenia rzeczą, jest zamek na wzór średniowiecznych rycerskich siedzib, zbudowany przez Cesarza Franciszka w podarunku dla Cesarzowéj żony, księżniczki neapolitańskiéj. Jest to najdokładniejsze naśladowanie tego rodzaju pamiątek, jakie tylko znaleźć można. Powierzchowność zajmująca. Wnętrze gmachu ubrane w ciekawe zbiory broni, tarcz, hełmów, obrazów, obić, mebli i sprzętów różnego kształtu, z czasów na dwa i trzy wieki odległych. Między innemi uderza uwagę powszechną obraz przedstawiający spotkanie Cesarza Leopolda z Królem Janem III pod Wiedniem. Portrety familii Habsburskiéj aż do Cesarza Ferdynanda i braci jego, któremi ozdobiona jest sala audyencyonalna, i posągi z marmuru kararyjskiego przedstawiające w drugiéj okrągłéj sali poczet Cesarzów Austryi aż do Maryi Teresy, zasługują jako dzieła sztuki na pochwałę. W jednéj z wież jest sala przeznaczona na sądy tajemne za zbrodnie stanu. Z więzienia położonego pod tą salą, w podziemnym lochu, gdzie spoczywa przykuty do muru drewniany rycerz krzyżowy, podnoszono w owych błogich czasach oskarżonego za pomocą sznuru i torczka aż do téj sali, w któréj przez otwór pokazywała się tylko jego głowa, przed zebranymi do koła stołu sędziami. Skazany na śmierć, kończył nieraz winowajca dni swoje przez zamurowanie w okropnéj dziurze, któréj pokazywać przewodnik nie zapomina. — Ze szczytu najwyższéj wieży, widok na park, na wodę i na rozległy prześliczny po za tym obrębem widokrąg, jest wspaniały. Drugim zabytkiem naśladowanéj rycerskości, jest obmurowany plac turniejów. Podobno w czasie kon-

gresu wiedeńskiego odbyło się tam kilka tego rodzaju widowisk. Reszta budynków które się napotyka w parku, jest w stylu nowożytnym. Niezapomniano nawet o *chalecie* szwajcarskim, którego posiadacz traktuje publiczność dobrą kawą, mlekiem i serami.

Pomimo pobytu NN. Państwa, przystęp do parku i do rozmaitych powyżéj wspomnianych jego ozdób, jest codzień wolny dla wszystkich. Lecz wiedeńczycy mało się zajmują tém uroczém, ale z restauracyi i szynkowni ogołoconém miejscu. Natomiast spotkać tam można prawie zawsze licznych cudzoziemców lub przybyszów z prowincyi. Cesarz poluje czasami w łódce na dzikie kaczki. Cesarzowa lubi przechadzkę po pysznych aleach, pieszo i w pojeździe, czasami czterokonnym, którym sama powozi. Pod względem spokojności, ciszy i dobrego powietrza, Laxenburg jest najpowabniejszym i dla tego przez Cesarstwo ulubioném miejscem pobytu. Do pierwszéj przejażdżki Cesarzowéj po parku, która ma w tych dniach nastąpić, już przygotowano powozy. Z końcem miesiąca Cesarstwo udadzą się do Ischl.

Niedaleko od Laxenburgu, po za Mödling, jest drugie niemniéj pięknością natury zachwycające miejsce, a dotąd wszakże za granicą Austryi prawie zupełnie nieznane. Brühl porównać można do najpowabniejszych obrazów Szwajcaryi. Jest to kolonia złożona z pięknych domów i chłopskich chałup, wśród gór, na rozległéj ogrodami i winnicami ozdobionéj dolinie. Książe Lichtenstein właściciel tego miejsca, ma na jednéj z tych gór u stóp starożytnego zamku, którego stérczą jeszcze ruiny, piękny, wesoły, wiejski pałac. Inne góry ubrane są w sztuczne lub prawdziwe dawnych czasów pamiątki. Droga z Brühl przez góry, prowadzi do Baden i jest zwykłą w tamte strony przechadzką. Pod względem powietrza lekarze uważają Brühl za jedną z najzdrowszych pod Wiedniem okolic.

Wracając do życia miejskiego, do którego zbliżająca się jesień gwałtem każdego sprowadzi, donieść wam muszę, że mieszkania są jeszcze droższe niż były, i że o zmniejszeniu cen na produkta do życia nikt nie myśli. Smutna to rzecz dla biednych, zwłaszcza jeśli zima będzie tak ciężką jak przeszłoroczna!

Poznań w sierpniu.

W téj chwili i Poznań zakrawa na stolicę, a to pustemi ulicami; kto tylko bowiem mógł wyjechać, wyniósł się z miasta na wieś lub do wód zagranicznych, tylko na nieszczęście że to znamie charakterystyczne wielkich miast przez ciąg kanikularnych tygodni, przez większą część roku w Poznaniu dopatrzeć się daje. Z prowincyj mniej w tym roku było pielgrzymów do wód zagranicznych, zapewne w skutku klęsk i nieurodzajów lat ostatnich, które wysuszyły źródła, spływające corocznie do źródeł mineralnych Szlązka, Nadrenu, Belgii i t. d. Podróżowanie do wód stało się w Księstwie prawie chorobą; wypoczynek dla gospodarzy jest koniecznym, chcielibyśmy więc tylko kierunek tych wycieczek zwrócić ku Warszawie, Krakowu, Lwowu, a w tenczas zgodzilibyśmy się na nie, bo przynajmniéj, byłoby to z korzyścią serca i umysłu, z korzyścią kraju, a nie na jego szkodę.

Kontrakty Sto Jańskie, które tu jeszcze i przez Lipiec trwają, spokojnie się odbyły; tranzakcyi mało było, ruchu pieniężnego żadnego, a regularne wpłynięcie raty towarzystwa kredytowego, zaspokoiło umysły zatrwożone i obawiające się znacznych bankructw, jako skutku dwóch lat ostatnich. W obecnéj chwili pojawiają się jednak dowody, że pewna obawa w tym kierunku usprawiedliwioną była. Kilka znacznych majątków przeszło w tych dniach w obce ręce, a to u nas, w naszych stosunkach, staje się zaraz szkodą publiczną.

Żniwa znacznie już posunięte, bo pogoda sprzyjała; żyto, groch, ziemniaki, jeżeli jeszcze niezjawi się choroba, jęczmień, owies, bardzo pięknie się udały, nie masz więc obawy nędzy i głodu, których téj wiosny doświadczyliśmy — ale dochodów wielkich trudno gospodarzom naszym przepowiadać, bo rzepaku wcale nie mieli, a pszenica wszędzie mierna jeźli nie zupełnie zła; z tych zaś obu zbóż najwięcéj rolnicy nasi dochodu mieć zwykli.

Niezbyt odległe otwarcie drogi żelaznéj z Wrocławia do Poznania pobudza reprezentacye powiatowe do budowy dróg bitych; coraz więcéj pojawia się projektów,

coraz więcéj linij blizkich wykonania i ukończenia pod względem komunikacyj lądowych. Księstwo ogromne robi postępy, ale z wielkiemi ofiarami pieniężnemi, bo wszystkie te drogi bite budują się kosztem powiatów, a przez administracyę urzędową, co niesłychanie drogo wypada.

W literaturze ruchu nie wiele, wypoczynek śród upałów; zapowiedziano jednak nowe pismo duchowne, mające wychodzić w Kępnie. Skład redakcyi każe rokować dobre nadzieje, ale cena przedpłaty wznieca obawę, iż redakcya zbyt ciasne sobie oznaczyła granice. Kilka zeszytów peryodycznego naszego jedynego pisma razem temi dniami ma opuścić prasę.

Najważniejszym wypadkiem ostatnich tygodni są ćwiczenia duchowne dawane z polecenia J. O. Arcypasterza duchowieństwu świeckiemu Archidyecezyi — powtórzą się koło Śgo Michała, aby całe duchowieństwo w nich udział wziąść mogło, i corocznie odtąd powtarzać się mają. Zbytecznem by było rozwodzić się nad ważnością tego dzieła, wszystkim bowiem wiadomo, że od podobnych ćwiczeń datuje się we Francyi i południowych Niemczech, niesłychany postęp i ruch w sferach kościelnych.

Berlin w sierpniu.

Czytam w korespondencyi londyńskiéj do jednego z tutejszych dzienników następujące słowa: „W Londynie nie masz teraz nikogo — oprócz dwóch milionów ludzi z górą. Ale te dwa miliony są nikim; nie stoją w *Morning Post*, dopóki żyją; nie wywieszają z okien tarczy z herbowemi zwierzętami, gdy żyć przestaną; właściwie nie są to wcale ludzie.“ Toż samo „*mutatis mutandis*“ powiedzieć można o wszystkich stolicach i większych miastach, mianowicie północnéj i środkowéj Europy, a więc i o Berlinie i Krakowie. Osoby dworu, urzędnicy, wojskowi, uczeni, literaci, artyści, bankierzy, fabrykanci, kupcy, niemniéj wszelkiego rodzaju z pensyj, rent, gry, szulerstwa, pochlebstwa żyjące próżniaki, modne brukotłuki, darmojady, pędziwiatry, stanowią

wszędzie tu w większéj, tam w mniejszéj liczbie tak zwany wielki świat towarzyski, i nadają głównie ruch życiu miejskiemu. Prosta rzecz, że gdy na lato wyjadą z miasta główni klas tych i stanów koryfeusze, ruch widomy życia publicznego zmniejsza się, hałas uliczny ustaje, powierzchnia oblicza miejskiego przybiera jednostajny wyraz, słowem, w przekonaniu wynoszących się z miasta osób bezpośrednio lub pośrednio do panującego porządku, obyczaju lub mody należących, pozostała w niém reszta mieszkańców jest nikim — gmin „*glebae adscriptus*“ czy to do warsztatu, czy do kantoru, czy do bióra, czy do innéj jakiéjbądź pracowni przykuty.

Winszuję ci, szanowny Redaktorze, podróżujący pomiędzy czterema ścianami bióra swego, winszuję ci wraz z wszystkimi korespondentami twymi tak zaszczytnego w hierarchii społeczeńskiéj pomieszczenia. Sam się w ostatniéj korespondencyi z Krakowa na honor ten podpisałeś, nie masz się więc na co skarżyć. Murzyn w plantażach amerykańskich niepozazdrościłby ci wprawdzie swobody, któréj używasz. Wszakże praca, któréj się człowiek dobrowolnie poświęca, chociażby była prawdziwém jarżmem, jest mimo to aktem wolności. Wytrwanie w niéj przynosi zaszczyt pracującemu. W zaparciu się osobistém doświadcza się hartu duszy. W energicznem przeprowadzeniu woli swojéj mieści się najwyższy powab dla człowieka z charakterem. W uczuciu, że się pracuje dla spółeczeństwa i dla dobra publicznego, doznaje się najmilszéj nagrody za poniesione trudy. Oto kadzidło, szanowny Redaktorze, dla straconéj wolności twojéj. W kłębach jego możesz wznieść się po nad gmin, zwyczajną materyalną pracą do bruku przykuty, i dopóki wielki świat do miasta nie powróci, możesz uważać się za pierwszą w niém figurę i za prawomocnego wszystkich wyższych interesów i towarzyskich stosunków reprezentanta i mecenasa. Masz pracę, ale masz z niéj i poważanie na własnych śmieciach.

Inaczéj się trochę rzecz ma z twoimi korespondentami. To robotnicy bez nazwiska, numerem, cyfrą, literą, lub po prostu imieniem z miasta, z którego piszą, oznaczeni; czyści aresztanci, niewolnicy murzyni, słudzy na dworcach dróg żelaznych; jakieś ogółowe indywidua, rodzaj uosobionego echa, które wszystko pochłania co

posłyszy, i natychmiast dziennikiem na świat wyrzuca; prawdziwe wymoczki w ludzkiéj postaci. Wielka publiczność nie pyta o ich nazwiska; jeśli się dowie, to znów zapomni. Ma to swoje dogodności; strzeże od nieprzyjemności, od napastowań, od kijów, a tém samém pozwala swobodniéj pisać. Jeżeli dziennik da się swobodniéj przyrównać do państwa, redaktor do panującego, bióro redakcyi do rady ministrów, to korespondent jest jakby rezydent za granicą. Widzisz go, w jaką godność odrazu z wymoczka postąpił. To nazwisko tylko zmienione, ale rzecz ta sama. Taki rezydent musi słyszeć, widzieć, wiedzieć wszystko co się w miejscu pobytu jego dzieje. To mniejsza, kiedy jest co do słyszenia, do widzenia, do wiedzenia. Ale kiedy wszystko się rozjedzie, i w mieście nie masz nikogo, prócz parę lub kilkakroć stotysięcy gminu? Wtenczas poradzi sobie jak kronikarz krakowski, zwiedzając jeśli mu to wolno będzie, opuszczone mieszkania podróżników, i z znalezionego w nich porządku odgadywać będzie najskrytsze tajniki ich domowego pożycia. Albo postąpi jak kronikarz wiedeński, zbierający w mieście, za rogatkami, w okolicach, rysy do charakterystyki życia Wiedeńczyków. Albo pójdzie śladem kronikarza paryskiego, szukającego Paryża w Paryżu, aby go nie znaleść. Albo weźmie za wzór kronikarzów rzymskiego, weneckiego, florenckiego, zostawi „Dodatek“ na koszu, i pójdzie raczéj nad brzegi morza przypatrywać zstępującym z nieba aniołom, swawolącym i kąpiącym się w lazurowych wodach. Tak sobie już instynktowo poradzili kronikarze warszawski, lwowski i poznański, a drezdeński zaraz z początkiem lata grzecznie się pokłonił, i słuchu o sobie nie daje, gdzie się podział. Wierną stara tylko gwardya pozostała: londyńska, paryzka, wiedeńska i berlińska, nawykła oddawna zacny Redaktorze w więzach twoich chodzić. To szczęście twoje, bo gdyby i ona porwana była manią włóczenia się po świecie, śliczniebyś wtedy wyszedł z kroniką twoją stolic europejskich podczas lata.

Co do mnie, to wiesz, że ja na rozumie niemieckim wyuczony, od dawna zabezpieczyłem się przeciw korespondencyjnym ambarasom, wynikającym z zmiany pór roku, zrobiwszy sobie systemik w szkicowaniu stosunków

życia społecznego Aten nad Sprewą. Wziąłem za podstawę stosunki stałe, nieulegające zbytecznie czasowym zmianom. Podzieliłem je wedle zmysłów, przez które życie ludzkie we wszystkich kierunkach i postaciach swoich koniecznie przechodzić musi. Pojawy chwilowe postanowiłem przyczepiać jako części do całości, albo brać je za stafażę ogólnego obrazu, na który spadać miało światło, szczególnego mieszkańców kraju i stolicy, z któréj piszę, ukształcenia. Dotąd sam nie wiem, jak i kiedy ten pięciozmysłowy obraz skończę. Jeden z paryskich korespondentów waszych mniemał nawet już trzy miesiące temu, że przedsięwzięcie to jest niebezpieczne. To moja rzecz. W każdym razie praca regularniejsza, i piszący ma to zadowolenie, że może zrzucić z siebie naturę wymoczka i być przy pracy wolnym człowiekiem.

Umęczywszy tedy do przesytu szanowny Redaktorze uszy twoje filozoficzno-estetyczną gawędą o muzyce niemieckiéj w listach poprzednich, mógłbym w niniejszym, stósownie do przyjętego planu, przejść od razu od ucha do oka, biorąc za przedmiot dalszego ciągu pracy sztukę, która opierając się na kolorach i perspektywie, z zmysłem wzroku stoi w najściślejszem połączeniu, to jest malarstwo. Mam jednak powody, odroczyć ten przedmiot do następnego listu. Pierwszym jest ten, że z początkiem przyszłego miesiąca rozpoczyna się tu wielka wystawa obrazów, która się co dwa lata powtarza; będę więc miał bardzo dogodną sposobność do traktowania tego przedmiotu podczas wystawy. Drugim powodem, że do niego bezpośrednio nie przechodzę, jest to, że uszy i oczy nie leżą tuż obok siebie, lecz mają pomiędzy sobą przedział, który wprzód niż oko powinien być odznaczony i przynajmniéj z grubego odszkicowany.

Przedział ten, przechodzący ku górze i ku dołowi w wypukłości, które otaczają studnią oka nakształt gór okrążających jezioro, jest w dziejach świata i w pożyciu społeczném bardzo zajmującą przestrzenią. Wypukłość podnosząca się na niéj ku dołowi zowie się policzkiem. Na jakież myśli wyraz ten nienaprowadza? Blumenbach przyjął kość licową za jednę z oznak, wedle których podzielił ród ludzki na pięć odmiennych ras

czyli plemion. Toż uczynił Cuvier, dzieląc go na trzy plemiona: kaukazkie, murzyńskie i mongolskie. Któż z policzków nie pozna od razu, bez względu na inne oznaki, człowieka jednéj i drugiéj rasy? Kiedy się z ponad głowy, z góry, patrzy na Mongoła lub Kałmuka, to nad linią czoła spostrzega się policzek wystający jakby wzgórze jakie. Kiedy się podobnym sposobem patrzy na Europejczyka, to wypukłości téj wcale nie widać. Pomiędzy rasami mongolską a kaukaską musiały jednak w ciągu wieków zachodzić liczne powinowactwa, bo znaczna ta wypukłość kości licowéj natrafia się i u Europejczyków, najpowszechniéj zaś u Rosyan. U narodów plemienia germańskiego jest ona po największéj części wielkości umiarkowanéj, i to pospolicie mniejszéj jak u Słowian. To fizyczna strona kości licowéj.

Policzek w przenośném i moralném znaczeniu daleko większą odgrywa rolę. Jest on najdrażliwszém miejscem obrazy osobistéj. Można kogoś kopnąć, można uderzyć w piersi, dać kułaka a nawet w kark. To nie tyle znaczy, jak kiedy się kogo uderzy w policzek. Na równi stoi tylko z nim plwanie w twarz. Policzkowanie i plwanie w twarz było już u starożytnych narodów największą obrazą. Doznał jéj i Chrystus od żydów. Dla tego to daje biskup bierzmowanemu policzek, aby pamiętał, iż ma być gotowym do zniesienia i największéj hańby dla imienia Chrystusowego.

W narodach chrześciańskich policzkowanie miało także zawsze i ma dotąd znaczenie największéj obrazy, która pomiędzy ludźmi honorowymi krwią się tylko okupuje. Odebranie policzka zmusza oficera do wystąpienia z służby; lubo jak powiadają, są kraje, w których się za to dostaje wyższą rangę lub order. W ogóle jednak, w klasach wyższych drażliwość obrazy téj jest mniéj więcéj u wszystkich narodów równą. W klasach niższych i pomiędzy ludem stosuje się zwykle do temperamentu narodowego. Pomiędzy polskim ludem uderzenie w twarz wywołuje natychmiast bójkę. Pomiędzy niemieckim staje się przyczyną procesu. Policzek kosztuje w Prusiech pięć talarów. Niejeden czeka tylko podczas kłótni na to, aby go drugi uderzył, wiedząc, że wtedy proces wygra i dostanie przepisaną nagrodę. Bi-

cię się w twarz należy tu więc pomiędzy ludem do najrzadszych przypadków. Zdarzy się bardzo często widzieć ludzi, którzy w kłótni pochwycili się za bary, srożyli się jak lwy na siebie, miotali sobie w uszy najzelżywsze wyra y, plwali w twarz jeden drugiemu, trącali się nosami, kąsali zębami — żaden drugiego nie uderzył, bo uderzenie kosztuje pięć talarów. Jeżeli się przytrafi, że jeden z kłócących się do tego się w gniewie i zapomnieniu posunie, drugi natychmiast go puszcza, i idzie zanieść na niego skargę, chyba że bijący zgodzi się na dobrowolną zapłatę, oszczędzając sobie przez to koszta procesu.

Policzki, które ambasadorowie odbierali na obcych dworach, bywały nawet wojen przyczyną. Książę Alba pamiętny z wojen hiszpańsko-niderlandzkich, szukał podobno głównie dla tego tak krwawéj zemsty na księciu Oranii, że nie mógł zapomnieć policzka, który mu tenże wyciął w sporze w czasie młodości swojéj, gdy bawił na dworze madryckim. Pismo święte uczy: kto ci da jeden policzek, nadstaw mu drugi. Jest to ten sam morał, który złożony jest w słowach: kto na ciebie kamieniem ty na niego chlebem. Minęły dawno te czasy, w których zasady podobnéj cierpliwości praktykowano. W ogóle praktykowane były podobno tylko przez tych którzy nie byli w stanie oddać wet za wet. Zydowskie „ząb za ząb“ na wskróś znów przenikło moralność i obyczajowość narodów chrześciańskich.

Policzki odbierane od kobiet cierpliwie znosić należy. Obraza, która nie może być poszukiwaną, przestaje być obrazą. Zdarza się zaś niekiedy, że pocałowanie damy w rękę za odebrany policzek znosi przyczynę uderzenia, i prowadzi właśnie do osiągnienia tego samego celu, któregośmy w prostéj drodze osięgnąć nie byli w stanie. Taką bywa natura serca kobiety. Probatum est.—

Paryż w sierpniu.

Pomiędzy mnóstwem publikacyj paryzkich poświęconych nauce, mianowicie zaś zabawie, pojawiła się książka pożyteczna, która niedość zwróciła uwagę licznych

recenzentów tutejszych jak również sprawozdawców cudzoziemskich, chwytających w lot każdy gabinetowy, literacki, giełdowy, zakulisowy a nawet buduarowy drobiazg, ażeby nim co rychléj zasilić wiecznie głodną i wiecznie na Francyę spoglądającą Europę. Przemilczano o niéj zapewne dla tego, że nie dość zajmująca, że autor (pożyczając wyrażenia od Kraszewskiego) nie należy do „fryzowanéj apostoleryi“ — nie stawia żadnych głośno-brzmiących teoryj, nie popiera w żadnym dzienniku nieomylności tych lub owych zasad mających ocalić świat, nawrócić, odwrócić, zastąpić pruchno duszy sokiem rdzennym, zbawić lecącą w przepaść ludzkość i tam daléj — ale po prostu zajmuje się wychowaniem dzieci, opisuje francuzkie *Ochrony*, opowiada stan ich obecny i proponuje ulepszenia jakie zaprowadzić wypada w tych zakładach, gdzie chodują światu nowe pokolenie, podobnie jak w ogrodowych szkółkach latorośle, które wedle tego co w nie zaszczepią, będą albo bogactwem kraju, albo knieją rodzącą ciernie i chwasty.

Pan Malarce nie dotyka wyższych kwestyj. Jednak wydaje mi się, że o książce jego pomówić warto.

Autor założył sobie skreślić w kilko-tomowém dziele dokładny obraz wszystkich zakładów dobroczynnych we Francyi; rozpoczynając badania swoje od najważniejszego i najpożyteczniejszego, napisał *Historyę Domów Ochrony*, ich rozwój, przepisy, oraz stan obecny.

Domy Ochrony dla dzieci, przy zawiązku których jaśnieje imie pastora Oberlin i chłopki Ludwiki Scheppler, były najprzód (jak wszystkie instytucye dobroczynne) zaprowadzone w Anglii pod nazwą szkół dziecinnych (Infants' schools); we Francyi poczęto się na dobre niemi zajmować dopiero pod koniec 1830 roku.

Pierwszą taką szkołę zwaną *Asile-modèle*, urządził w Paryżu na wzór angielski w 1826 roku zamożny mieszczanin p. Cochin, ale zakład ten miłosierny nie od razu przyjął się tutaj. Nowator, jak zwykle, tak i tą razą, musiał walczyć z licznemi przesądami i cierpliwie trwać w przedsięwzięciu, zanim zdołał przekonać ludzi, że jedynym celem nowego zakładu jest dobro ogólne. Przez pierwsze lat parę, *Asile-modèle* nie mogąc się utrzymać ze składek, pozostawał całkowicie na koszcie założyciela. Dopiero po 1830 roku zrozumiano w Paryżu

dobrodziejstwa izb Ochrony i poczęto zaprowadzać takowe nie tylko w stolicy, ale w każdém z miast departamentowych.

Odtąd zakłady mnożyły się szybko. W 1837 roku było we Francyi 261 *Ochron* mieszczących dziennie 29,214 dzieci. W 1843, było już *Ochron* 1489, do których uczęszczało 96,192 dzieci. W 1846, liczba izb ochrony doszła do 2000. W tym roku jest ich we Francyi przeszło 3000, mieszczących 200,000 dzieci. W samym departamencie Sekwany jest 104 *Ochron*, z których 51 w samym Paryżu, a 53 w jego okolicy.

Znaczna na pozór liczba tych zakładów, daleką jest, wedle pana Malarca, ażeby odpowiedziała potrzebie. We Francyi liczą rocznie 3,600,000 dzieci mających od dwóch do sześciu lat; z tych przeszło połowa należy do rodzin potrzebujących pomocy — na pomieszczenie zaś 1,800,000 dzieci potrzeba przynajmniéj 20,000 *Ochron*. Dzisiaj jest ich dopiero 3,000.

Nie odpowiednia potrzebie liczba *Ochron* we Francyi oraz ich powolne mnożenie się, nie pochodzi, zdaniem p. Malarce, ani z winy państwa, ani z opieszałości rad departamentowych, ani z niechęci gminy, ale z przyczyn wyłącznie moralnych. *Ochrony* należą do rzędu tych instytucyj, którym nie dosyć wyznaczyć fundusz i dać dom ażeby zaspokoić wszystkie warunki ich bytu. Potrzeba zarazem pieczę nad niemi poruczyć istotom pełnym cierpliwości i słodyczy, kobietom znającym dobrze i pełniącym święcie swoje obowiązki — takich zaś niewiast któreby potrafiły być matkami cudzych dzieci, jedynie przez miłość bliźniego, wszędzie mało, a najmniéj we Francyi. — Oto powód który p. Malarce uważa za główną przeszkodę rozwijania się tych instytucyj w kraju, gdzie każdy inny zakład i każde przedsiębiorstwo materyalne prędzéj niż gdziekolwiek wzrasta i owocuje.

Sprężysta władza istniejącego rządu zajęła się czynnie w ostatnich latach *Ochronami*. Wchodząc w moralne przeszkody ich rozpowszechniania, założono umyślne szkoły, tak zwane *maisons d'étude*, celem kształcenia na przełożone *Ochron*, kobiet wiejskich znanych z rozsądku i słodyczy charakteru.

Dekretem wydanym 16 maja 1854 roku Cesarz oddał wszystkie *Ochrony* pod opiekę Cesarzowéj, i zarazem

ustanowił komitet opiekuńczy, któremu poruczył wypracowanie planu reformy mającéj na celu udoskonalenie tych zakładów.

W przeciągu roku komitet opiekuńczy pod prezydencyą kardynała Morlot, ukończył swoją pracę — a dekret cesarski z 22 marca 1855 roku nadał nową organizacyę Ochronom dla dzieci. — P. Malarce całą tę obszerną organizacyę przytacza w dziele swojém — rozbiera ją troskliwié — chwali ogólne jéj zarysy, gani niektóre szczegóły — z macierzyńską przezornością odgaduje potrzeby dziatek — jak doświadczona piastunka wié czém je zabawić, czém cieszyć, czém karcić — słowem, z niepojętym w mężczyźnie talentem wykłada sztukę rządzenia samowładnie tysiącami tych złotowłosych główek, z któremi tak trudno się porozumiéć.

Wśród mnóstwa liczb i suchego wykładu szkolnéj rutyny świadczącéj o męzkim rozumie autora, spotyka się na każdéj niemal karcie jego książki, obrazki pełne czucia, jakby ręką matki malowane — przypominające żywe szkice Ducampa niezrównanego mistrza w przedstawianiu fizyonomij dziecięcych. Czytając go, zdaje ci się że widzisz pod cieniem drzew, na obszerném podwórku uwijające się to gwarne rumiane mrowisko ze śmiejącemi usty i jasném czołem — to wojsko liliputów maszerujące w takt, sypiące z piasku barykady, śpiewające chórem i wyciągające skwapliwie wesołą twarzyczkę i drobne paluszki do wielkiéj gąbki z wodą któréj potarcie zwykło poprzedzać ogromny kawał chleba z masłem — wydaje ci się, że przez odwrotny koniec lornetki patrzysz na świat przyszły tak karny i miłujący starszych, że w największym zapale powstrzyma go jedno skinienie piastunki, i od zabawy do pracy prowadzi bez krzyku, bez płaczu i grymasów. Nic wierniejszego nad opis téj małéj rzeczpospolitéj rządzonéj zarazem rozumem i miłością — a choć w nim sama tylko rzeczywistość, żaden wymarzony obraz szczęścia nie ukoi tak duszy, bo żaden jaśniéj nie opromienia lepszéj przyszłości.

Korzyści tych zakładów temi słowy określa autor:

„Celem *Ochrony* jest ustrzedz wiek dziecięcy od samotności — owładnąć wszystkie zdolności dziecka, a w miarę rozwijania się jego pamięci, wyobraźni i ser-

ca, poić takowe wzniosłemi obrazami cnoty, zaszczepiać poczucie miłosierdzia, prawdy i obowiązku. Tu, wiedza daje się dziecku po kropli ale nieustannie, z pomocą zacnych niewiast poświęconych całą duszą swoim obowiązkom — nauka zastósowana do sił tych drobnych istót, przyjmuje się bez wysilenia, a dziecko igrając uczy się zasad religii, prawideł języka, początków historyi, jeografii i rachunku.

„Dzięki zdolności i cierpliwości swych przełożonych, *Ochrony* paryzkie celują pomiędzy wszystkiemi moralnym i materyalnym porządkiem, tak wybitnym na rumianych, wesołych i czerstwych twarzach dziecinnych.

„Widząc ten ruch który poczyna się równo z dniem i z nim się kończy wesoło i spokojnie, w porządku takim, że na sto pięćdziesiąt dzieci ani jedno nie zapłacze, chociaż niemi rządzi sama tylko powaga słowa i przykładu — każden przyznać musi, że sposób wychowania dzieci w *Ochronach* paryzkich, lepszy jest niż najstaranniejsza domowa edukacya, przy której, jakto widzimy codziennie, dziecko pozbawione emulacyi i koniecznego towarzystwa rówienników, nudzi się, pożąda czegoś zawsze, i mimo pieszczót matczynych i dogadzania kaprysom, częstym płaczem zdradza smutek i nieukontentowanie wewnętrzne. Otóż te umartwienia, zdaniem wielu nieodłączne od dziecinnego wieku, znikły zupełnie w *Ochronach* paryzkich, które tu jako wzór przytaczam.“

Cała tajemnica ładu tych zakładów leży w takcie, z jakim umieją postępować z dziećmi przełożone. Sztuką jest umieć rozkazywać ludziom, ale bez porównania większą sztuką umieć skutecznie rozkazywać dzieciom, istotom bezrozumnym, a przecież mającym mocne instynktowe poczucie sprawiedliwości, które Stwórca składa w duszy każdego, a które z wiekiem często się zaciera. Dzieci czują mocniéj niż człowiek dorosły, choć sobie z tego sprawy zdać nieumieją, każdą nietrafność rozkazu, niesłuszność sądu, wahanie woli którą można wedle grymasu powodować — z dziwną przenikliwością dopatrują one słabéj strony matek lub guwernantek i do niéj trafić umieją. Nadto, system nerwowy tych maleńkich istót stokroć drażliwszy niż osób dorosłych: zadraśnie je każde niebaczne słowo, potrąci każde szarpnię-

cie ręki, każde silniejsze naciśnięcie palca — a cóż mówić o plagach, tém haniebném pastwieniu się siły nad słabością, które zawsze dziecko do wściekłości przywodzi, a często na wieki charakter jego wykrzywia. Ażeby rządzić dzieckiem, nie dość mieć serce — samo ono nie wystarczy; tak jak do rządzenia narodem potrzeba tu ażeby rozum przewodniczył uczuciu. Inaczéj rządy będą koniecznie raz za łagodne drugi raz za ostre — sposób nieomylny popsucia dziecka, na nieszczęście tak bardzo u nas rozpowszechniony.

Francuzki, u których jak wiadomo rozum zawsze przeważa, są najsposobniejsze do wychowywania dzieci, jeżeli (co rzadko bywa) mają poczucie obowiązku. Męska energia, wzrok bystry, silna wola, wielka praktyczność, a obok niéj spotęgowana przebiegłość kobieca, czynią z nich niewieście Napoleony, stworzone do rządzenia małym światem, który się ich lęka a zarazem wielbi i słucha.

Niedawno w jednéj z *Ochron* paryzkich, sam byłem świadkiem wypadku który najlepszą będzie próbą taktu z jakim umieją władać dziećmi tutejsze przełożone.

Matka jednego z pięcioletnich chłopców przyszła poskarżyć się ochmistrzyni, że ją dziecko uderzyło, prosząc zarazem, aby je ukarano przykładnie. Przełożona przyrzekła że dziecko nie zapomni nigdy nauki jaką z tego powodu otrzyma.

Ciekawy będąc téj lekcyi czekałem rozwiązania.

Skoro przeszło dwieście dzieci zgromadziło się w sali, przełożona przybrawszy tragiczną minę Westalki mającéj objawić ludowi znieważenie świętego ognia, rzekła do malców:

„Przyjaciele moi, mam wam objawić rzecz bardzo smutną. Jeden z pomiędzy was, jeden z tych oto co siedzą na tamtéj ławce, był tak nieszczęśliwy iż uderzył matkę swoją. Nie znam kary na taką zbrodnię — będziemy więc prosili Boga ażeby się zlitował nad zbrodniarzem. Spiewać nie możemy dzisiaj, gdyż jesteśmy nazbyt zmartwieni. Dzieci na kolana! na kolana!... i módlcie się za niego!“

Nieopisane przerażenie opanowało dzieci po téj zwięzłéj przemowie. Czterysta kolan uderzyło o posadzkę i czterysta ócz zdumiałych zwróciło się z osłupieniem na

małego winowajcę, którego wstyd i płacz zdradziły natychmiast. Godziny nauki poczęte od modlitwy zaimprowizowanéj stósownie do wypadku, przeszły w ponurem milczeniu, przerywanem tylko łkaniem biednego chłopca, który w taką wpadł rozpacz, że przełożona lękając się o jego zdrowie i mniemając że nauka była dostateczną, sama musiała go uspokajać. Przyszło to z niemałym trudem. W życiu mojém nie widziałem dziecka w większéj rozpaczy. Zdawało się że chłopiec mógł był skonać pod tą plagą czysto moralną — i potrzeba było równie silnego lekarstwa na ranę jak cios który ją zadał, to jest zaręczenia, że się już Bóg nad nim zlitował i przebaczył mu widząc boleść jego, aby przywrócić spokój w tém zakłóconém sercu dziecięcém, co jak śnieżny puszek jeszcze zaledwie dotknęło ziemi.

Książka p. Malarce, któréj w téj pobieżnéj wzmiance ledwie dotknąłem, mieści tysiące nauczających szczegółów, i nader trafnych spostrzeżeń, stawiających ją w rzędzie najznakomitszych dzieł pedagogicznych — nie romansowych jak *Emil* Russa, nie excentrycznych jak *Chowanna* Trentowskiego, ale praktycznych jak francuzki rozum.

Zajmujące dzieło malarza de Marcey pod napisem: *Etudes sur les Beaux-Arts*, zwróciło w ostatnich czasach uwagę tutejszego świata artystycznego. Jestto treściwa historya sztuki począwszy od najodleglejszéj starożytności aż do naszych czasów — pełna nauczających szczegółów, napisana bez deklamacyi ani frazesów z pawiemi ogonami, któremi tak łatwo brak wiedzy zasłonić — silna rzeczywistą nauką, niepodająca żadnéj teoryi któréjby zaraz niepoparła dowodem, tłómacząca jasno co i dla czego pozostało z życia olbrzymich wieków starożytnych, odznaczająca się od pierwszéj do ostatniéj karty poczuciem piękna, tym szóstym zmysłem którego nie zastąpi największa erudycya.

Autor oprowadza najprzód czytelnika po Indyach — zbiera pokruszone pomniki, i z tych pierwszych liter sztuki odbudowawszy całość, pokazuje jakiemi były przed tysiącami lat.

Na początku dzieła widzimy więc same indyjskie świątynie bezformne i bezozdobne, ale imponujące ogromem jak góry, w wnętrznościach których je drążono. Obok mistycznych indyjskich pomników zbudowanych

na kolosalne rozmiary natury, autor ukazuje śmieszne utwory Chińczyków, których ideałem brzydota. Nigdzie tu niedopatrzysz śladu bóstwa, cienia jakiéj bądź wiary— nigdzie świątyni; same tylko kioski lub błazeństwa— istna ironia sztuki!

Z Chin przechodzimy do Egiptu, gdzie p. Mercey dość długo zatrzymuje czytelnika. Skréśla on znakomicie ograniczoną wielkość sztuki egipskiéj, nie natchnionéj, ale mądrej jak algebra— sztuki, która jest jakby granitowym regiestrem dynastyi i dogmatów zakrzepłéj teokracyi— dziełem niewolników, którzy swym posągom pętali ręce na wzór własnych, a twarze zaciemniali bezdusznym smutkiem.

Następne rozdziały poświęca autor sztuce asyryjskiéj i babilońskiéj, których napisanie bardzo mu ułatwiły świeżo odkryte pomniki Niniwy. Sztuka asyryjska jest jakby szczeblem, po którym wstępuje się z Egiptu do Grecyi. Rzeźba już tu nieco wyzwolona z przesądu i ciemnoty, przechodzi od legiendy do historyi — od bałwanów do ludzi — więcéj myśli o ziemi niż o niebie a raczéj o piekle— poczyna budować królom pałace. Przyrosłe ręce zaczynają odstawać od boku posągów, które w Egipcie stoją skamieniałe przed obliczem swych bóstw groźnych. Przeczucie miłosierdzia Bożego zaczyna rozjaśniać czoła przerażone fatalnemi baśniami pogańskich kapłanów.

Tém naturalném przejściem autor dochodzi do sztuki greckiéj, która także skrępowana z początku ciemnotą, szybko rozwija się pod wpływem klimatu i swéj mitologii, będącéj tylko ubóstwieniem ludzkości, i dobiega do szczytu piękności pod dłutem Fidiasza.

Historyę rzeźby greckiéj p. Mercey skreślił może najlepiéj chociaż przedmiot był najtrudniejszy. Wyrabianie się sztuki greckiéj tak prostéj na pozór, jest nadzwyczaj skomplikowane: tworzył ją jakby cały archipelag rozmaitych szkół, z których każda miała swój odrębny charakter; odróżniać je i rozpoznawać, niemniéj trudno jak liczyć blade żyłki biegnące po białym marmurze i zgadywać jakiego koloru krew w nich płynie.

Z labiryntu sztuki helleńskiéj, autor zstępuje do ciemnych i tajemniczych grobów, gdzie Etruskowie greckim pędzlem malowali urny pogrzebne swych monar-

chów. Daléj przechodzi do pomników rzymskich, w których estetykę grecką zastąpiła trwałość i siła — a mitologię polityka.

Skreśliwszy urodziny, wzrost i potęgę rzeźbiarstwa, Mercey opowiada jego upadek, a następnie przeobrażenie chrześciańskie. Drugi tom rozpoczyna odrodzenie sztuki we Włoszech, oraz smutny rzut oka na dzisiejszy jéj upadek w ojczyźnie Rafaela.

Tenże sam upadek widzi autor w szkołach flamandzkiéj i holenderskiéj, których wielką przeszłość także maluje znakomicie.

Reszta dzieła poświęcona jest sztuce nowoczesnéj. Mercey trochę za ostro powstaje na szkołę niemiecką, potępia nadto absolutnie dysseldorfskich i monachijskich malarzy, obwiniając ich że naśladują niezgrabnie bizantyńskie barbarzyństwo i *dziecińśtwa mistyczne* pierwszych mistrzów. W tym ustępie znać francuza, który nawet przy wysokiem ukształceniu, nie pojmie nigdy idealnéj strony, ani ogromu myśli ogólnéj przewodniczącéj zawsze kompozycyom Corneliusa — tylko przyczepia się do niedość wykończonéj draperyi, albo powstaje na niedość zaokrąglony łokieć.

Anglikom zarzuca p. Mercey zbytek fantastyczności. *Rzut oka na nowoczesną szkołę francuzką* zakończa dzieło. Autor sławi jéj zalety — gdzieniegdzie wytyka wady: utyskuje na naśladownictwo, zasklepienie się w łatwéj sferze obrazów rodzajowych, a zaniedbanie historycznych, nie powiada wszakże, iż to pochodzi z braku głębszéj nauki i wznioślejszego natchnienia, ale jedynie z braku kierownictwa, któreby artystom tutejszym cel widomy wskazało. W ogóle wszystkie wady wskazuje w sposób tak umiarkowany, a żółć swoją w tak wielkiéj dozie miodu roztapia, że z danych przestróg artyści zapewne tylko pochwały spamiętają. Ale niemożna mu tego brać za złe — autor należy do ich cechu, a niekażdemu chce się wojować ze światem, który go otacza.

Pominąwszy tę maleńką stronniczość w rozdziale poświęconym Francyi, dzieło pana Mercey jest bardzo znakomite i zasługuje na uwagę wszystkich miłośników sztuk pięknych.

Teatra mimo gorąca dość bywają pełne. Powodzenie baletu *Korsarz* gdzie główną rolę odgrywa rozbicie okrętu, o którem pisałem w swoim czasie, wprowadziło tu w modę przedstawienia morskie. Dramat zupełnie porzucił ląd stały i przeniósł się na ocean.

Na całéj linii bulwarowych teatrów powiewa czerwona flaga korsarska. Do którego kiedybądź wejdziesz, trafisz niechybnie na morską nawałnicę lub krwawe zapasy piratów toczące się na mniéj więcéj rozigranych fluktach wody słonéj. W *Ambigu „Fléau des Mers“*, dramat którego końca z najlepszą chęcią doczekać się trudno — w *Porte-Saint-Martin „Le Fils de la Nuit,“* gdzie w ocean wody drugi ocean krwi bohaterskiéj wlewają — w *Cyrku „Les frères de la côte“* — słowem, gdzie wejdziesz same piraty. Rozboje, kradzieże, łupiestwa i gwałty, w największéj teraz modzie na teatrze paryzkim — gdybyż to tylko na teatrze!

Londyn w sierpniu.

Po dżdżystym i chłodnym lipcu, z przyczyny jak mówią napływu kry lodowéj z pod północnego bieguna ku zwrotnikom, nastała tu nagle z początkiem bieżącego miesiąca posucha i skwarny upał. Termometr przez cały pierwszy tydzień sierpnia pokazywał wciąż od 80 do 100 stopni ciepła podług Farenheita, czyli od 19 do 30 stopni podług Reaumura na słońcu, a mało co mniéj w cieniu. Tem gorąco nieznośniejsze było, że znagła po chłodnych dniach nastało. Anglicy co w Indyach wschodnich żyli, upewniają, że upały tam choć dochodzące do 112 stopni Farenheita, nie dały się im tyle we znaki, ile to podwyższone ciepło we własnym kraju. Ja nie mogę tego sobie inaczéj wytłómaczyć, jak że atmosfera Anglii będąc pospolicie mglistą i wilgotną, tak się rozparza od słońca, że się zamienia na łaźnię. Jak w łaźni téż tak było parno i ciężko do oddychania. Niebo choć było wypogodzone, błękit jego przecież nie był tak ciemny, ani tak czysty jak we Francyi lub we Włoszech, ani nawet jak u was w dni pogodne bywa; lecz nad wrębami poziomu ciągle leżała szarawa mglistość. Od

mgły téż grubéj rozpościerającéj się przez cały dzień poprzedni a najcięższéj nad wieczorem, która w nocy opadała, poczęły się upały, i w dziesięć dni potem zwolniały nieco, gdy wiatr obrócił się z zachodu. W dni najgorętsze wiatr był ciągle wschodni, suchy, mocniejszy wśród dnia, a uciszający się zupełnie nad wieczorem. Spieka wespół z tym suchym wiatrem powypalała trawy na łąkach i przyspieszyła żniwo, które nawet w południowych częściach Anglii nigdy nie bywa wcześniejsze od naszego. W wielu miejscach po piérwszym tygodniu słonecznego skwaru poczęto nie mówię żąć, ale siec pszenicę z łanów. Wynalazki różnych machin sztucznych wypędziły tu z pola sierpy, tak, że sierp od którego sierpień wziął swą nazwę, stał się wraz z wielu innemi rzeczami anachronizmem, i policzany jest do mitologicznych symbolów złotego żniwa. Żniwo to będzie tego roku obfite w Anglii; wilgotna pora jaka je poprzedzała, rozwinęła bujność ziarna, a teraźniejszy upał i pogoda przysposobiły plon do szczęśliwego zbioru. Cieszy to dzierżawców ziemi, niewiadomo jeszcze jaki będzie omłot, ale ilość ziarna i jego dobroć z próbek w niektórych miejscach dotąd uczynionych, zapowiadają, że wyda o wiele więcéj, jak za lat poprzedzających. W skutku tego ceny zboża na targach zaczynają znacznie spadać, a to tém bardziéj, że i z innych krajów dochodzą wiadomości o dobroci żniwa; z powodu zaś wojny i przerwania handlu więcéj tu gruntu obsiewano, aby wystarczyć na potrzebę kraju. U was także, jak widzę z targu zbożowego z „*Czasu*", ceny się zniżają. Ztąd wnoszę o obfitości zbioru tego lata w waszych stronach. Z wszystkiego widać że zanosi się na wielkie zawodnictwo w téj gałęzi handlu, szczególniéj jeżli oprócz portów baltyckich Odessa i Dunaj, który na teraz jest oswobodzony, wezmą w nim czynne uczestnictwo. Z Odessy już nadchodzą tu a osobliwie do Francyi południowéj ładunki zboża. Wiele tego roku, po takiém wycieńczeniu, jakiemu tamte kraje uległy przez wojnę, nie można się spodziewać. Lecz inaczéj to będzie, kiedy doznanych klęsk się zapomni, i oręże przebiją się na lemiesze.

Lecz wracam się do Londynu. Po zamknięciu parlamentu dnia 29 lipca, sejm i ministrowie rozjechali się, a ci ostatni dojeżdżają do swych kancelaryj jak się po-

trzeba okaże. Ile znajdowało się z wyższéj arystokracyi w miejscu, ci piérwéj już je opuścili, i zwykli tylko mieszkańcy stolicy nieradzi w niéj podczas téj skwarnéj pory pozostają. Gdzie więc kto może, a stać go na to i obowiązek go nie wstrzymuje, ten rzuca miasto. Najulubieńszemi są miejsca kąpieli. Cheltenham, Bath i Leamington są w téj porze przepełnione gośćmi potrzebującemi mineralnych wód; miasta zaś nadmorskie: Margate, Ramsgate, Hastings, Brighton, Dawlish, Torqay i Scarboroug, używającemi morskich kąpieli. Do nich większa część modnych zabaw, koncerta i bale się teraz przenoszą. Wielu téż puszcza się na drugą stronę Kaletańskiéj cieśniny, do czego przyjazne związki ostatnich lat z Francyą stały się niemałą zachętą i zwiedza Boulogne, Dieppe, Havre i Dinan. Zamożni i arystokratyczna klassa, która nie lubi mieszać się z nieswojemi, i jak wszędzie, tak tu szuka bardziéj odosobnienia, przedsiębierze wycieczki w odleglejsze jeszcze strony. Rosya, któréj granice piérwéj były prawie zamknięte, nastręczyła do tego dobrą sposobność. Niektórzy więc pospieszają tam i albo przyczepiwszy się do poselstwa i niby z obowiązku jadą na koronacyę do Moskwy, albo z ciekawości dla widzenia kraju, który stosunkowo mało był im znany, a znajomość jego była i jest im potrzebną. Wielu z nich udało się nad Ren, do Szwajcaryi i do Włoch w chęci przekonania co się i tam dzieje. W liczbie podróżujących w owe strony znajduje się Lord John Russell z całą swą rodziną, i pobyt jego w południowych krajach jak słychać, ma dla zdrowia być przedłużony. Nim jednak wyjechał, dopełnił chwalebnego czynu, o którym warto wam donieść.

W Tavistoku, dziedzicznem mieście rodziny jego, a należącem do księcia Bedford zakładała się kosztem tegoż księcia szkoła dla ludu. Na otwarcie jéj zjechał książę z małżonką i Lord John Russell, jako rodzony brat. Wiele téż mieszkańców i znaczniejszych rodzin z okolicy przybyło na tę uroczystość; bo w Anglii jak to dawnemi czasy działo się u was, gdzie o dobro powszechne chodzi, obywatelstwo ma zwyczaj łączyć się z sobą. Nadaje to wyższą powagę fundacyom, bywa zachętą do tworzenia nowych i tak zespólnia się trwaléj towarzystwo ludzkie. Na takich zebraniach obywatel-

skich nietylko układają się dla niego trwałe podstawy, ale nadto daje się popęd jego rozwojowi. Nieprzekroczę jak mniemam zakresu *Kroniki* dodaniem cokolwiek więcéj o téj fundacyi ks. Bedforda, nietylko przez wzgląd na jéj wartość, ale oraz aby jéj opisaniem dać wyobrażenie jakie to są szkoły angielskie dla klass uboższych i nawet średnich. Są one ledwie nie wszystkie, zakładami dobroczynnych osób, lub ze składek publiczności, a nie rządowe, jak w innych krajach; rząd się też w nie wcale nie miesza. I tak na przykład: dla tej szkoły w Tavistok, ks. Bedford dał swój grunt i wzniósł budowlę szkolną. Jest ona w stylu dawnym angielsko-gotyckim, w niéj trzy obszerne sale szkolne; jedna mogąca wygodnie pomieścić 250 chłopców, druga dość obszerna na 140 dziewcząt, a trzecia przeznaczona na szkołę niemowląt, mogąca pomieścić do 240 dzieci. Przy każdéj z tych sal naukowych są nadto poboczne pokoje i dziedzińce osobne do zabawy dla dzieci. Koszta samego wzniesienia téj budowy, która jest prawdziwą ozdobą miasta, wynoszą 3,000 fst. nielicząc w to umeblowania, ogrodzeń i wartości gruntu, coby ogół nakładu podniosło o 2,000 fst. Metoda uczenia w takich szkołach dla ludu jest lankasterska, jako najwłaściwsza i najtańsza. Używanie jéj upowszechniło się od 50 lat; za wzór do niéj posłużyły mnogie szkoły pozakładane w różnych miastach podług planu towarzystwa szkolnego brytańskiego i zagranicznego (*British and Forreign School Society*). Plan ten ma tę szczególność, że niewyłączając ogólnych zasad religijnych dozwala że dzieci różnych wyznań zarówno z nauki korzystać mogą.

Przy otwarciu téj szkoły, mieszkańcy Tavistoku poczuwając się do wdzięczności dla księstwa Bedford, złożyli dziękczynne adressa, jeden był dla księcia, drugi dla księżnéj. Przy téj saméj sposobności miano różne mowy; niektórych treść jest ważna, bo zdawała się rozwiązywać jedno z najtrudniejszych zadań społecznych. Ksiądz Taplin w swéj mowie wyraził to: że wychowanie ludu będąc wolne i niekrępowane sektarskiemi opiniami, jest najpewniejszą i najmędrszą podstawą powszechną oświaty, najlepszą ochroną od zaburzeń domowych, tudzież najskuteczniejszym środkiem zaradczym przeciw gwałtownym zmianom i rozkładowi społeczeństwa na jaki je ostatki cywilizacyi średnich wieków ciągle narażały.

Nasz postęp jako narodu cokolwiek stanowi narodową jego wielkość, pożyteczność i wyższość, zależy od starannego usposobienia jak największéj liczby młodzieży do różnych zawodów życia; wszystkie przeto klassy ludu, jako i wszystkie wyznania religijne łączyć się powinny na wyzwolenie ludu z więzów ciemnoty i steku zbrodni. Ci są największymi dobroczyńcami ludzkości co podają środki i przykładają rękę do tak wielkiego i zbawiennego dzieła. Najchlubniejszą cechą szlachectwa jest składanie darów na ołtarz powszechnego dobra, a czego dziś w tym kosztownym zakładzie mamy wzorowy przykład. Pamięć jego przetrwa wieki, bo choć wspaniały dawca jego przeniesie się do swych ojców, choć klejnoty jego wysokiego rodu zatrą się i zaginą, lecz nigdy nie zaginie szlachetny czyn serca jego, przechowa się w duszach i sercach późnych pokoleń.

Lord John Russell, w którym edukacya ludu miała zawsze jak najgorliwszego obrońcę, daléj rzecz prowadził w tym samym duchu i rzekł: Jakiekolwiek mogą być różne zdania stronnictw pod względem wychowania ludu; czy ono ma być świeckie, czy religijne; czy przymusowe lub dobrowolne, na to wszelako powszechna już stanęła zgoda, że edukacya jest potrzebna i konieczna dla ludu. Co do siebie samego, dziwił się tylko temu, jak o tém można było nawet powątpiewać, zwłaszcza w kraju wolnym jak Anglia; bo cóż może lud oświécać, jak się on ma prowadzić, jakie jego prawa i obowiązki, jak używać tamtych, a wypełniać ostatnie, jeżli nie edukacya stósowna z jego stanem? Daléj mówił, że człowiek jest odpowiedzialnym i ma obowiązki nietylko względem ludzi z którymi w jednym wieku żyje, lecz i względem Boga, który go stworzył: odpowiedzialnym przeto jest przed Stwórcą za użycie zdolności i sił swoich, któremi został obdarzony. Ktoby przeto przeszkadzał uczyć młódź, osobliwie uboższą, jaką drogą ma iść, ten zaniedbywałby nietylko swéj powinności jako członek wielkiéj rodziny ludzkiéj, lecz krom tego jako człowiek i odpowiedzialna istota winnym stałby się przed Bogiem. Pomijając nawet tę wyższą etyczną zasadę, bogaci i możni powinniby dla własnego interesu — mówił — pragnąć, aby lud w całym kraju miał wychowanie. O ile lud jest oświeceńszy, tém trudniéj daje się uwodzić złudzeniom; tylko

lud gruby i ciemny łatwo im podlega i pochopny bywa do gwałtownych wybuchów, groźnych zniszczeniem majątków, i nawet życiu. Lud posiadający zakłady edukacyjne i znający się na korzyściach, jakie z nich wynikają, będzie zawsze za utrzymaniem porządku, za posłuszeństwem prawu, bo do szanowania jego przez swą edukacyą jest wdrożony. Własne jego światło i rozsądek nakażą mu bronić, a nie niszczyć podstaw społeczeństwa.

Tę samą sprawę rozwinął daléj p. Rooker, i on zgadzał się na to, że edukacya nieprowadzi ani do niespokojności, ani do buntów, lecz owszem przyczynia się do dobrego powodzenia. Rzeczywista jéj wartość zasadza się na tém, że umacnia i oraz wstrzymuje, będąc niejako palestrą do rozwijania uczuć moralnych i władz umysłowych. Nigdy nie było tak wielkiéj potrzeby edukacyi ludu, ile za naszych czasów. Ludność nad miarę wzrasta, wznosząc się jak burzliwe fale pokonywające wszelkie zapory. Coraz więcéj widzimy ją tłumnie skupiającą się po miastach, trzeba zawczasu obmyślać środki by młodą generacyę nie zostawiać bez wychowania, aby rozwinęła należycie swoje zdolności i siły, a przecie mądrze ich używała. Aby utrzymać spokojność w kraju i ochronić go od wstrząśnień, należy starać się o rozwinięcie władz umysłowych ludu, a nadewszystko o wpojenie weń zasad religijnych w dobrze urządzonych zakładach edukacyjnych.

Inna mu się przytém jeszcze nastręczała uwaga. Dzieje Europy przedstawiają nam epoki emigracyi znacznéj części ludności za morza. Tak było trzy wieki temu, kiedy na brzegi Ameryki rzucili się wychodźcy z Europy; ten popęd do przesiedlenia nie przesilił się do obecnéj pory. Iluż to z naszéj ludności nie udaje się do Ameryki i Australii? A któż wié, czyli które z tych samych dzieci w téj szkole wychowanych, nie uda się do osad zamorskich, aby być w innych częściach świata apostołem cywilizacyi, założycielem nowych siedlisk, a może rzucić podwaliny nowych państw? Kto to wié, czy za ich pośrednictwem nie zakwitną instytucye angielskie w zarosłych lasem stronach Ameryki lub na piaszczystych równinach Australii? Lecz jeśli te dzieci, wasze lub moje, będą zaniedbane, umysł ich nierozwinięty i nie będą przyuczone do pełnienia najświętszych obowiązków

i do bojaźni Boga, jakież, jeśli nie najopłakańsze mogą być z tego następstwa! Dlatego powinnością jest naszą, jakiekolwiek są nasze religijne wyznania lub polityczne stronnictwa, czyśmy duchowni lub świeccy, jakiegobądź kto jest przekonania i wiary, połączyć nasze usiłowania ku szerzeniu edukacyi między ludem, a osobliwie między młodą generacyą, aby każdy należący do niéj mógł na przyszłość dopełniać umiejętnie i uczciwie swych obowiązków, w tym zawodzie życia, do jakiego uczuje w sobie powołanie.

Taka była treść mów. Inauguracya ta szkoły zakończyła się o 6 godzinie herbatą daną przez księżnę w pałacu dla osób obecnych na obchodzie. Rozszerzyłem się nad tym obchodem umyślnie, aby dać poznać, z jakiego stanowiska w Anglii zapatrują się na edukacyę ludu, a ten pogląd, jak wszędzie, wyznać muszę, nie jest bez przymieszania niejakiéjś trwogi i nieufności. Z tém wszystkiém stanowisko z jakiego się Anglicy na edukacyę zapatrują zdaje się być najwłaściwszém. Trzeba koniecznie lud oświecać aby go ustrzedz od złudzeń. Od trzech lat Parlament zaczął się tém na dobre zajmować, a Lord John Russell był ciągle na czele tego edukacyjnego ruchu. W bieżącym roku projekt do poprawy wychowania publicznego był wnoszony do Izb, lecz przedmiot ten zdawał się tak obszernym, a przytém zbyt trudnym do rozwikłania, że rząd go wycofał, odkładając rozbiór jego na rok przyszły. Co jednakże tego roku zrobiło się, to że zgodzono się na projekt rządowy ustanawiający naczelnika edukacyi pod tytułem Vice-Prezydenta, gdyż dotychczas wydział edukacyjny nie miał osobnego zarządu w ministeryum. Rząd zgoła nie trudnił się wychowaniem ani łożył jakowe koszta na nie. Uniwersytety i dawne szkoły opierają się jak się ciągle opierały na swych przywilejach i pierwotnych nadaniach od monarchów lub swych fundatorów i trzymają się rozkładu nauk i trybów uczenia raz przyjętych, choć przestarzałych. Drugie zakłady edukacyjne jako oparte na najnowszych zasadach, a których za ostatnich czasów liczba znacznie wzrosła, zechcą trzymać się nowoczesnych metod uczenia. Rząd będzie miał zatem trudność nie do przełamania w zaprowadzeniu jednostajności przedmiotów i metod uczenia w tych różnorodnych instytucyach. Centralizacya

nauk taka, jaką widzimy w innych krajach na kontynencie, wcale tu niepodobna; naród jéj nielubi i zaprowadzeniu jéj sprzeciwia się. Woli sam szkoły wznosić, sam mieć w nich zarząd i metodę uczenia przepisywać, niżeli poddawać je pod centralizującą opiekę rządową. Robią to z obawy, aby z utratą wolności edukacyi, niepozbawił się naród samodzielności. Jest to przedmiot wielkiéj wagi. Walka parlamentowa nad nim rozpocznie się w r. 1857: na teraz nic niemożna powiedzieć pewnego; nieprzesądzam więc nic, dopóki ona się nierozstrzygnie.

Prasy drukarskie jęczą od mnóstwa pism o kampanii skończonéj na Wschodzie. Jednem z najciekawszych jest pomiędzy niemi opis oblężenia Karsu przez pułkownika Lake, a drugiem Głos z pod wałów sebastopolskich. (*A voice from within the walls of Sebastopol*) przez kapitana Chodasiewicza. Zawiera ono plany bitew, opisy różnych zdarzeń i mnóstwo ciekawych anegdot o dowódzcach rosyjskich. Autor miał do robienia postrzeżeń wyborną sposobność, będąc od samego początku oblężenia w Sebastopolu. Odznaczył się pod Inkermanem zabraniem z swą kompanią angielskiéj dwudziałowéj bateryi, lecz następnie w towarzystwie jednego z towarzyszy swoich przeszedł do wojska angielskiego. Ucieczki tej dokonali obadwa jednego poranku w miesiącu marcu 1855 r. Przyjęci przez generała Colin Campbell z uprzejmością w obozie angielskim, zostawali przy głównej kwaterze, świadcząc ważne przysługi aż do końca wojny. Po ukończeniu jej, kapitan Chodasiewicz zajął się spisaniem swych postrzeżeń nad kampanią krymską, i jeden z pierwszych wydawców londyńskich, p. Murray, ogłosił je drukiem. Przytoczę z tego dziełka choć parę wyjątków. Postrzeżenia autora są ważne, bo z głęboką znajomością ducha narodu i wojska rosyjskiego pisane.

Opowiadanie swe poczyna od radości jaka panowała w wojsku rosyjskiem za nadejściem wieści, że flota sprzymierzonych miała przypłynąć do Krymu. Nikt z pomiędzy Rosyan, począwszy od księcia Menszykowa aż do prostego dobosza, niewątpił iż ją tam zniszczą, i że sam Bóg ją na zagubę tam sprowadza. Lecz niebawem spuścili nieco z tonu, kiedy ta ogromna armada

nadpłynęła i ujrzeli ją zbliżającą się ku brzegom. O tem tak się autor wyraża: „Zająwszy pozycyę naszą na wzgórzach, najwspanialszy widok przedstawił się oczom naszym. Od Eupatoryi na południe cała flota sprzymierzonych rozciągała się ponad Słonemi Jeziorami, a jak się sciemniło, cały las masztów jaśniał tysiącami lamp różnobarwnych. Umysły tak żołnierzy jak oficerów zdumiały się na widok tak niezliczonego mnóstwa okrętów, zwłaszcza, że wielu spoglądających na nie, ledwo kiedy w życiu widziało morze i jaką taką siłę morską. Żołnierze poczęli między sobą gadać: Patrzno na tych niedowiarków, wszak ci to oni zbudowali drugą świętą Moskwę na bałwanach morskich. Mówili zaś tak, przez porównanie tylu masztów okrętowych z kopułami cerkiew starożytnéj swéj stolicy. Oficerowie zaś poczęli obrachowywać, ile na tak licznych okrętach mogło być wojska? Naliczyli go na 80000, i zaczęli powątpiewać o zwycięstwie, którego przed dwoma dniami każdy z nich był pewien.“

Pomimo tego wojsko nieupadało na męstwie; niczego też niepominięto, aby utrzymać dobrego w niem ducha. Jeśli którego z żołnierzy spostrzeżono ze smutną miną, karano go jako krnąbrnego; a kapitan Goriew (zabity później kulą przez swoich) skazał jednego żołnierza z swéj kompanii na kije, dopókiby się nie zaśmiał. Uporczywiec ten niedał się skłonić do ryczącego smiechu, dopóki mu niewliczono sto kijów.

Nadszedł wkrótce dzień fatalny nad Almą. Anegdotka o nim Anglikom szczególnie się podoba, bo z niéj dowiadują się, co Rosyanie o ich wojsku przed tą bitwą myśleli. „Około dwunastéj mieliśmy całą armię sprzymierzoną przed oczyma. Widok był przepyszny i niezrównany, kiedy w odległości na dwa strzały działowe zaczęło się przed nami wojsko rozwijać w kolumny do ataku. Na prawéj, jakeśmy stali, postępowała ku nam czerwono umundurowana kolumna. Zapytałem się pułkownika, ktoby to byli? Odpowiedział, że to Anglicy. Usłyszawszy to oficerowie i żołnierze żałowali że angielskie wojsko miało iść do ataku na środek i na prawe nasze skrzydło. Szkoda ich — wielu litowało się — będziem mieli z nimi tęgiego figla w bitwie, bo jako majtki mogą oni być dobrzy na morzu, ale nie jako

żołnierze. Jakże im bić się z nami na lądzie?“ Lecz kiedy potem ci czerwonomundurowcy przeszedłszy w bród rzekę, otworzyli ogień na naszą redutę—jak pisze autor —zdziwiło nas to najbardziej, a czegośmy nigdy wprzódy niewidzieli, że w podwójnym tylko szyku szli do ataku. W przekonaniu naszem, żołnierz nie ma nigdy dość moralnéj siły, żeby w takim napozór słabym szyku uderzać na kolumny większéj głębokości. Po fatalnej klęsce dnia tego, Menszykow uskarżał się na podwładnych i na wszystkich, a wszyscy zaś zostający przy życiu uskarżali się na Menszykowa. Kapitan Ch. dodaje, że armia rosyjska w tym dniu ocalenie swe winna była jedynie brakowi jazdy w wojsku sprzymierzonych. Jakie zdanie po téj klęsce miało wojsko rosyjskie o swych dowódzcach, najdobitniej można sądzić z tych słów starego sierżanta moskiewskiego: Płot jest dobry, ale słupy kiepskie; i tak cały płot idzie do licha.

Śród murów Sebastopola admirał Korniłow był mężem jakby stworzonym na obronę tej fortecy, i pisarz nieskąpi mu z tego względu wszelkich pochwał. Bluźniercze jego przytacza słowa, że niesprawiedliwość zarzucanoby Bogu, gdyby dozwolił upaść téj twierdzy. Umiał on także działać na fanatyczne uczucia ciemnego żołnierstwa, które miał pod swą komendą. Jaki zaś był fanatyzm, za przykład może posłuży jedno zdarzenie podczas zatapiania okrętów w zatoce sebastopolskiej. „Okręt Trzech Świątyteli (Trzech Biskupów), choć był przedziurawiony, niechciał tonąć. Około osmej wieczorem trzy strzały dano do niego z parowca Władimir, lecz i to nic niepomogło, i jeszcze pływał na powierzchni wody. W tem majtek jeden z okrętu Władimira przystępuje do kapitana i prosi go, by mu pozwolono udać się na okręt Trzech Świątyteli przeznaczony na zatopienie, aby uratować z niego cudowny obraz dany przez biskupa Odessy przy spuszczaniu okrętu na morze; ponieważ, jak majtek ręczał, to jedynie było przyczyną, że okręt niemógł zatonąć. Kapitan z uśmiechem pozwolił na jego prożbę. Majtek popłynął i niedługo wrócił z obrazem, i stanąwszy z tryumfującą miną pokazywał go kapitanowi i swym towarzyszom, wykrzykując radośnie: „Jakże wy mogliście się spodziewać, aby rzecz tak święta zatonąć mogła?“ Później jednak

strzały jeszcze w okręt posłano, i te mu w końcu zatonąć pomogły".

Opis bitwy pod Inkermanem bardzo interesujący w niej kapitan Ch. szczególniej się odznaczył, zabierając z swą kompanią baterye obsadzoną przez gwardyą angielską. W téj bitwie tak rozbite były siły rosyjskie, że uderzeniem natychmiast na Sebastopol można było tę twierdzę zdobyć. Trzecią część wojska Rosyanie w ten dzień utracili, największe zwątpienie i trwoga panowały w Sebastopolu. Nikt nieśmiał cesarzowi Mikołajowi o klęsce téj donieść; całą winę zwalono na jen. Adlerberga, który plan do niej był podał; jego więc wysłano do Petersburga dla raportowania o tém co się stało. Wielcy Książęta po téj rzezi odwiedzili główny szpital w celu niesienia pociechy rannym i ratowania wojska od rozpaczy. Tu przypadkiem kapitan Chodasiewicz znajdował się u drzwi szpitala kiedy przyszli książęta. Opowiada on spotkanie się z nimi w téj osnowie: „W. Książe Michał szedł naprzód i jak się ku mnie zbliżał, postrzegłem, że łzy stały mu w oczach. Przechodząc oddał mi pozdrowienie i wraz zapytał, czy i ja byłem raniony? — Nie, odrzekłem. — Następnie pytał, czy byłem w boju? Odpowiedziałem, że byłem, że z kompanii 120 ludzi któremi dowodziłem, tylko 45 pozostało! — Tak, rzekł — pamiętam dobrze wasz pułk; on był pierwszy w angielskiej bateryi. — Tak jest, on był tam — powtórzyłem Księcia Michała słowa. Podczas tej rozmowy zemną, mnóstwo rannych żołnierzy poczęło się czołgać na miejsce gdzie stał książę, jedni bez rąk, drudzy bez nóg, każdy jęcząc z boleści: mogło być tam do 300 tych kalek, szczątków postaci ludzkich ledwo do poznania. Był to widok okropny, bolesny. Po ostatnich zemną słowach, Wielki Książe Mikołaj zbliżył się do brata, z brwią jak uważałem zachmurzoną. Coś do siebie z cicha po francusku przemówili i chcieli iść dalej. Lecz to właśnie było hasłem dla tych biednych kalek do wzniesienia głosu i błagania książąt o zlitowanie się nad nimi, a każdy z nich starał się zwrócić uwagę na posiekane członki, na swe kalectwo i rany. W. Ks. Mikołaj obrócił się do nich i rzekł tonem, który mi się wydawał za surowy: „Niezważajcie na to; mój ojciec

wynagrodzi was wszystkich. — Tak — odrzekł jeden z rannych, — ale niewróci mi rąk moich.“

Więcéj dałoby się tu z tego dziełka przytoczyć; lecz zwykła objętość listu niepozwala na to. Jeden tylko szczegół nadmienię jeszcze. Przed bitwą pod Inkermanem nadeszła znaczna summa pieniędzy z przeznaczeniem od cesarza Mikołaja dla żołnierzy. Z rozdzieleniem jej jednak wstrzymano się aż po bitwie: i tak to co miało się żołnierzom dostać nim polegli, poszło do kieszeni oficerów dowodzących pułkami.

W *Timesie* z dnia 23 lipca wpadł mi był w oczy następujący paragraf: „Kanclerz Skarbu poświadcza niniejszem, że otrzymał 1 f. st. 6 pensów, jako należytość podatku od herbowej pieczęci przez dwa lata nieopłaconego przez B. A. F., z powodu jego niebytności w kraju. Otrzymał także Kanclerz pierwsze połowy not bankowych na 400 f. st. *a conto* podatku dochodowego od X. Y. Z.“ Noty bankowe na połowy przedarte, jedne posyłane są pierwéj, drugie późniéj, dla bezpieczeństwa na poczcie, aby gdyby jedna połowa zaginęła, numer ten sam drugiéj połowy pozostał. Lecz to nawiasem. Że zaś tamto przytoczyłem, jest to dla okazania nadzwyczajnéj sumienności jaka się objawia w charakterze narodu angielskiego. Fenomen to rzadki, a przeto godny do zastanowienia. W innych krajach zwyczajem jest uchylać się ile można od podatków, ukrywać swe mienie i dochody od nich — nie mówię iżby i tu tego nie było, bo nikt uszczuplać swego mienia nielubi — szemrzą przeciw nakładaniu podatków, ale kiedy te raz są nałożone, każdy je sam dobrowolnie i sumiennie do rubryk urzędowych zapisuje. Gdyby zaś kto przez zapomnienie lub inny jaki przypadek, czy to na wielką czyli na mniejszą summę niezaciągnął się do podatku, a potem wszelako odsyłał ją jako należność do skarbu publicznego, i to jeszcze z ukryciem swego imienia, jak to X. Y. Z. i B. A. F. uczynili, a zdarza się widzieć często wielu innych toż samo czyniących — jest to wielkiej rzetelności dowodem, albo raczej sumiennością rzadką i niemal bezprzykładną. Takiéj sumienności przykład dali z siebie ci, co będąc wezwani do ofiary dobrowolnéj (charitativum) dziesiątego grosza od łanu, na potrzebę kraju, wyżéj nad to podawali swe majątki, i rzad-

kie też w cudzych dziejach Habdanki. Cechą największego zepsucia kraju jest, w którym najwyżsi urzędnicy, z poniżeniem własnéj i narodowéj godności grają na bursach lub jak teraz z śledztwa nakazanego przez cesarza Aleksandra w Rosyi okazało się — bogacą się groszem skarbu publicznego, rozerwaniem 90,000,000 rubli — jak tu nas dochodzi — by dogodzić łakomstwu swemu. Nic takowego na żadnym urzędniku angielskim a mniéj jeszcze na oficerach nie okazało się w téj wojnie. Był nieporządek i nieład — nieład Bałakławy przeszedł nawet w przysłowie; była rozrzutność i marnotrawstwo bez miary, pochodziły one w części z braku doświadczenia, w części z nieudolności; lecz żaden z dowódzców angielskich brudnym czynem się nie splamił. Leżało to w ich charakterze i wychowaniu narodowem.

Biorę się teraz do pióra, albo raczéj *stylu* Aristarcha, bo za jego czasów piórami nie pisano. Wybaczcie mi, wszak wam o to chodzi, aby błędy historyczne do *Czasu* niewciskały się. Taki jednak błąd i dość ważny, wcisnął się do jego kart z listu z Carogrodu. Sprawa ta tyczy się Puławskiego, którego grób i napis na nim korespondent Carogrodzki miał odkryć „wyryty na kamieniu“ na smętarzu tamecznym *Grand Campo*. To żadną miarą być niemoże, bo choć Puławski bawił niejaki czas w Turcyi, nie umarł tam ani był tam pochowany. (W liście tym była wprawdzie mowa o Puławskim, lecz nie o Kazimierzu. *Red. Cz.*) Miejscem śmierci jego była Ameryka, umarł z ran odebranych w obronie Savany. Choćby wielolicznych innych dowodów na to niebyło, dostateczném już jest świadectwo jenerała Małachowskiego, które ogłosiliście w czerwcowym Dodatku (str. 692). „Szczęśliwie dostaliśmy się do miasta *Savanah* — pisze jenerał — gdzie nam w ciągu kilkunastodniowego bawienia, Amerykanie pokazali grób Kazimierza Puławskiego wymurowany w miejscu, w którém spadł z konia nasz rodak komendant jednego regimentu kawaleryi francuzkiéj przesadziwszy wał i spadłszy w środek reduty angielskiej.“ Jenerał M. nieopisuje tego grobu, ani dotyka dalszych szczegółów zgonu Puławskiego, wyjąwszy to, że spadł z konia w redutę: niemusiał wszakże dostać się wtedy do niewoli Anglikom, kiedy znów widzimy go występującego na scenę, snać jak był już ranny. Zgon

i grób Puławskiego opisał p. Buckingham, anglik, którego osobiście znałem, a rok temu jak umarł, w dziele: *The Slave States of America* (tom I. str. 122). Przytaczam tu jego opowiadanie, które choć się nieco różni od opowiadania jenerała M., będzie jednakże dopełnieniem jego. „Z pomników znajdujących się w Savanie pokazywano mi jeden stojący na środku placu *Monument Square*. Jest to obelisk kamienny na dość wysokiéj podstawie, wzniesiony na pamiątkę Hr. (*Count*) Puławskiego, szlachcica polskiego, który jak Kościuszko drugi jego rodak i Lafayette francuz, miał czynny udział w wojnie amerykańskiej, i otrzymał śmiertelną ranę (*death-wound*) podczas przypuszczonego szturmu na Savanę przez wojska i floty amerykańskie i francuzkie razem połączone, kiedy to miasto zostawało w posiadaniu Anglików. Umarł Puławski na morzu, i pochowany był z wszelkiemi wojskowemi honorami w jego toniach.“ Nielada imie Puławski zostawił po sobie w Ameryce. Jego popiersie znajduje się w galeryi kongresowéj w Washingtonie, w rzędzie sławnych mężów Stanów Zjednoczonych. Popiersia i portrety jego można napotykać po domach prywatnych i instytutach publicznych. Okręty nazywane są jego imieniem, i jeden z takich parowiec, na rok przed pobytem p. Buckingham w Savanie, miał nieszczęście zapalić się na morzu płynąc z Savany i Charlestown do Nowego Yorku; do 200 ludzi z saméj Savany wtenczas okropną śmiercią zginęło. Największy z hotelów w Savanie nosi nazwę: *Pułaski House*. Poeta amerykański Longfellow umieścił go w *Pieśni Sióstr Morawskich* ofiarujących mu poświęconą chorągiew idącemu do boju. Załączam tu ją w tłómaczeniu przez p. Aleksandra Rypińskiego. Do angielskich słów dorobiono piękną muzykę.

Hymn Morawskich Siόstr Betlehemu
przy
Poświęceniu Znamion Puławskiego.

Przekład z amerykańskiego poety *Longfellow*.

Gdy Puławskiego sztandar poświęcano,
Pogodnie konał jasny dnia ostatek;

W świątyni promyk zbłąkany za ścianą,
Przed wielki ołtarz zleciał aż do kratek.
Tam, rzędem długim tliły się gromnice,
I pozłacały głowy i kaptury;
Czerwony sztandar, zawieszon u góry,
Spadał przed ołtarz. — Kapłan kadzielnicę
Huśtał ku niemu — obrzędne modlitwy
Odprawiał nad tém przyszłém godłem bitwy.
Cichy hymn sioster rozległ się do koła
Po tajemniczéj zamgle wśród kościoła:

* * *

— „Weź znamie twoje! pomoże ci rzucić
Do walki hufiec twych dzielnych rycerzy,
Gdy nieprzyjaciel przyjdzie tu zakłócić
Te nasze niwy i świętość pacierzy.
Gdy Marsa trąby dadzą hasło boju,
Gdy do wzgórz naszych sennego spokoju,
Wedrze się gwatłem okrzyk wojny dziki;
Kruszyć się zaczną i lance i piki!

* * *

Weź znamię twoje! ono cię powiedzie! —
Ty wzajem strzeż je, nieodstępuj w biedzie,
Póki niebędzie wolnym nasz kraj luby!
Pod niém, w godzinę twéj najcięższéj próby,
Gdy cię nacisną nieprzyjaciół roty,
I świstać będą pociski i groty,
Przed ostrzem pieszych, przed szarżą konnicy,
Bóg cię zasłoni tarczą swéj prawicy!....

* * *

Weź znamię twoje! ale pomnij święcie:
Skoro noc walkę przyjmie w swe objęcie,
A zwyciężony nieprzyjaciel klęknie,
Precz odrzucona broń od niego szczęknie;
Niechaj go wtenczas litość twa ocali!
Oszczędź go, bośmy i jego kochali;

Pomnij, że tu się za niego modlono;
Oszczędź go! jeśli chcesz by cię szczędzono!

* * *

Weź znamię twoje! weź! — jeśliż, broń Boże!
Śmierć ci żołnierskie gdzie zgotuje łoże,
Kirem pokryte bębny smutnie jękną,
W ich takt żałobnie towarzysze stękną;
A ten czerwony sztandar będzie tobie
Oznaką sławy i całunem w grobie." —

* * *

Rycerz jął znamie ochoczo i dumnie;
Czemże mu było? — prześcieradłem w trumnie!

W przedmiocie naukowym sławne Stowarzyszenie Brytańskie (*British Association*) miało w Cheltenham tegoroczny swój zjazd. Dr. Daubeny, prezes jego na rok bieżący, zagaił d. 6go sierpnia posiedzenie, i w mowie swéj, podług przyjętego zwyczaju skreślił obraz postępów jakie w przeciągu upłynionego roku zrobiono w różnych wydziałach umiejętności i wiadomości ludzkich. We dwa dni późniéj różne sekcye rozpoczęły swe sesye i odczyty które trwały co dzień przez cały tydzień. Niepodobna mi wyliczać tu poszczególnie przedmiotów o których pierwsi uczeni angielscy rozprawiali, wykazując szczeble na jakich wiedza ludzka dziś stanęła i w jakich kierunkach dąży do dalszych jeszcze szczytniejszych zdobyczy na drodze poznania. Każda sekcya miała swego prezesa, pod którego kierunkiem i zarządem odczyty odbywały się. I tak w wydziale matematycznym prezydował prof. Walker; w chemicznym prof. Brodie; w geologicznym prof. Ramsay; w fizycznym i fizyologii prof. Bell; w mechanicznym inżynier Rennie; w geograficznym i etnologicznym Sir Henri Rawlison. Wyliczyłem ich imiona dla tego, iż każdy z nich uchodzi za najbieglejszego w swoim wydziale nauk. Sir H. Rawlison naprzykład, z wyjątkiem może jednego Layarda, jest jedynym co dziś posiada najgłębszą znajomość starożytności

asyryjskich. Na posiedzeniach czytał on o swych odkryciach w Asyryi i Babilonie, o ciekawych tam zabytkach starożytności i tłómaczył znaczenie klinowatych (*cuneiform*) napisów, czyli starodawnego pisma asyryjskiego jakie się znajduje na nich. Sir Snow Harris czytał o najnowszych odkryciach elektro-magnetycznych. P. Grove o współstosunku (correlation) sił fizycznych. Była także czytana wielce ciekawa rozprawa o strychninie, tym subtelnym wyskoku z wroniego oka, którego nadużycie w ostatnich czasach tylu trucicieli w Anglii powiodło na szubienicę. Towarzystwa uczone insze, a jakich jest mnóstwo po miastach angielskich, poświęcone etnologii, statystyce, historyce, sztukom wyzwolonym, rolnictwu, wysłały z grona swego delegacye na ten kongres uczonych Stowarzyszenia Brytańskiego. Cudzoziemców mniéj tego roku było jak kiedykolwiek za lat przeszłych: Z Stanów Zjednoczonych był p. Hurlpert i prof. Rogers; z Rosyi, Dr. Kupfer i porucznik Susow; prof. Gruter z Bonn; Dr. Brennecke matematyk z Poznania; Dr. Hombeck z Kopenhagi. — W zagajeniu przez prezesa znajduję w poczcie imion zasłużonych dla nauk, wspomnienie o Sumińskim. Mowa była o botanice, i nasz ziomek wspomniany w związku z postrzeżeniami zrobionemi nad krytopłciowością roślin. Stowarzyszenie to brytańskie, które na mocy ustawy swéj jest wędrownem, obrało na rok przyszły Dublin na swój zjazd i posiedzenia.

Umarł tu temi dniami Dr. Buckland sławny geolog, a przez śmierć jego nauki geologiczne poniosły wielką stratę. Dr. Buckland był dziekanem Opactwa Westminsterskiego, i pomimo wysokiego dostojeństwa w kościele, poświęcał się badaniom przyrodzonym a szczególniéj geologii z zapałem najgorliwszego dociekacza. Węgiel kamienny, i ogromne kopalnie jego w Anglii, miały w nim niezrównanego badacza i objaśniciela. Nadto znanym on był z popierania nauk i zakładów naukowych; nowe muzeum geologiczne na ulicy Jermin w Londynie winne jest jedynie staraniom jego i p. De la Beche swój początek i założenie. Naukę swą łączył z praktyką, stosując ją do potrzeb życia i wygody klass roboczych w kopalniach i fabrykach. Przez zabiegi i wpływ jego u rządu, mieszkania najuboższe w stolicy zostały zaopa-

trzone w wodę. Żałowany jest nietylko jako teolog i mąż uczony, ale jako dobroczynny reformator społeczeństwa. Z takiéj rozmaitości żywiołów ten „Boży świat“ się składa, że po wspomnieniu o zgonie tego poważnego Doktora Teologii, przychodzi mi jednocześnie pisać o śmierci artystki teatru, o którym ja jak wiecie rzadko piszę, bo naród angielski ani w widowiskach teatralnych gustuje, tak jak to gdzieindziéj się dzieje, by za niemi aż przepadał, ani nawet teatra są w modzie. Tą artystką, albo jakby kto pisząc z któréj innéj strony powiedział, tą *gwiazdą*, która z firmamentu zgasła jest pani Vestris, od 30 lat dość znana aktorka nietylko na scenie angielskiéj ale nawet na paryskiéj, tak w tragedyi jak w komicznéj operze. Że była niepospolitą, dobrą i popularną aktorką, najlepszym dowodem tego jest, że miała corocznie 7,500 f. st. dochodu; a że była najgorszą gospodynią, to to, że powtórny mąż jéj, p. Mathews, sam dobry aktor komiczny, musiał za długi odsiadywać w więzieniu, i osobliwszem zdarzeniem, właśnie kiedy miał być dla niéj dany benefis i mąż z więzienia był wypuszczony, ona tego właśnie dnia nagle umarła. Zbieg ten okoliczności z rzeczywistego życia wygląda sam przez się na *coup de théâtre*. Liczono ją do rzędu najutalentowańszych aktorek; występowała na scenę w *Drury-Lane* i *Covent Garden*; a w końcu objęła dyrekcyą teatru *Olimpic*, który był przez nią jak najgustowniéj urządzony i bardzo był uczęszczany. Żyła lat 59; ojciec jéj nazywał się Bartolozzi i był rytownikiem.

Warszawa w sierpniu.

W tych dniach zdarzył się u nas następujący wypadek:

Okradziono sklepik żyda handlarza, co już należy do nadzwyczajności, bo żydzi nie łatwo dają się okraść. Owóż żyd, jak rzecz naturalna, zaniósł skargę do wydziału indagacyjnego w Ratuszu. W tym wydziale odbywają się zwykle wszelkie początkowe śledztwa kradzieży i nadużyć w Warszawie popełnianych. Jest tam

na służbie kilkudziesięciu tak zwanych *łapaczy*, którzy trudnią się wyszukiwaniem i dostawianiem wszelkiego gatunku złodziejów i złoczyńców. Znają oni wszystkie ich kryjówki i ich samych osobiście, a nawet często żyją z nimi w bardzo dobréj komitywie, dopóki nie zajdzie skarga, a w skutku niéj potrzeba wynalezienia winnego. Wówczas łapacz wié gdzie kogo szukać, nigdy się nie omyli i zazwyczaj rzeczy dość zgodnie się odbywają, bo łapacz niegdyś kolegował z tymi, przeciwko którym jest użyty. Jest on oswojonym ptaszkiem wabiącym dzikie ptaszki w sidła łowieckie. A pamiętny swojéj przeszłości i dobrych stosunków, chyba zmuszony koniecznością występuje przeciwko tym którzy jego przyjaźń umieją bardzo arytmetycznie cenić.

Taki łapacz nie uważa się za oficyalnego sługę policyjnego, chociaż jest nim rzeczywiście. Chodzi on zwykle po cywilnemu, bo powinien być nieznany. A wkręci się wszędzie, i jeżeli szczerze zechce, wynajdzie najdrobniejszy przedmiot skradziony, choćby go nawet pod ziemią ukryto.

Żyd *quaestionis* wiedział o tém dobrze; więc kiedy z urzędu naznaczono mu łapacza do śledzenia jego straty, przyrzekł mu pewne *quantum*, jeżeli w krótkim czasie dostawi złodzieja wraz z rzeczami skradzionemi. Ale łapacz choć nie umiał po łacinie, musiał być jednak praktycznie oznajomiony z przysłowiem: *verba volant, scripta manent*, i znał pewnie dobrze co to są *verba* żydowskie. Upominał się więc o zapłatę z góry, ale żyd ze zwykłą potomkom Izraela nieufnością (dość jednak usprawiedliwioną w tym razie) odmówił mu téj zapłaty. Widząc tedy że tu nie ma interesu, łapacz pożegnał żyda życzeniem żeby skradzione rzeczy jak najprędzéj się znalazły, i poszedł gdzie go ważniejsze powoływały sprawy.

Żyd czekał cierpliwie przez kilka dni, widząc jednak że o wykryciu złodziejów ani słychu, udał się znów do łapacza. Ten ostatni oświadczył mu z ubolewaniem, że pomimo wszelkich starań, poszukiwania dotąd okazały się bezowocnemi. Ale żyd wiedział czego się trzymać i przywiedziony do ostateczności oświadczył bez ogródki, iż jeżeli dotąd nie wynaleziono skradzionych rzeczy, to dla tego że nie chciano tego uczynić.

Tu łapacz przybrał minę urzędową i zagniewaną.

— Jakto! zawołał, ty *wichrzycielu*, ośmielasz się na policyę rzucać oszczerstwa? —

— Ja żadnych oszczerstw nie rzucam, ja tylko tak sobie gadam.

— Uwłaczając słudze policyjnemu, ty całéj korporacyi uwłaczasz.

— Korporacya jest bardzo dobrą, ale niech mi korporacya moich rzeczów wynajdzie.

— Kiedy ci mówię że nie można wynaleźć, złodzieje się pochowali.

— Nu, to trzeba ich wyszukać, wszakże pan to umiesz.

— Ja niepodobnych rzeczy robić nie umiem.

— Jakże niepodobne?—zawołał żyd nauczony doświadczeniem—dla takiéj najlepszéj policye w świecie co ma być niepodobne? —

— No to co innego, przynajmniéj teraz rozsądnie gadasz—rzekł umitygowany łapacz.

— Naturalnie że najlepsza. We Francyi to ma być taka dobra policye, że jeżeli skradną co w nocy, to ona już wié nazajutrz o południu gdzie są skradzionych rzeczów. W Anglii to jeszcze lepsza, bo nawet téj saméj nocy przystawią złodziejów. Ale u nas to najlepsza, bo jak kogo skradną, to panowie łapacze jeszcze dnia wczorajszego wiedzieli co komu mają skraść.

Z téj opinii żydowskiéj żadnego sensu moralnego nie wyprowadzam; to tylko pewna, że w ostatnich czasach kradzieże zagęściły się znacznie u nas. Na najludniejszych ulicach złodzieje wchodzą po drabinach na pierwsze piętra, wyłamują okna i zabierają co im się spodoba bez żadnéj przeszkody. I chociaż kilka z tych kradzieży wyśledzono, co dzień pojawiają się nowe zażalenia. A najmądrzejsi i najtrudniejsi do przekonania są przechowywacze rzeczy skradzionych. Z nimi ani podobieństwo trafić do ładu; często i złodziéj jest wykryty, i sam przyznaje że takiemu a takiemu sprzedał za bezcen skradzione sprzęty, a właścicielowi niepodobna przyjść do własności, bo na tym który kupił, żadną miarą nie można wymódz przyznania, a rzeczy są już w dziesiątém ręku i zupełnie kształt zmieniły. Trudno uwierzyć z jaką takie rzemiosło idzie szybkością. Skradziono co z rana, a wieczorem sam już właściciel

nie pozna swojéj własności. Istnieje tu klasa osobnych przekupni trudniących się całym tym handlem, i mają się z tego bardzo dobrze, a znając wybornie przepisy prawa, potrafią się od wszystkiego wykręcić.

Więc téż rząd ostrą ręką zamierza się brać do tego wszystkiego, i w miarę podawanych skarg wyznacza osobnych urzędników do śledztwa. Ale co podobno ważniejsza, nadszedł jak się zdaje kres na innego rodzaju nadużycia, jak naprzykład zdzierstwa panów piekarzy, rzeźników itd. Już parę razy w waszym *Czasie* zdarzyło mi się czytać skargi dotyczące tego samego przedmiotu. Ale nie uwierzycie co się dzieje u nas. To istny monopol na rzeczy najbardziéj do wyżywienia potrzebne. Nie pytają się nawet o taksę, taksa w prawo a oni w lewo. Ot naprzykład teraz cena zboża tanieje i coraz bardziéj tanieć będzie, a zaledwie wykołatano żeby chléb był o grosz na funcie tańszy. Kiedy jeszcze świeżego zboża nie było, panowie piekarze utrzymywali, że u nich brak jest zupełny zapasów, i nawet nieraz niedostateczną ilość wyrabiali chleba. Obecnie zboża podostatkiem, bo urodzaj jak dawno nie był. Ale piekarze znowuż utrzymują, że nie mogą taniéj chleba sprzedawać, bo mają zapasy dawnego zboża, które się kupowało po droższych cenach a nie może być teraz zmarnowane. Tymczasem te zapasy zakupione były na wpół darmo z magazynów wojskowych, po ukończeniu bowiem wojny rząd nakazał wszystkie owe pozostałości magazynowe, których była ogromna ilość, sprzedawać po bardzo taniéj cenie, żeby ulżyć nieco tym sposobem ogólnemu niedostatkowi. Naturalnie, że wielką część tego zboża zakupili piekarze warszawscy, i licząc je sobie po cenach przednowkowych, każą nam spożywać chléb stęchły a drogi, podczas kiedy jest tyle zboża świeżego.

Toż samo z rzeźnikami, chociaż podobno z nimi rzecz już ukończona. Książe Namiestnik dla wyśledzenia ich nadużyć naznaczył osobną komisyę, i już widoczne w stanieniu mięsa okazują się skutki. Taż sama komisya ma się podobno piekarzami zatrudnić i zagrodzić aby nie miało daléj miejsca nieprawe wzbogacanie się pewnych procederzystów ze szkodą ogółu.

Dziwnym zmianom ulega życie nasze warszawskie, chociaż trzeba przyznać, że zawsze postępowo idzie.

Dobre i złe usposobienia przychodzą tu jak fantazye, wiatr jakiś zawiał i wszystko się zwróciło za wiatrem. Ot naprzykład teraz panuje fantazya do poezyi i malarstwa. Poezya jako książka bywa teraz nieledwie najpokupniejszym towarem, a pomiędzy naszymi malarzami zwłaszcza z młodszéj generacyi, każda by najmniejsza zdolność znajduje zaraz swoich lubowników, oceniaczy, a co ważniejsza, nabywców. I ceny dzieł sztuki, jak na kraj nasz, doszły do sporych rozmiarów. U Hirszla gdzie jest ciągła wystawa nowych obrazów, rzadko się zdarzy żeby który z nich czekał na nabywcę. Krzyczano tu na młodych naszych malarzy, że korzystając z tego usposobienia publiczności, robią na gwałt, mniéj dbając o dokładność i wykończenie roboty, byleby szybki był zarobek. Ale wiedzieli oni dobrze co czynili. Jak skoro któren z nich zebrał nieco pieniędzy, zaraz brał paszport i wyjeżdżał za granicę, ten do Niemiec, ów do Włoch, tamci znowu do Paryża, każdy wedle możności i owego tajemnego instynktu który kieruje krokami artysty, a który nieraz najlepiéj mu radzi. Słowem, powstała ogólna emigracya; w Warszawie mało kto został, ci tylko co musieli tak uczynić, bo nie mieli za co wyjechać. Więc tym razem wołania dziennikarzy, którzy przez kilka lat wykrzykiwali na obojętność, nie były głosem na puszczy, a pieniądze amatorów na podwójny przydały się użytek.

Co zaś do poezyi, ta prosperuje w całém znaczeniu tego wyrazu. Pol, Lenartowicz, Syrokomla niedługo zasiedzą na półkach księgarskich; księgarze wiedzą o tém i zaczynają już uważać wydawanie poezyi jako dobrą spekulacyę, a nawet coraz lepiéj płacić autorom. Niedość na tém, pojawiają się ciągle nowe talenta, Korytyński, Faleński, teraz Żmudź cała brzmi odgłosem pochwał nowéj młodéj poetki panny Karoliny Proniewskiéj. Bo téż Litwa, a w ogóle może i inne zabużańskie prowincye, tém się różnią od Królestwa, Galicyi i Poznańskiego, że u nich (u Litwinów) lada jaki proroczek wyrasta na Eliasza i Samuela, podczas kiedy my nieoceniamy własnych proroków i czekamy na obce ocenienie. Czyż myślicie że Lenartowicz znalazłby tu taki mir jak obecnie, gdyby nie to że go u nas niéma. Wszakże on mieszkając jeszcze w Warszawie napisał

mnóstwo tych ładnych rzeczy, które dziś każdy uwielbia, a mało jednak był znanym. Drukował przecie i tu i owdzie prześliczne wyjątki z poezyj swoich, ale żeby był należycie cenionym, potrzeba mu było uroku oddalenia. Toż samo ze Zmorskim. A Kraszewski tak zna dobrze Warszawian pod tym względem, że nigdy tu długo nie zabawi. Bo jak skoro porozmawiamy z jaką wielkością i przekonamy się że tak wygląda i odzywa się jak inni ludzie, już ona przestaje być wielkością dla nas. A i u was o ile wiem, częste tego rodzaju przykłady, i z pewnością twierdzić mogę, że wielu waszych pisarzy ogół więcéj u nas niż u was ocenia. A to wszystko z jednego i tegoż samego źródła wychodzi.

Tymczasem w Litwie rzeczy mają się całkiem inaczéj. — Tam każdy utwór, bogdaj z najmniejszym talencikiem, zaraz okrzyczany jest przez współrodaków za geniusz, albo przynajmniéj za olbrzymi talent. Jak pomarańcze we Włoszech, oliwki w południowej Francyi, tak Litwini twierdzą, że się poeci u nich rodzą. I mają poniekąd słuszność. Wiele olbrzymich talentów, największe chwały literatury naszéj miały Litwę za ojczyznę. Ale to nie dowód żeby każdy Litwin który potrafi rym złożyć, był zaraz geniuszem. A postrzeż no plamę jaką w doskonałości tamecznych talentów, to ci Litwini oczy wydrą. Żeligowski był tam uważany za półboga, Syrokomla za jakiegoś krywekrywejtos poezyi. Ten przynajmniéj ma zasługi, ale dla czegóż tak odrazu śpiewać hymny dla lada aplikantów poetyckich. Naprzykład o pannie Karolinie Proniewskiéj pełne wszystkie gazety, wszędzie ukazują się jéj wiersze, i jak się łatwo domyśleć, nadsyłane są one przez litewskich korespondentów. Bardzo to pięknie, że siedmnastoletnia panna bez żadnego prawie wykształcenia, (z czego właśnie biorą assumpt do wynoszenia jéj) poczuła w sobie talent i wzięła się do pióra. Ale wszystko to próby tylko; znam mnóstwo tych jéj wierszy, forma ich nieskładna, studencka, trochę rzewności, trochę wodnistego uczucia właściwego kobietom, wiele młodéj bardzo naiwności, a z resztą mnóstwo powtarzań i miejsc bardzo słabych. Te wszystkie rzeczy czytane w przyjacielskiem kole bardzo mogą brzmieć pięknie, ale do druku daleko im

jeszcze. Chcę wierzyć że tam jest prawdziwy talent, ale w takim razie szkoda go, bo jak go zaczną rozchwalać, tak go zniszczą lub skrzywią. Alboż to jeden przykład widzieliśmy? A że ona młoda i nieukształcona jeszcze, co to może obchodzić publiczność czytającą? Publiczność właśnie potrzebuje żeby do niéj przemawiali mistrze skończeni i wykształceni już zupełnie. Kto rznie niedostałe kłosy, ten z nich pociechy mieć nie będzie. Niech genialne dziecko chodzi do szkoły, bo i geniusz musi klassy skończyć. Natchnienie nie starczy za elementarz. Stary muzyk z Warszawy był raz na koncercie genjalnego dziecka, podobno Józefa Krogulskiego, który dawał koncerta mając lat ośm. Zapytany jak mu się podobała gra tego malca, odpowiedział: „kiepsko!“ „Ale zmiłuj się, rzekł mu ktoś, wszakże on ma lat ośm dopiero.“ „Co to mnie obchodzi, odrzekł, niech ma lat tysiąc a gra dobrze.“

Święta to prawda. Ci którzy pragną publiczne odbywać popisy, niechaj już mają siły po temu, bo inaczéj marnują tylko czas sobie i drugim.

Przychylniéj daleko mogę się odezwać o świeżo wyszłym poemaciku Chęcińskiego pod tytułem „Anioł i Czart.“ Myśl zdrowa, obrobiona nie pretensyonalnie, wiersz gładki, chociaż mnóstwo tam miejsc rozwlekłych i porównań oklepanych. Nie jest to talent pierwszéj wody ale gładko się daje czytać. A dziełko to mogłoby wytrzymać porównanie z niejedną bardzo zachwalaną książką. Tylko że u nas niema środka, jak kto już się wdrapie na pewną wysokość, to trzeba przed nim bić czołem, a nie wolno odezwać się z naganą, bo to wygląda na bluźnierstwo. Literatura nasza utworzyła sobie panteon, gdzie ustawiła rzędem półbożków, każdy sypie im kadzidła, a co oni tylko raczą spuścić to już dobre. Jak kto już się wdrapał na taki postument, ten niech się niczego nielęka, bo od wszelkich pokuszeń krytyki, gdyby nawet jakie istniały, broni go zabobon ogółu. Więc chociaż taki „Anioł i Czart“ Chęcińskiego, równy jest w wartości nie jednemu poemacikowi jakiego okrzyczanego *wieszcza*, to każdy recenzent będzie Chęcińskiego z góry traktował, podczas kiedy się korzy przed tamtym. — Ba, gdyby on się Litwinem narodził, stanąłby

od razu w pierwszym rzędzie. — Ale możeby to gorzéj było dla niego.

Wiecie już z gazet naszych, że mnóstwo osób wyjechało z Warszawy za granicę, i że tymczasem stawają tu coraz nowe budowle jako przepowiednie coraz większéj ludności. Hotel Europejski a raczéj jedna część tego hotelu jest już na ukończeniu. Nic tam nieszczędzono pod względem wygód, a nawet zbytku. Przyswojono wszelkie nowe ulepszenia, słowem, będzie to prawdziwy wzór dla naszych hotelów, które dotychczas dobre były na Sochaczew ale nie na Warszawę. Podobno dla upiększenia tego hotelu, po jego czterech rogach mają stanąć cztery olbrzymie posągi. Donoszę wam to jako plotkę, nie biorąc za nią wcale odpowiedzialności na siebie. Będą to cztery figury apokaliptyczne: głód, powietrze, ogień i wojna. Wyznaję że to szczególny pomysł, i nie bardzo zachęcający dla podróżnych, którzy zapragną obrać mieszkanie w tym hotelu. To mi przypomina, że przed niedawnym czasem, przejeżdżając przez dobra pewnego dawnego wojskowego, ujrzałem przy drodze krzyż, a na krzyżu wielkiemi literami wypisano: „Od powietrza, ognia i głodu uchowaj nas Panie.“ Zdziwiła mnie ta nielóiczność cytacyi, i zajechawszy do dworu zapytałem dziedzica o powód pomyłki.

— To nie jest pomyłka, odpowiedział mi, owszem umyślnie tak kazałem napisać.

— Więc pan wojny nie uważasz za klęskę? zagadnąłem.—

— Może ona być za taką uważana, odparł, przez dzisiejsze zniewieściałe pokolenie, ale nie przez starego żołnierza. Na wojnie wiele można stracić, ale i wiele zyskać.

Wydawnictwo warszawskie krząta się teraz najbardziéj około kalendarzy. Będzie ich podobno więcéj w tym roku niżli w zeszłym, a i lepsze podobno. Naturalny skutek coraz bardziéj rosnącéj konkurencyi. Sam Fajans wydaje aż dwa kalendarze litografowane, jeden zwykły, polski, do którego bardzo piękny rysunek robił mu Gerson, drugi rosyjski, który chce podobno złożyć w hołdzie Cesarzowi. Ten ostatni ukończony już i odrobiony nader starannie. Znajdują się tam portrety Najjaśniejszych Państwa, oraz cesarzów Piotra Wielkiego,

Aleksandra Igo, Mikołaja i Cesarzowéj Katarzyny. A przytem z jednéj strony grupa ludu rosyjskiego, z drugiéj wojska. Kalendarz polski jeszcze nie ukończony, będzie także przedstawiał portrety ale w całych figurach: Brudzewskiego, Kopernika, Reja, Kochanowskiego i Klonowicza. Fajans zamyśla podobno bić więcéj egzemplarzy niż w latach zeszłych, co dowodzi że musiał dobrze wyjść na poprzednich nakładach. Z książkowych kalendarzy prym trzymają Ungra i Jaworskiego: każdy z nich bije się na przeszło dziesięć tysięcy egzemplarzy, i co rok wszystkie prawie odchodzą. Jak na kraj nasz, ogromna to, bezprzykładna dotąd liczba, ale trzeba wiedzieć że dotychczas kalendarz dla wielu jest najponętniejszém dziełem.

Liczbę tych kalendarzy pomnoży jak mówią w tym roku jeden jeszcze, wydany kosztem Okręgu naukowego. A nawet słychać o piśmie literackiem, którego wydawnictwa koszt takoż Okrąg naukowy ma ponosić. Pewnego nic o tem niewiem: relata refero.

W teatrze Rozmaitości przedstawiono w tych dniach „Hrabiego na Wątorach“ Syrokomli. Dziwnie to brzmi, krotochwila z historyi polskiéj. Podług mnie, ten hrabia na Wątorach, którego cała komika w śmieszności zbytniego przywiązania do klejnotu szlacheckiego, ani w dawnych, ani teraźniejszych czasach nie znajdzie stósownego dla siebie miejsca. Przeszłość zasługuje na uszanowanie, teraźniejszość na politowanie tylko. Wiersz dźwięczny i gładki, z kilku miejsc gra artystów potrafiła wydobyć efekta. Ale nie jest to utwór sceniczny, daleko mu do tego. To wprost tylko gawęda dyalogowana. „Łobzowianie“ Anczyca cieszą się tu ciągłem powodzeniem. Anczyc ma niezaprzeczenie talent, ale trzeba mu bardzo jeszcze obznajmić się z wymaganiami sceny. — W każdym razie dobrze że chociaż parę sztuk oryginalnych mieliśmy.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.